Stefan
SZCZEPŁEK
SZKOŁA
FALENICKA

Stefan
SZCZEPŁEK

SZKOŁA FALENICKA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

W Falenicy zawsze świeciło słońce...

Osoby

Rozdział I. Dom Kamieńskiego 8

Rozdział II. Rodzice

Rozdział III. Sąsiedzi

Rozdział IV. Szkoła

Rozdział V. Lektury

Rozdział VI. Młoda i okolice

Rozdział VII. Praga

Rozdział VIII. Niedziele i święta

Rozdział IX. Kościół

Rozdział X. KS Hutnik

Rozdział XI. Studia i wojsko

Rozdział XII. Wielki świat

Rozdział XIII. Kino

Rozdział XIV. Muzyka

Rozdział XV. Cmentarz

Źródła ilustracji

Rysunki: BOGDAN KUC
Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Redakcja: EWELINA KOROSTYŃSKA
Korekta: ILONA KLIMEK, EWA KOCHANOWICZ, JOLANTA STAL
Opracowanie graficzne wersji papierowej: BOGDAN KUC
Zdjęcie autora na pierwszej stronie okładki: TOMASZ PRAŻMOWSKI / Forum
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Infomarket

© Copyright by Stefan Szczepłek
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2018

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-06720-8

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

W Falenicy zawsze świeciło słońce.

Świeciło nawet wtedy, kiedy w sierpniu 1942 roku Niemcy pakowali do pociągu towarowego Żydów z falenickiego getta, żeby wywieźć ich do Treblinki.

Scenom w pobliżu rampy kolejowej, gdzie dokonywał się los setek ludzi, przyglądała się przerażona dwudziestopięcioletnia dziewczyna. Zbliżyła się do kolumny pędzonych Żydów, żeby dać jakiemuś wychudzonemu dziecku chleb. Była drobna, miała ciemne włosy, więc ją też włączono do transportu. Opierała się, popychana do wagonu krzyczała: „Andrzej, Andrzej!". Wtedy przybiegł niewiele od niej starszy chłopak, który przekonał Niemców, że to przecież Hela, jego żona, stuprocentowa Polka. Pracuje u pana Komara w Radości, była akurat w Falenicy i dlatego znalazła się w tym miejscu.

Argumentem chłopaka były też słowiańskie rysy, pochodził przecież z Otwocka Wielkiego, serca Mazowsza. Dziewczyna przyjechała do pracy w otwockim pensjonacie ze wsi Jagodne pod Garwolinem. Pobrali się w roku 1935 w kościele w Otwocku.

To byli moi rodzice. Urodziłem się cztery lata po wojnie, moje starsze rodzeństwo nie miało tyle szczęścia. Teresa przyszła na świat w październiku 1939 roku, dwa tygodnie po kapitulacji Warszawy. Rodzice mieszkali wtedy na Brzeskiej, „pod piątym".

Janek urodził się pół roku przed wybuchem powstania warszawskiego. Tata cieszył się synem kilka miesięcy. W sierpniu Niemcy wsadzili ojca do pociągu złożonego z trzech wagonów bydlęcych wypełnionych ludźmi. Dwa z nich pojechały do Auschwitz. Tata był w tym trzecim, który skierowano do Zagłębia Ruhry. We wrześniu mama poszła z dziećmi, z Bródna przez Zielonkę i Otwock, do rodziny na wieś pod Garwolinem, gdzie żyło się łatwiej niż w stolicy. Kilkumiesięczny brat zapadł na jakąś ówczesną zarazę dziesiątkującą dzieci. Uratował go radziecki felczer ze stacjonującego tam oddziału Armii Czerwonej przygotowującego się do zajęcia przyczółka warecko-magnuszewskiego. Robił Jankowi zastrzyki

z penicyliny zarezerwowanej dla oficerów i NKWD. Siostrze dał na pamiątkę wstążki, a raczej sznurki, którymi obwiązywał onuce. Nie miał nic więcej, Terenia była szczęśliwa.

Kiedy w roku 1957 urodziła się Ania, po błękitnym niebie fruwały gołąbki pokoju. Nie znaliśmy pojęcia „zimna wojna", mieliśmy poczucie szczęścia i bezpieczeństwa, jakie dawała nam rodzina. Problemy brali sobie na głowy rodzice. Świat był piękny. Zmieniał się razem z nami – w miarę jak sami dorastaliśmy, zaczęliśmy więcej wiedzieć i rozumieć. Ale słońce nad Falenicą nigdy nie zachodziło i widzę je jeszcze teraz z balkonu swojego bloku na Ursynowie. W stosunku do mojego miasteczka to po drugiej stronie Wisły. Niedługo Ursynów i Falenicę połączy południowa część obwodnicy Warszawy.

Tyle że tamtego świata w Falenicy już nie ma.

OSOBY

Mama Helena
Tata Andrzej
Babcia Rózia
Teresa starsza siostra
Ania młodsza siostra
Janek brat
Wanda żona
Marta córka
Jasiek syn
Maja wnuczka

Ciocia Stasia i **wujek Rysiek**
Ciocia Hela i **wujek Bolek**
Ciocia Brońcia
Pani Maria Seroczyńska prawie rodzina
Jurek Sadowski przyjaciel
Rysio „Ryniol" Wilk przyjaciel
Jola Kiliś przyjaciółka
Ela moja dziewczyna z osiedla
Elżbieta dziewczyna Janka z Warszawy
Cecka gość z Bułgarii

Sąsiedzi:

Pani Skrętowa

dr Hipolit Lipko

Kazimierz Winkler autor tekstów piosenek

Jędrek Rudnik, Jurek J., Andrzej S., Andrzej K., Ziutek K., „Putek", Jurek B. i Leszek B., Marek J., Rysiek N. koledzy Janka i moi

Rodzina Romów z taboru do „świdermajera"

Kazimierz Stajuda, Mieczysław Szczęsny dyrektorzy szkół

Stefania Otorowska, Daniela „Kicia" Dworakowska, Janina Piotrowska, Alicja Wittmajer, Zofia Gulina, Andrzej Martynkin, Andrzej G. „Zbój" nauczyciele z liceum

Witold Dłużniak trener Hutnika

Feliks Dłużniak fryzjer

Magda maglarka

Pan Zygmunt listonosz

„Stryjo" król kibiców Falenicy

Wojtek „Palma" prezes klubu bezrobotnych

Kazimierz Górski, Waldemar Obrębski, Andrzej Strejlau, Jacek Gmoch trenerzy

Kazimierz Deyna, Robert Gadocha, Bernard Blaut, Edmund Zientara, Władysław Komar, Ryszard Kulesza, Adam Nawałka koledzy z prawdziwych boisk

Rysiek B., Maniek F., Józiek P., Mietek, „Kuciapa", Wiesiek W., „Rybka", Jacek, Leszek, Romek, Janek koledzy z boiska Hutnika

Jarek i **Leszek** koledzy z wojska

Mirek Rybaczewski kolega siatkarz

Antoni Kolczyński „Kolka" bokser

Jan Paweł II – papież

Albert – książę Monako

Władysław Gomułka – mąż stanu
Merlene Ottey – sprinterka z Jamajki
Markiza Angelika – postać z erotycznej wyobraźni
Tadeusz Janczar i **Małgorzata Lorentowicz** małżeństwo aktorów
Józef Hen, Tadeusz Konwicki, Melchior Wańkowicz pisarze
Janusz Majewski, Janusz Zaorski reżyserzy
Jerzy Wasowski i **Jeremi Przybora** Starsi Panowie Dwaj

Bohdan Tomaszewski dziennikarz sportowy
Stefan Kisielewski kompozytor, publicysta
Janusz Olejniczak pianista
Jean-Pierre Rampal flecista
Yehudi Menuhin skrzypek i dyrygent
Witold Rowicki dyrygent
Krystyna Mazurówna tancerka
Zbigniew Kurtycz piosenkarz

Kierownik schroniska na Ornaku
Major LWP z Rejonowej Komendy Uzupełnień przy ulicy Szwedzkiej

Chruszczow i **Koks** psy
Fachurka i **Ramona** koty

I inni.

ROZDZIAŁ I

DOM KAMIEŃSKIEGO 8

Mieszkaliśmy w drewnianym letniskowym domku, który być może postawił dziadek Wojciech, ojciec mamy. Był cieślą, na tyle dobrym i wziętym, że on, chłop (choć chyba nie prosty) z Jagodnego pod Garwolinem, przeniósł się do Wiązowny i otworzył tu interes. Stawiał „świdermajery" w Otwocku i na całej linii otwockiej, wzdłuż torów kolejowych, od Olszynki Grochowskiej po Śródborów.

Dziadek miał ręce do stolarki i ciesielki, ale nie miał głowy do interesów. Pieniądze się go nie trzymały. Zmarł akurat wtedy, kiedy na moście Poniatowskiego marszałek Piłsudski rozmawiał krótko z prezydentem Wojciechowskim. Dziadek Wojciech spoczywa na cmentarzu w Otwocku, miasteczku, które było dla niego oknem na świat i które mu to okno zamknęło.

Dziadek był pierwszym znanym nam członkiem rodziny, który udowodnił, że nawet mając talent i fach w ręku, można nie umieć robić

pieniędzy. Niestety, ten gen nieprzystosowania przenosi się w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Miałem nadzieję, że to się zmieni wraz z przyjściem na świat mojego syna. Kiedy Jasiek miał sześć lat, w czasie wakacji w Kątach Rybackich sprzedał starszemu o cztery lata koledze zużyte baterie do walkmana z zyskiem, który wystarczył do kupienia gumy balonowej. Brał też od rówieśników po złotówce za możliwość obejrzenia kleszcza, który zalazł mu za skórę. Niestety, była to jednorazowa erupcja jego kapitalistycznego talentu do interesów.

Rodzice trafili do Falenicy po wojnie. Doktor Stefan Szaniawski, szanowany dentysta leczący zęby sanacyjnym urzędnikom Zamku Królewskiego, w komunistycznej Polsce miał marne perspektywy. Bojąc się odebrania majątku, zameldował w swoim domu w Falenicy ludzi, których uważał za uczciwych. Takich, co nieruchomość oddadzą, kiedy już komuna odejdzie, a on będzie mógł wrócić z emigracji. Wiedział, z kim ma do czynienia. Siostra mamy, ciocia Stasia, która w ruinach zburzonego domu doktora Szaniawskiego na Hożej znalazła garnuszek pełen złota i biżuterii, oddała go właścicielowi. Tuż po wojnie nie była to powszechnie spotykana reakcja.

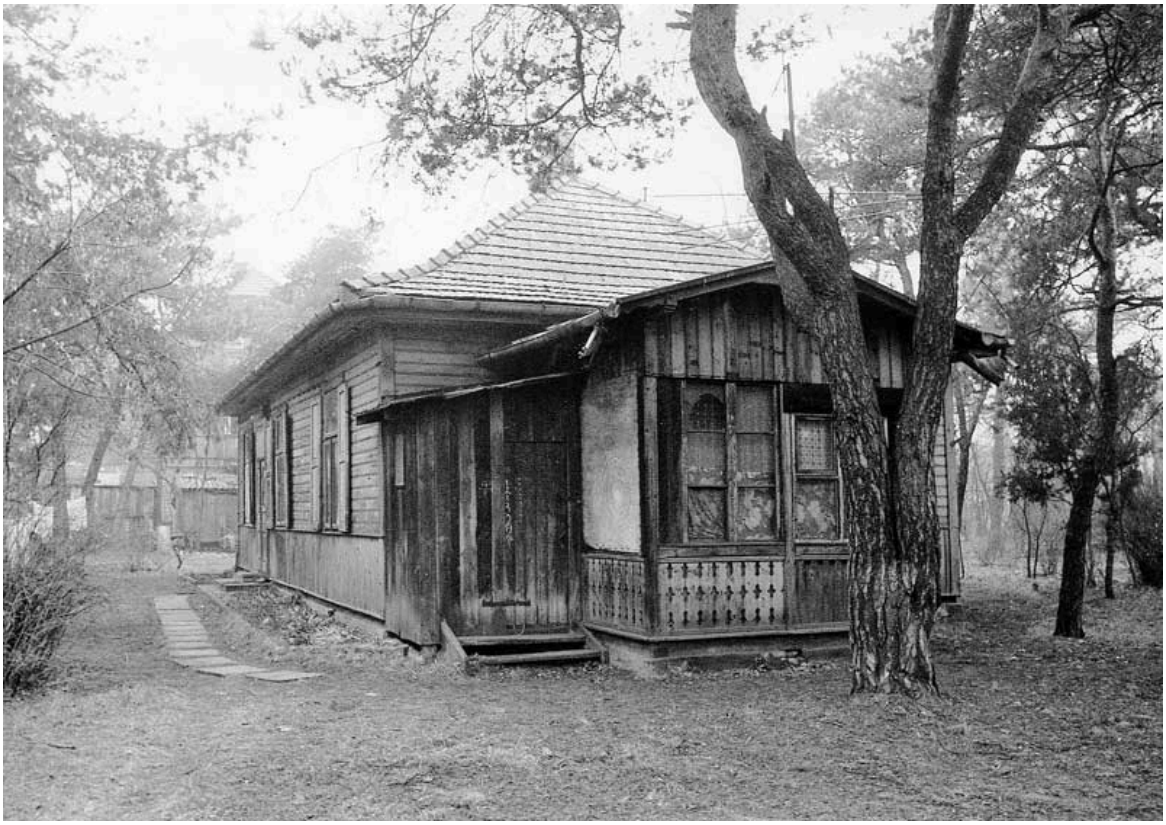

W grudniu 1946 roku rodzice przeprowadzili się do domku w Falenicy, gdzie jeszcze podczas okupacji miał swój gabinet doktor Stefan Szaniawski.

Dla rodziców niemających gdzie mieszkać propozycja doktora była zrządzeniem losu. W grudniu 1946 roku przeprowadzili się z jakiegoś pokoiku na Bródnie, gdzie czerwonoarmiści zrobili sobie latrynę, do domku w Falenicy, w którym doktor Szaniawski jeszcze podczas okupacji miał gabinet.

Kwaterunek to zaakceptował. Przydzielił również jeden pokój małżeństwu W., które zajmowało go z rodzicami, państwem G. Pani G. była od lat sparaliżowana i oglądała świat przez okno.

Inny, mały pokój, należał do pani Marii Seroczyńskiej, która mieszkała tu jeszcze za sanacji. Była drobna, zasuszona, podobna do Fryderyka Wielkiego ze znanego portretu. Żyła wspomnieniami przedwojennych rautów, na które, jako wzięta krawcowa damska, tworzyła kreacje paniom z towarzystwa.

Zwieńczeniem płotu była elegancka drewniana furtka z trójkątnym tympanonem, w którego centralnym punkcie znajdowała się tabliczka z numerem posesji.

Pani Maria w czasie wojny straciła rodzinę. Został jej tylko brat, którego niekiedy odwiedzała w Ursusie. Zabierała mnie wtedy na taką wycieczkę kolejką elektryczną. Brat był dróżnikiem. Wtedy gdy on cieszył się obecnością siostry, ja siedziałem na schodkach domku i podziwiałem pędzące w świat pociągi. W latach siedemdziesiątych, kiedy sam wsiadałem do takiego pociągu, żeby dojechać nim na śląskie mecze, ten domek jeszcze stał. Widziałem wtedy na jego schodkach małego chłopca, ubranego odświętnie w marynarski mundurek, jak rysował patyczkiem na piachu kolejowe wagony stojące na niezbyt okrągłych kołach.

Pani Maria była częścią naszej rodziny. Ponieważ nie miała swojej, całą miłość przelała na nas. We wczesnych latach pięćdziesiątych, gdy szukała po niegdyś reprezentacyjnych, a wtedy już niszczejących falenickich i michalińskich willach swoich przedwojennych klientek, zabierała mnie ze sobą. Ledwie wtedy opuściłem wiklinowy wózek – karetę. Starsze panie wyciągały z jeszcze starszych kredensów *imperatorskij farfor*, piły herbatę z konfiturą, a mnie częstowały ptifurką. Pomarszczone, ale dumne, wyprostowane w fotelach, którym już dawno popękały sprężyny i wytarła się pluszowa tapicerka. Gdy rozmawiały z panią Marią, przypominały sobie czasy, w których starali się o nie kawalerowie.

Pani Maria zmarła słoneczną jesienią 1960 roku. Jej brat już wtedy nie żył. Niektóre jej klientki też nie, inne nie wiedziały już, że jeszcze żyją. Do grobu na Bródnie odprowadziliśmy ją jedynie ja i tata. Jakoś tak wyszło, że

tylko my. Mama została z trzyletnią Anią, Teresa i Janek byli w szkole. Cały kondukt starej kobiety, która uczciwie przeżyła życie, składał się z czterech osób. Oprócz nas był jeszcze ksiądz i kościelny z krzyżem.

Nie odwiedzaliśmy jej grobu, bo jeszcze wtedy na Bródnie mieliśmy mało rodziny. Po latach poszedłem tam, ale nie zapisałem numeru kwatery. Minęły kolejne lata i kiedy chcieliśmy odnaleźć grób pani Marii, żeby go pielęgnować, było już za późno. Nikt go przez ten czas nie opłacał, trafiła więc pani Maria z innymi biednymi, samotnymi, poranionymi przez los do jakiejś wspólnej mogiły, na której nie ma nawet tabliczki z jej nazwiskiem. A powinna być, z napisem: Maria Seroczyńska, Dobry Człowiek.

Nie zadbaliśmy o to.

Po pani Marii został mi ołowiany model przedwojennego autokaru Pullman. Pełnił funkcję skarbonki. Kiedyś się nim bawiłem i używałem zamiast młotka do wbijania w stół gwoździków na bramki do cymbergaja. Jednak od ponad czterdziestu lat stoi na honorowym parkingu na regale, między maszyną do pisania Mercedes, na której powstawały piłkarskie książki twórcy Legii Stanisława Mielecha, a kryształowym modelem stadionu Old Trafford, przywiezionym z Manchesteru po finale Ligi Mistrzów AC Milan – Juventus. Ten autokar skrywa inny szczególny skarb: monety, którymi we wrześniu 1975 roku, przed Pałacem Ślubów na Starym Mieście, mnie i Wandę obsypali nasi przyjaciele.

Niestety, zaginęła inna pamiątka rozbudzająca moją wyobraźnię. Blaszane pudełko po kakao, którego nazwa utkwiła mi w pamięci: Droste. Nie wiem, w jaki sposób trafiło do nas czy do pani Marii. Miała je sprzed wojny, a może znalazło się w paczce od cioci Unrry? Czy piliśmy z niego kakao my czy inne, nieznane dzieci? Przybyło do Polski pełne czy już puste? Ważne było co innego. Pudełko zdobił wizerunek młodej pielęgniarki – siostry zakonnej w szerokim kornecie, niosącej na tacy identyczną puszkę. A na niej następna taka sama pielęgniarka. I tak dalej, i tak dalej, w nieskończoność. Rekurencja. W Polsce nie było ani takiego kakao (choć nie narzekaliśmy na jego brak), ani tak ubranych

pielęgniarek – zakonnic. W tym zwykłym pudełku zaklęte były urok nieznanych nam holenderskich faktorii na Molukach, zieloność ogrodowych pawilonów angielskich arystokratów w wiktoriańskich Indiach, błogi spokój innego, dalekiego, jeszcze zamkniętego dla nas świata.

Nasz dom miał pięć pokoi, kuchnię, sień i dwie werandy – ich szerokie dachy i niskie ścianki z ażurowych ozdobnych desek nadawały mu charakter świdermajera. Łazienki nie było. Myliśmy się w misce, używając wody ze studni na ręczną pompę, którą tata zainstalował w kuchni. W narożniku podwórka, dwadzieścia metrów od domu znajdowała się sławojka. Chodzenie (a czasami bieganie) do niej wieczorem było straszne, ponieważ na płocie mógł siedzieć Dziad. Nikt go nie widział, ale on tam na pewno był. Zimą do strachu dołączał mróz, który uwielbiał gołe pupy.

Obok sławojki stały trzy drewniane komórki. Jedna na węgiel, druga na koks, trzecia na rupiecie, wśród których wyróżniała się przedwojenna, wciąż sprawna wyżymaczka z napisem: Krzysztof Brun i Syn. Zdarzało się, że jedna z tych komórek miała lokatorów. Z wyjazdów na wieś przywoziło się czasami świniaka i kury. Wujek Heniek odstawiał nas wtedy z Jagodnego furmanką na stację kolejową w Garwolinie lub Pilawie, a dalej trzeba było radzić sobie samemu. Obowiązywał zakaz przewozu zwierząt hodowlanych pociągami osobowymi, ale wszyscy go łamali, bo miasto żyć musiało. Konduktorzy mieli oczywiście szósty zmysł, nie pomagało chowanie worka ze świniakiem w toalecie lub pod ławką, tym bardziej że tuczniki były w zmowie z konduktorami i kwiczały dokładnie wtedy, kiedy oni się zbliżali. Takie podróże wiązały się więc ze stresem i dodatkowymi kosztami.

Dopóki uczestniczyłem w nich jako uczeń szkoły podstawowej, nie widziałem problemów. Pojawiły się później, kiedy jako licealiście zaczęło mi zależeć na opinii. Trzymanie świniaka w domu było obciachem, powodem do wstydu, bo przybliżało letniskowy domek w podmiejskiej Falenicy do wsi. Korzystaliśmy z jej plonów, ale chcieliśmy być lepsi, bo w przeciwieństwie do rodziców byliśmy już miastowi. Kiedy po szkole

wpadali do nas koledzy lub koleżanki, myślało się tylko o tym, żeby w komórce nie zakwiczała świnia.

Zdarzało się, ale – co ciekawe – jakoś nikt nie zwracał na to uwagi. Każdy miał jakieś domowe tajemnice. Trzymanie świniaka to było nic w porównaniu, na przykład, z punktem podnoszenia oczek. Matka jednego z moich szkolnych kolegów miała punkt repasacji pończoch. Te oczka puszczały na potęgę i taki punkt, zwłaszcza koło stacji kolejowej oraz salonu fryzjera damskiego Feliksa Dłużniaka, to był dopiero interes. Mimo to kolega uważał, że przynosi wstyd. Nie wstydził się jednak, jako jedyny chłopak w szkole, nosić bułgarskiego kożucha, na który leciały oczka wszystkich falenickich dziewczyn.

Wstyd z powodu posiadania świni też miał swoje granice. Kończył się w okolicach świąt Bożego Narodzenia lub Wielkanocy. Pan Jezus rodził się lub zmartwychwstawał i aby to uczcić, trzeba było zabić świnię. To się samo nie robiło. W Falenicy brakowało specjalistów od pozbawiania życia trzody chlewnej. Poza tym nikt nie chciał nadawać takiej egzekucji rozgłosu, więc musiała jej dokonać głowa rodziny.

Mój tata brzydził się przemocą nawet wobec świni, dlatego zwrócił się o pomoc do wujka Ryśka. To nie był dobry wybór. Wujek Rysiek, mąż rodzonej siostry mojej mamy, cioci Stasi, miał bardzo wyraźną nadwagę. Jako młody chłopak trafił do obozu w Mauthausen, gdzie jakiś odpowiednik doktora Mengele przeprowadzał na nim doświadczenia. Wujek wrócił szczęśliwie do domu, ale nigdy już nie był zdrowy. Z powodu tuszy nie był też ani szybki, ani zwinny. Wyglądał jak cięższa połowa duetu Flip i Flap.

– Andrzej, ja go uderzę obuchem w łeb, a jak padnie, to ty mu wbijesz w szyję nóż, żeby się wykrwawił – zaproponował wujek, bo takie były procedury uśmiercania.

Ojcu było wszystko jedno, chciał to już mieć za sobą. Obydwaj wiedzieli, że muszą to zrobić, ale najlepiej tak, żeby się świniak nie obraził i nic nie poczuł. Nawet kiedy przywiązywali mu sznurkiem nogę do wbitego

w ziemię kołka, zrobili to tak, żeby go nie bolało. A on patrzył spode łba, zauważył opartą o ławkę siekierę, widział tamten świński świat, do którego nie zamierzał się wyprawiać, i myślał zapewne, jak tego uniknąć.

Ojciec z wujkiem uzgadniali plan działania, sprawdzając przy tym moc wódki z niebieską kartką. To nie było profesjonalne podejście. Alkohol nie wpłynął korzystnie na płynność ich ruchów. Świnia, która nie piła, okazała się od nich szybsza i cwańsza. Kiedy więc wujek Rysiek zamachnął się siekierą, czujny zwierzak zrobił krok w bok i obuch ledwie drasnął go w ucho. Wujek stracił przy tym równowagę i hamował twarzą w rabatkach. Wściekły wieprz jakby na to czekał – urwał się ze zbyt luźno przywiązanego postronka i ruszył w miasteczko.

Zaskoczeni takim obrotem sprawy oprawcy nie byli w stanie za nim popędzić. Mamie z ciocią (która chyba zresztą dokończyła po mężu i szwagrze butelkę) nie wypadało, a my z bratem odmówiliśmy, dobrze wiedząc, że to by źle wpłynęło na nasz wizerunek. A wściekły wieprz latał już po ulicy i darł ryja, że go Szczepkowie chcą zabić. Po prawdzie – nie dało się tego ukryć. Jego kwik wywabił z domów nie tylko naszych sąsiadów, ale zainteresował też wracających z pracy robotników betoniarni i tartaku. Był to już jednak jego ostatni świński śpiew. Wydał na siebie wyrok, bo któryś z tych robotników okazał się chłoporobotnikiem, bywalcem chlewa. Podstawił świniakowi nogę, złapał za postronek, przyprowadził do komórki na miejsce kaźni i załatwił go w try miga.

Mimo że kaban narobił nam nieco wstydu, dostarczył wielu przyjemności naszym podniebieniom.

Dom stał niby blisko cywilizacji, a jednak w lesie. Od ulicy oddzielał go parkan z drewnianych sztachet, wydających miły dźwięk, kiedy grało się na nich patykiem. Zwieńczeniem płotu była elegancka, również drewniana furtka z trójkątnym tympanonem, w którego centralnym punkcie znajdowała się tabliczka z numerem posesji i nazwiskiem właściciela: „M. Szaniawska".

Na podwórku rosły sosny, lipy, klony, jałowce, akacje, śnieguliczka biała, a gdzieniegdzie biały i czarny bez. Wzdłuż parkanu rozpościerał się dywan

dzikich konwalii. Pod oknami, po słonecznej, południowej stronie mama sadziła wiosną bratki, malwy, naparstnice, warszawianki, georginie, nagietki, do których przylatywały osy i pszczoły.

Rozrastał się tam też ogromny krzak bzu. Miał w obwodzie kilka metrów, a był tak gęsty, że nawet nie próbowaliśmy robić sobie w jego wnętrzu kryjówek. Nie dało się tam wejść, więc byliśmy przekonani, że bez jest strażnikiem skarbu, zakopanego głęboko pod korzeniami przez króla Wysp Hebanowych. A może korzenie skrywały Sezam, który tylko Ali Baba mógł otworzyć magicznym zaklęciem? Albo kopiąc tam, dotarlibyśmy na drugą stronę Ziemi? Gdyby to się nam udało, na tamtejszych morzach południowych na pewno spotkalibyśmy Sindbada Żeglarza podróżującego do wuja Tarabuka. Woleliśmy jednak tego nie sprawdzać, bo a nuż, zamiast znaleźć złote pióro wuja i jego srebrny kałamarz, trafilibyśmy na chatkę na kurzej nóżce? Bez był więc bezpieczny i miał status świętego krzaka, który w maju obdarzał nas swoimi kwiatami. Jego gałązki, stojące w kryształowym wazonie, wypełniały zapachem cały dom.

W dziuplach sosen żyły wiewiórki. Wróble nigdy nie odlatywały. Przylatywały dzięcioły, kawki, sroki, sójki, szpaki, czyżyki. Sikorki pasły się słoniną, którą im przywiązywaliśmy za oknem. Większość tych ptaków miała w pobliżu swoje gniazda. Sójki mieszkały pięć metrów w linii prostej od mojego tapczanu. Kiedy słabo opierzone pisklęta wypadły z gniazda, stały bezradne pod ławką i w wannie z deszczówką. Stare zrobiły wtedy taki raban, że pouciekały psy, koty, a i ludzie poczuli się nieswojo. Ptaki lotem koszącym nad naszymi głowami powiedziały nam, że same sobie poradzą. Nazajutrz rano nie było śladu po pisklakach, a przecież prawie na pewno nie padły ofiarą drapieżników.

W domu zawsze były koty i wszystkie, bez względu na płeć, nosiły imiona żeńskie – Fachurka lub Ramona. Podrzucano je nam, bo każdy w okolicy wiedział, że „Szczepkowie żadnego stworzenia nie wyrzucą”. Nie miały kuwet, wychodziły na podwórko i wracały, kiedy chciały. Jedną z tych „Fachurek” wyrwałem z pyska wilczurowi. Tak ją pokiereszował, że ledwo przeżyła. Kiedy miała pierwszy raz rodzić, uznała, że najbezpieczniejszym

do tego miejscem będzie moja poduszka, a dokładniej moja szyja i twarz. Miała rację.

Pani przynosząca nam mleko z Nowej Wsi za Błotami wypytywała mamę, czy ta kotka jest łowna.

– Jak najbardziej – odpowiedziała mama. – Wszystkie myszy w domu wyłapała.

I nagle kot przepadł. Wrócił po dwóch tygodniach, a kiedy widział mleczarkę, chował się po kątach. Baba (bo w tej sytuacji to była baba, a nie pani) przyznała się do uprowadzenia kota. Chciała pozbyć się myszy ze swojego gospodarstwa. Zamknięta przez nią Fachurka uciekła, pokonała w zimie, po śniegu, ponad dwa kilometry przez szosę, las i pola.

Wróciła, bo było jej u nas dobrze. Wolnością cieszyły się kolejne psy, których mieliśmy mniej niż kotów. Ostatni falenicki pies był mieszańcem spaniela z podwarszawską rasą podwórkową, miał przepiękną, błyszczącą czarną sierść i nazywał się Koks. Urodził się w Miedzeszynie. Dostałem go od mojego przyjaciela Rysia Wilka. Koks miał swój rytm, w który nikt z ludzi nie ingerował. Był typem psiego hippisa. Zdarzało mu się przebywać poza domem przez kilka dni, a kiedy przychodziłem sponiewierany, jechało od niego alkoholem oraz marihuaną. Jeśli zwracaliśmy mu uwagę, że mógłby wrócić wcześniej, bo się denerwowaliśmy, jeszcze się obrażał. Gdyby psy pracowały, on na pewno byłby menelem z wyboru.

Koks przeprowadził się z nami na Ursynów. Dla Wandy i dla mnie przeprowadzka okazała się problemem egzystencjalnym, bo przyjechaliśmy z lasu, a teraz z okien bloku na drugim piętrze nie widzieliśmy ani jednego drzewa. Koks też przeżywał to na swój sposób. Nie mógł już wychodzić, kiedy chciał, a spacery, czy nawet biegi ze mną, nie rekompensowały mu utraty wolności. Gonił zające, nie chciał wracać, nie zwracał uwagi na samochody, bardzo się psychicznie męczył. I kiedyś, podczas spaceru z Wandą, wpadł pod autobus. Podejrzewaliśmy, że to nie był przypadek. On się pod ten autobus ze swoim psim rozmysłem rzucił, bo nie mógł żyć jak niewolnik w mieście, w kagańcu i na smyczy.

Dom w Falenicy stanął w latach dwudziestych. Zbudowany z cienkich desek i warstwy trocin między nimi, był cudowny latem, ale zimny zimą. Jesienią trzeba go było ogacić, czyli ocieplić. Polegało to na tym, że grabiło się liście, sosnowe kolki i okładało ich stertami dom do wysokości blisko metra. Podnosiło to nieco temperaturę. Kiedy spadała poniżej dwudziestu stopni, dodatkowo zamykaliśmy okiennice. Na zimę zakładaliśmy drugie okna i na kilka miesięcy zamykaliśmy drzwi na werandę, uszczelnialiśmy je szmacianymi chodnikami, które mama przywoziła ze wsi od ciotek. To był sygnał, że zaczyna się zima. Te kolorowe, tkane z gałganów chodniki z Jagodnego, leżące zawsze na pachnącej pastą sosnowej podłodze, były naszymi dywanami z Samarkandy.

W kuchni paliło się drewnem i węglem, w pokoju koksem. Przez cały rok, ale zwłaszcza zimą żyliśmy w strachu przed pożarem. Wystarczyło, żeby z kuchni czy pieca wypadła na sosnową podłogę iskra lub kawałek żarzącego się węgla. Takie domy w kwadrans stawały się kupą popiołu, z której wystawał tylko murowany komin. Widywaliśmy takie tragedie wielokrotnie. Kiedy wyła strażacka syrena, najpierw patrzyliśmy, czy to nie nasz dom się pali, zapominając ze strachu o logice. Przecież gdyby nasz, to wiedzielibyśmy pierwsi, jeszcze przed strażakami.

Kupienie na zimę tony węgla i kilku ton koksu stanowiło nie lada problem organizacyjny i finansowy. Kiedy już się udało, węgiel przywoził na ogół pan Jarosiewicz, bo jako jeden z niewielu w naszej okolicy dysponował koniem i furmanką, a mama nie miała zastrzeżeń co do jego uczciwości. Zrzucał towar na ulicy przed bramą, a ja z tatą lub bratem znosiłem go wiadrami do komórki.

Ciocia Stasia u szczytu schodków swojego świdermajera z charakterystycznymi ażurowymi deskami ścianek werandy. Przez kilka lat sponsorowała mi bilety do kina Szpak. Z prawej moi rodzice. Lata 50.

Gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych mogłem ten los odmienić. Pojechałem do Zdzieszowic pod Opolem na jubileusz klubu sportowego Ruch. To był fabryczny klub największej w Polsce koksowni, więc kiedy z dumą mi ją pokazywano, spytałem z głupia frant, czy mógłbym trochę tego koksu kupić.

– A ile pan redaktor potrzebuje? – spytał mój przewodnik.

Nie chciałem przesadzić, więc powiedziałem cicho:

– Tonę. Jedną tonę.

Facet nagle zmienił wyraz twarzy, dając mi do zrozumienia, że zabieram mu czas, i powiedział:

– Eee, wie pan, z toną to będzie problem. Ale możemy do pociągu doczepić jeszcze jeden wagon. Odbierze go pan sobie na Warszawie Wschodniej.

Zamiast powiedzieć: biorę, zacząłem się zastanawiać, jak ten pan Jarosiewicz będzie woził furmanką koks ze Wschodniej do Falenicy, i podziękowałem. Z powodu braku wyobraźni i zmysłu do interesów nie zostałem lordem Coxem, a mógł to być dobry początek mojej prywatnej mafii paliwowej.

Latem nie trzeba było palić w piecu. Falenica utraciła status przedwojennego letniska, ale nie urok. Czasami jeszcze ktoś z Warszawy wpadał tu na wakacje. Zdarzało się, że i do nas. Któregoś roku pokój po pani Marii zajęła pewna efektowna tancerka baletowa ze stolicy. Później dowiedziałem się, że nazywała się Krystyna Mazurówna, a jednym z jej gości w Falenicy był Krzysztof Teodor Toeplitz. W odwiedziny przyjechał też starszy pan, jak się okazało, ojciec artystki. Nazywał się Stanisław Mazur i należał do wąskiego kręgu genialnych matematyków ze Lwowa, spotykających się przed wojną w kawiarni Szkocka przy placu Akademickim. Nic mi to wtedy nie mówiło.

Drzewa były naszymi samolotami, bastionami, wieżami, skoczniami, sztangami bramek, wyznaczającymi pierwsze w życiu boisko między werandą a płotem od ulicy. Tam, na małej przestrzeni, żeby strzelić gola, trzeba było dobrze panować nad piłką, aby móc z nią u nogi minąć przeciwnika. Idealne miejsce na wyrobienie techniki, falenicki odpowiednik piaszczystej brazylijskiej Copacabany. Był tam też kosz – powiesił go Janek po zdobyciu przez Polskę wicemistrzostwa Europy. Koszykówka zajmowała nas wtedy na równi z piłką nożną, a wizyty w Warszawie koszykarzy Realu i zawodowców NBA tylko jej popularność umocniły.

Do tych samych sosen, do których przybity był kosz, Janek przymocował drążek gimnastyczny. Potrafił podciągnąć się na nim sto razy. Do tego robił wymyki i kręcił salta. Dwadzieścia razy w ciągu pół minuty podnosił jedną ręką siedemnastokilowy odważnik. Brat miał klatkę kulturysty i niezwykły talent do każdego sportu, do jakiego się zabrał. Mieszkający w Falenicy pan Piotr Szczeblewski, znany przed wojną warszawski zapaśnik RKS Parowóz, a potem trener Legii, chciał brata zapisać do sekcji

zapaśniczej tego klubu. Inny trener, widząc Janka wygrywającego w tenisa drewnianą packą, spytał, czy nie chciałby spróbować zagrać w Legii prawdziwą rakietą.

Janek nie chciał. Dał się namówić dopiero trenerom piłkarskim. Żeby było ciekawiej, na boisku Agrykoli wypatrzył go trener Polonii Sylwester Prokurat, ale przekazał do Legii najwszechstronniejszemu polskiemu sportowcowi, a wtedy już trenerowi – Wacławowi Kucharowi. Z „L" na koszulce brat zdobył wicemistrzostwo Polski juniorów. W tym samym czasie rozpoczął studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim i w wieku osiemnastu lat zakończył karierę. Potem już tylko grał dla przyjemności.

Brat starszy o pięć lat niemal zawsze staje się wzorem. Janek, niezależnie od swoich wszelkich talentów sportowych, był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Przeczytał wszystko, co trzeba, i miał niezwykły dar analizowania sytuacji politycznej. Ruch Solidarności i – jak mówił – „koniec czerwonego" przewidział wiele lat wcześniej, uzasadniając, w jaki sposób do tego dojdzie. Był asystentem na UW, nauczycielem historii w liceach, zaczął pisać pracę doktorską o narodowym socjalizmie NSDAP, ale musiał zrezygnować, bo trzeba było utrzymać rodzinę. Do matury i na studia przygotował wiele osób, z dziećmi znanych ludzi włącznie, bo Janka wszyscy znali. Jego studentem na Wydziale Historycznym był Bronisław Komorowski.

Juniorzy Legii, wicemistrzowie Polski z roku 1962, ze swoim trenerem, majorem Longinem Janeczkiem. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem w pierwszym rzędzie ustawiała się pięcioosobowa linia napadu. Od lewej: Bogusław Komendarczyk, Wiesław Korzeniowski, Waldemar Obrębski, Janek Szczepłek i Krzysztof Siejko.

W stanie wojennym komisja weryfikacyjna w Telewizji Polskiej uznała, że Jan Szczepłek jest wrzodem na zdrowej tkance społeczeństwa, że zagraża ustrojowi – i pozbawiła go pracy. Gdyby wiedziała, co Janek wtedy naprawdę robił, posłałaby go od razu do więzienia. Ubecy przesłuchujący go w pałacu Mostowskich też się nie zorientowali. Grał z nimi w kotka i myszkę i zawsze wygrywał.

Inni ubecy, przeprowadzający u nas rewizję, również nikogo ani niczego nie znaleźli. Nie wiedzieli, gdzie szukać. W naszych falenickich, rodzinnych (głównie u młodszej siostry) lub zaprzyjaźnionych domach ukrywało się wielu działaczy Solidarności, z tymi o znanych nazwiskach włącznie. Gdyby zebrać wszystkie części maszyn drukarskich, pochowane w drewniakach w Falenicy, zrobiłby się z tego Dom Słowa Polskiego. A bibuła nie zmieściłaby się w Sali Kongresowej.

Janek wiedział wszystko, a do tego był typem złotej rączki. Zrobił wszystko i wszystko naprawił. Długo nie mieliśmy nowego roweru, więc z dwóch starych, przez kogoś wyrzuconych, zrobił jeden. Przednie koło było mniejsze od tylnego, ale rower śmigał jak wyścigówka Huragan. Lata później widziałem podobny w Muzeum Olimpijskim w Lozannie. Janek, z musu, bo z musu, ale wyprzedził nawet amerykańskich konstruktorów.

W Falenicy mieszkaliśmy do końca XX wieku. Siostra jeszcze w roku 1960 wyszła za mąż i przeprowadziła się do Warszawy, a brat jakieś dziesięć lat później, ale wrócił tu, już z rodziną, na kolejnych kilka lat. Ja mieszkałem w Falenicy przez pięć lat po ślubie i ostatecznie opuściłem ją w roku 1980. Mama odeszła siedem lat później, tata w roku 1994. Pojawiła się niemieszkająca w Polsce od pół wieku spadkobierczyni właścicieli. Mogliśmy walczyć o dom, który bez żadnego zainteresowania ze strony właścicieli utrzymywaliśmy od wojny. Ale jakoś nie mieliśmy po temu zdrowia i możliwości finansowych. Poza tym przecież rodzice po wojnie coś panu Szaniawskiemu obiecali. W sposób naturalny straciliśmy Falenicę.

Kolejny właściciel ściął kilka drzew, zrównał nasz świdermajer z ziemią i postawił na jego miejscu coś, co przypomina siedzibę Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Wzniósł też wysoki ślepy płot, za który nie można zajrzeć. Zdążyliśmy zabrać przybitą do drzewa kapliczkę z Matką Boską, przed którą mama stawiała w wazonach świeże kwiaty, i odkręcić z furtki tabliczkę adresową, malowaną jeszcze przez brata: Kamieńskiego 8. Jest teraz u mnie, na Ursynowie.

Dom zabrał ze sobą tajemnicę. Kiedyś Ania nie wyłączyła żelazka. Przepaliło deskę do prasowania, podłogę i zatrzymało się pół metra niżej, na piachu. To cud, że chałupa nie poszła z dymem. Żeby wyjąć żelazko, Janek musiał oderwać deskę w podłodze, i wówczas zobaczył poniżej pudełko po butach oraz podłużne zawiniątko. W pudełku było kilkadziesiąt zdjęć z wojny 1920 roku, bo na tym to Janek się znał. Rozłożył je na stole i zaczął studiować, szukając znanych z historii postaci lub miejsc.

I wtedy, jak na kiepskim filmie o mumiach, pewnie pod wpływem powietrza czy temperatury, zdjęcia się rozsypały. Zamieniły się w proch, nim powiedziały cokolwiek o wojnie, a może i o początkach naszego domu, o tym, czego nie powiedział rodzicom pan Szaniawski.

Podłużny pakunek skrywał bagnet w metalowej pochwie. Nie wiadomo, jak długo leżał pod podłogą – ponad pół wieku czy jeszcze dłużej. Zawinięty w nasączoną smarami flanelę zachował się w bardzo dobrym stanie. Ma napis, świadczący o jakości stali – Solingen – oraz numer 18217. Działa jeszcze zatrzask mocujący bagnet na lufie karabinu. Taka broń była na wyposażeniu polskiej armii w wojnie 1920 roku i później. Czy ten bagnet ma na sumieniu jakiegoś bolszewika lub Niemca z czasów drugiej wojny światowej – tego już się nie dowiemy.

Gdzieś tam na podwórku, między krótką alejką lip a bramką wśród sosen musi leżeć zakopany skarb. Ukradziona z przedziału kolejowego popielniczka z wyrytym napisem PKP, a w niej znak fabryczny marki Buick, odkręcony z maski samochodu przez mojego pierwszego szkolnego przyjaciela Jurka Sadowskiego, nabój do kałasznikowa, ciężka kulka od jakiegoś łożyska, dwa hacele i aluminiowe pięć złotych z rybakiem.

ROZDZIAŁ II

RODZICE

Mama miała wszelkie cechy osoby świętej, lubiła ludzi i sama była lubiana.

Jej mama zmarła przy porodzie szóstego dziecka. Moja mama miała wtedy cztery latka i prosto z cmentarza trafiła pod opiekę ciotki. A potem kolejnej i jeszcze jednej. Od wsi do wsi. Z Leszczyn do Jagodnego i z powrotem. Bez braci i siostry, którymi opiekowały się inne ciotki. Bez zimowych ubrań. W jednych bucikach. Bez swojego kąta i zabawek. Rodzeństwo mamy wychowywało się w takich samych warunkach. Bieda była taka, że kilkuletnia ciocia Stasia chciała umrzeć. Nie wiedziała, jak rozstać się z życiem, więc zimą chodziła na bosaka po śniegu. Nie dość, że od tego nie umarła, to zahartowała się tak, że przeżyła całe rodzeństwo. Gdy w roku 1996 żegnaliśmy ją na Bródnie, miała osiemdziesiąt trzy lata.

Kiedy przyszedł czas na szkołę, mama została w domu, bo ktoś musiał paść krowy. Chodziła za nimi po łące i śpiewała. Pięknie śpiewała, czystym jasnym głosem. Pewnego razu zatrzymał się obok łąki samochód, którym

podróżowali eleganccy państwo. Pan wysiadł, żeby posłuchać śpiewu. Na widok samochodu przybiegła ciotka.

W tym zwykłym pudełku zaklęty był błogi spokój innego, dalekiego, jeszcze zamkniętego dla nas świata.

– Szanowna pani – zwrócił się do niej pan. – To dziecko ma niezwykły talent wokalny. Czy pani pozwoli, że zabiorę je do Warszawy, żeby w konserwatorium mogło kształcić swój głos?

– A kto będzie krowy pasał? – spytała logicznie ciotka, chowając siedmioletnią Helenkę za spódnicę.

Pan nie znał odpowiedzi na to pytanie, więc uchylił tylko kapelusza i zawstydzony odjechał. Pewnie udał się do małego miasteczka, gdzie jedna Rebeka czekała na niego w zamyśleniu. I kiedy już wysłuchał recitalu mojej mamy, „samochodem przybył wraz", ale przy nim „siedziała ona, żona czy narzeczona", i Rebekę, która akurat „szła umyć się pod studnię", szlag trafił.

Mama bardzo lubiła tę piosenkę, bo mówiła o nieszczęściu dziewczyny, o tym, że jest biedna i ten jej sen trwa całe życie. I mama, śpiewając, też „wypłakiwała z oczu łzy", chociaż nie z powodu niespełnionej miłości, tylko dlatego że się w tej biedzie z Rebeką łączyła. Mama lubiła też *Uliczkę w Barcelonie*.

Dziesiątki lat później, nim wieczorem usiadłem na stadionie Camp Nou, żeby obejrzeć finał Ligi Mistrzów Manchester United – Bayern Monachium, włóczyłem się uliczkami Barcelony, na których zresztą żadnej jabłoni nie znalazłem, i myślałem o mamie. Śpiewała o czymś, czego nigdy

w życiu nie widziała. Nie widziała też morza ani gór. Przed wojną najdalej była w Częstochowie. Kilka lat przed śmiercią pojechała na pielgrzymkę do Lichenia.

Bardzo chciała się uczyć, ale nie mogła. Skończyła pięć klas szkoły powszechnej. Później razem z ciocią Stasią, już jako panny, uzupełniały edukację w Otwocku. Kiedyś, podczas pracy w polu, zobaczyła śpiącego pod miedzą zająca. Uderzyła go patykiem między oczy, sprzedała, a za zdobyte w ten sposób pieniądze kupiła w Garwolinie książki. Miała jednak z tego powodu traumę do końca życia, bo zające śpią z otwartymi oczami, więc tamten to wszystko widział, mimo że nie miał już świadomości.

W domu do pewnego momentu obowiązywał jasny podział ról: ojciec pracował, a mama prowadziła dom i wychowywała dzieci. Czyli pracowała nie lżej od taty, tylko nie nazywało się tego pracą. Ale kiedy finansowo zrobiło się już całkiem źle, mama podjęła pracę w punkcie usługowym pralni chemicznej „Zjednoczenie" przy ulicy Młodej, a potem w Spółdzielni Inwalidów przy Oleckiej. Dyrektorem tego przedsiębiorstwa był prezes Hutnika Falenica. Nie mógł nie zatrudnić matki czołowego piłkarza, a zarazem studenta uniwersytetu. Nie o mnie mowa, tylko o bracie. To była zresztą jedyna wymierna, materialna korzyść, jaką Janek czy ja mieliśmy z gry w piłkę w Falenicy. Tylko przyjemności z tego wynikające były bezcenne.

Dla mamy doba nie dzieliła się na dzień i noc. Wstawała pierwsza, kładła się ostatnia. Kiedy tata budził się po czwartej rano, żeby dojechać do pracy w fabryce samochodów na Żeraniu, mama już była na nogach. My przed pójściem do szkoły musieliśmy zjeść śniadanie. Zimą piliśmy kakao. Nie lubiłem kożucha, ale mama żartowała, że jak zjemy kożuch, to będzie nam cieplej. Długo w to wierzyłem.

Mama i tata, 1935 rok.

Z mamą pierwszy raz poszedłem na grzyby do lasu, za budujący się przy ulicy Jachowicza poprawczak. To był raczej zagajnik, ale mama potrafiłaby znaleźć prawdziwka nawet na Marszałkowskiej. Ten talent przejął po niej Janek i to on otworzył przede mną drzwi do znacznie większych lasów na Aleksandrowie i pod Wiązowną. Grzybobrania należały do rytuałów

późnego lata i wczesnej jesieni. Chodziłem zwykle z przyjaciółmi: Jurkiem Sadowskim, Mietkiem Pyzą, a potem z Ryniolem. Czasami jeździło się rowerem, żeby nie tracić czasu na jałowe fragmenty lasu, który znaliśmy jak własną kieszeń.

Las podzieliliśmy na umowne sektory w stosunku do tak zwanej czerwonej szosy (ulicy Podkowy). Grzybowe miejsca miały swoje numery. Zaczynaliśmy po prawej stronie „czerwonki", „pod napięciem", a kończyliśmy po lewej, niedaleko bagien, na „Eldorado", gdzie rosły prawdziwki jak wiadra, a między nimi wiły się żmije. Moimi ulubionymi grzybami były czerwone koźlaki, których najwięcej rosło w okolicach bunkrów. Przed wyjściem z lasu robiło się selekcję, tak by najdorodniejsze grzyby leżały na wierzchu. Chodziło o wrażenie, które wypadało zrobić, wracając przez ruchliwą ulicę Młodą. Kiedy zbiór był słaby, na spód koszyka kładło się niejadalne olszówki. Na pytania znajomych: „Gdzie znalazłeś takie piękne grzyby?" – odpowiadało się z wyższością: „Aaa, mam swoje miejsca".

A to wszystko pierwsza pokazała mi mama i to ona nauczyła mnie odróżniać gołąbki od gąski siwej.

Mama miała kilka sukienek i złote kolczyki z jakimś ciemnym kamieniem. Ale jeden z tych kolczyków zgubiła, gdy wracała z imienin wujka Bolka na Bródnie, więc z drugiego zrobiła pierścionek. To była jej cała biżuteria. Nigdy się na nic nie skarżyła, ale lata życia w ekstremalnych warunkach zrobiły swoje. Chorowała na serce, zdarzało się, że pogotowie odwoziło ją do szpitala. Myślała tylko o dzieciach i o ojcu. Żebyśmy nie chodzili głodni i żeby nasze ubrania, choćby pocerowane, były zawsze czyste i wyprasowane.

Nie znała zazdrości i zawiści. Z nikim się nie kłóciła, nie miała wrogów. Kiedy ktoś w szkole czy na podwórku wyrządził mi krzywdę i pałałem żądzą rewanżu, mama mówiła:

– Stefuś, zostaw to, nie warto.

Wierzyła w sprawiedliwość, choćby nierychliwą. Z wyjątkiem krótkiego, wczesnego okresu pracy dziennikarskiej, kiedy na łamach swojej gazety lubiłem się bić, bo wydawało mi się, że wszystko wiem i jestem lepszy,

maksymę mamy pamiętam i stosuję do dziś. Wrogów mi nie brakuje (a po nagrodach i wyróżnieniach dziennikarskich nawet ich przybywa), rzadko jednak reaguję na ich ataki. Nie odpowiadam też na komentarze pod moimi tekstami w Internecie, a ostatnio wygrywam ze sobą i udaje mi się już ich nawet nie czytać. Może to jest nadstawianie drugiego policzka, oddawanie pola walkowerem, ale wolę taką pacyfistyczną postawę od bezsensownych bijatyk na słowa. Tym bardziej że przybywa ludzi, którym sprawia przyjemność robienie przykrości innym. Wśród dziennikarzy to działa tak, że im kto słabiej pisze i ma mniej do powiedzenia, tym bardziej jest bitny i głośny. Agresja ich napędza. Szkoda na nich zdrowia.

Mama miała też wyjątkowe poczucie empatii. Kiedy szczęśliwy przyniosłem do domu znalezione dwa złote, powiedziała:

– Stefuś, ale ktoś te pieniążki zgubił. A może nie miał więcej?

Nie rozumiała również, że można coś kupić taniej, żeby drożej sprzedać. To się kłóciło z jej poczuciem uczciwości, więc kapitalizmu by nie przeżyła.

Kiedy do naszej parafii miała przyjechać kopia cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, wierni stroili na jego powitanie swoje domy i podwórka. Mama też. Wieszając przy furtce girlandy, straciła równowagę i spadła z taboretu, uderzając się w pierś. Od tego zaczęły się jej kłopoty. Za późno wyczuła guzek, pewnie też trochę to zaniedbała, bo przecież dzieci, choćby już i dorosłe, były zawsze ważniejsze od własnych spraw. Całe życie chodziła do lekarza, a kiedy już nie mogła iść, rak zaatakował kości i było za późno na ratunek.

Mama zmarła 3 września 1987 roku, w dużym pokoju naszego domu. Miała tylko siedemdziesiąt lat. Został po niej pierścionek przerobiony z kolczyka, z którego zresztą dawno wypadło oczko, i srebrny medalik, pamiątka z pielgrzymki do Częstochowy w roku 1937. Mimo że była szarym mieszkańcem Falenicy, nie pełniła żadnych funkcji, na jej pogrzeb przyszło pół miasteczka.

Nadal kiedy w najbliższym rodzinnym gronie rozmawiamy o własnym życiu, decyzjach i wyborach, zawsze pada pytanie: „A co by na to powiedziała Mama?”.

Tworzyli z tatą zgodne małżeństwo przez pięćdziesiąt trzy lata i kiedy mama odeszła, ojcu zawalił się świat. Nie tylko dlatego, że mama była zawsze obok, na każde skinienie. Do tej pory ojciec nie martwił się o nic, a teraz stanął przed problemami tak prozaicznymi, jak zrobienie zakupów w sklepie spożywczym. Przez całe życie miał ustaloną trasę: ciut świt do pociągu, aby dojechać do pracy, po południu czasami do kogoś, żeby prywatnie dorobić. Wracał wieczorami. Tata był hydraulikiem, cieszył się dobrą opinią. Wszyscy w Falenicy i okolicach wiedzieli, że nikt lepiej niż on nie zainstaluje nowej pompy.

Taka praca wiązała się z nacinaniem stalowych rur na specjalnej gwintownicy, w którą musiał zainwestować, i wkręcaniem ich w grunt. To była ciężka robota fizyczna. Czasami kiedy jako nastolatek mu pomagałem, podziwiałem jego siłę. Tata był dość drobnym mężczyzną, ale żylastym i miał imadło w rękach.

Bywało, że po takiej pracy musiał odreagować w sposób niezbyt oryginalny, ale też typowy dla tamtych czasów. Gdy wracał do domu, zatrzymywał się na ulicy Młodej, pryncypialnej arterii Falenicy, gdzie blisko dawnej stacji kolejki wąskotorowej Jabłonna – Karczew znajdowała się restauracja Świerkowa.

Cóż to był za budynek! Drewniany, piętrowy, ze smukłą wieżą niczym w kościele Świętego Floriana na Pradze. Świątynia grzechu i rozpusty. Gdyby twórca stylu świdermajer Michał Elwiro Andriolli stanął przed nią, byłby dumny z nieznanego (przynajmniej dla mnie) architekta i cieśli, którzy w sosnowe deski tchnęli ducha stylu nadświdrzańskiego.

Nie zaglądaliśmy tam z bratem, bo byliśmy abstynentami. Jako młodszy naiwnie myślałem, że jeśli nie będę pił i palił, będę grał jak Pelé. Kiedy zorientowałem się, że jedno z drugim ma niewiele wspólnego, było już za późno, i wtedy dotarło do mnie, ile lat zmarnowałem.

Zdarzyło się jednak, że po jakimś meczu, którego zostałem przypadkowym bohaterem (w piaszczystym polu karnym potknąłem się ze zmęczenia o własne nogi, sędzia uznał, że to był faul, przyznał Hutnikowi

jedenastkę, którą zamieniliśmy na zwycięską bramkę), kibice zaprosili mnie do Świerkowej. Nie mogłem odmówić. Znalazłem się w świecie piwa z beczki, lakowanej wódki, wody sodowej w syfonach, oranżady w butelkach na otwierany jednym ruchem kciuka kapsel, stojących na ladzie bufetu słoi z kwaszonymi ogórkami. Wyżej, na półkach, z których zwisały ułożone w trójkąty białe papierowe serwetki, stały rzędy butelek lepszych alkoholi: gatunkowych wódek, rieslingów, słodkiego wina Lacrima, armeńskich koniaków, jugosłowiańskiej śliwowicy Badel. Wszystko to spowite w kłębach dymu sportów, giewontów czy pospolitych mazurów, od których padały muchy.

Były też mocno umalowane, znane mi z widzenia faleniczanki palące luksusowe radzieckie Drugi, z pięknym owczarkiem niemieckim (mówiło się: alzackim) na wieczku pudełka. Fama głosiła, że w pokojach na pierwszym piętrze odbywał kiedyś jakąś naradę Józef Piłsudski.

Gdyby dziś przenieść to wszystko do centrum Warszawy, knajpa miałaby trzy gwiazdki Michelina. Niestety, nie został po niej ślad. W roku 1968 spłonęła. Podobno ogień zaprószyli palący papierosy robotnicy z tartaku, którzy jako specjaliści od drewna twierdzili, że deski są zbutwiałe i się nie zajmą. Inna wersja mówi o strażakach, którzy podłożyli ogień, bo założyli się z nieznajomym przybyszem z Warszawy, że straż nie zdąży pożaru ugasić (a stąd do remizy było trzy minuty drogi). I wygrali. Wobec braku dowodów na jakąkolwiek przyczynę pożaru informacja, że doszło do niego w wyniku zwykłego zwarcia instalacji elektrycznej, brzmi tak banalnie, że wstyd mi ją powtarzać.

Ze Świerkowej do naszego domu, ulicą Wawerską (dziś Obszarowa) i przez polanę, było jakieś dwieście metrów. Tata pokonywał tę odległość zwykle w bardzo dobrym nastroju, którego sygnałem było powtarzane głośno monotonne hasło: „Rżnąć komunistów!”. Słychać je było na całej ulicy, co nie wróżyło niczego dobrego w domu.

Babcia, która na początku lat sześćdziesiątych przeprowadziła się do nas z Otwocka, twierdziła, że źródeł awersji tatusia do komunistów należy szukać w roku 1920. Babcia z siedmioletnim synem mieszkali wtedy w Otwocku Wielkim, do którego na krótko wdarła się Armia Czerwona. Żołnierzom nie chciało się zrywać jabłek, więc zrąbali całe drzewo. Jeden

trzymał je na ramieniu i ciągnął za sobą po polnej drodze, a reszta z karabinami na sznurkach szła za nim i rwała niedojrzałe owoce. A to było ulubione drzewko tatusia, na które się wspinał, żeby oglądać świat z góry. Od tamtej pory patrzył już na ten świat z innej perspektywy.

My byliśmy zdania, że babcia źle interpretowała wydarzenia historyczne, bo jak to jest, że jabłonkę Ruskie ścięli ojcu, a nie lubi ich cała Polska. Po przekroczeniu progu domu tata nie wspominał już o komunistach, chyba że akurat zobaczył w telewizorze Władysława Gomułkę. Nie przepadali za sobą (co ciekawe, tata fizycznie podobny był do przywódcy NRD, Ericha Honeckera) i zdarzyło się, że po przyjściu ze Świerkowej ojciec, nie mogąc przerwać towarzyszowi Wiesławowi przemówienia, rzucił w niego popielniczką. Paradę, jaką wtedy wykonałem w obronie telewizora Szmaragd, uważam za moje największe osiągnięcie sportowe, równe wyczynom Jana Tomaszewskiego na Wembley i Łukasza Fabiańskiego na Euro we Francji.

Tata nazajutrz wstawał jakby nigdy nic i jechał do pracy, a życie wracało do normy. Chyba nigdy nie miał kaca. Rzadko bywał agresywny i nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek dostał od niego pasem. Zapewne tak, ale nie wryło się to w moją pamięć. Ojciec nigdy nie przepił pensji. Jak już pił, to za to, co zarobił na boku.

Jako całkiem mały chłopiec sądziłem, że wódka jest jedynym alkoholem świata. Potem dowiedziałem się, że jest jeszcze wino, ale nie wierzyłem, że pije się je w dużych kieliszkach i drobnymi łykami, a nie małymi i na raz. Dopiero w kinie przekonałem się, że to prawda.

Tata wychowywał się w Otwocku Wielkim, gdzie do czasu wizyty bolszewików miał nie tylko swoje drzewko, ale i jezioro, którego na szczęście nie wypili. Jest tam do dziś, stanowi fragment starorzecza Wisły. Sąsiaduje z najładniejszym na Mazowszu barokowym pałacem, zaprojektowanym prawdopodobnie przez Tylmana z Gameren, w którym mieszkał między innymi marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński. Od jego urzędu i zasług dla Warszawy pochodzi nazwa ulicy: Marszałkowska.

Na jezioro patrzyli rezydenci lub goście pałacu: król August II Mocny, car Piotr I Wielki, premier Piotr Jaroszewicz, generał Wojciech Jaruzelski, internowany tu Lech Wałęsa, a także Borys Jelcyn, upijany do takiego stanu, aż wydał dokumenty w sprawie Katynia. To akurat raczej nie jest prawdą, ale z famą nie ma co dyskutować.

Mój tata miał więcej do czynienia z czworakami niż z pałacem, ale korzystał z dobrodziejstw jeziora. Kąpał się tu i łowił ryby. O mało źle to się nie skończyło. Raz, kiedy owinął żyłkę wokół przegubu, trafił się jakiś metrowy sum i wciągnął go do wody. Dobrze, że ojciec umiał pływać i rybę pokonał. Chodził wtedy do trzeciego oddziału szkoły powszechnej i był niewiele większy od tego suma.

Miałem do taty pretensję, że podczas okupacji nie zabił żadnego Niemca. Pokolenie moich rodziców niechętnie wspominało wojnę. Niektóre przeżycia były jeszcze świeże, a wujek Antek, najstarszy brat mamy, kowal z Bródna, nie chciał mówić o swojej córce. Irena, siostra cioteczna, starsza ode mnie o ponad dwadzieścia lat, walczyła w powstaniu i – jak mówiło się w rodzinie – uciekła kanałami do Londynu. Nie rozumiałem wtedy tej przenośni. Wujek cieszył się, że przeżyła, i cierpiał, że nie może jej zobaczyć. Ja poznałem ją dopiero w roku 1965, kiedy pierwszy raz po wojnie przyjechała do Polski.

Andrzej Szczepłek w mundurze I Dywizji Pancernej generała Stanisława Maczka, 1945 rok.

Przynależnością do Armii Krajowej lepiej się było nie chwalić. Młodszy brat mamy, wujek Bolek, należał do AK, ale omal nie przypłacił tego życiem, i to z rąk swoich towarzyszy. Nie dotarł na zbiórkę, która okazała się wsypą. Ktoś doniósł Niemcom, którzy wszystkich rozstrzelali. Wujek, jako nieobecny, był podejrzany o ten donos. Oczyszczono go z zarzutów, ponieważ udowodnił, że w tym czasie rodziła się jego córka, czyli moja cioteczna siostra Hanka, i musiał zostać przy żonie. W miejscu zbiórki,

przy wiadukcie kolejowym, obok ulicy Świętego Wincentego, znajduje się tablica upamiętniająca pomordowanych. Wujek, przejeżdżając tamtędy tramwajem na swoje Bródno, jeszcze wiele lat po wojnie zawsze się trząsł.

Tata jako dobry hydraulik i mechanik miał odpowiedni ausweis, pozwalający mu wchodzić do getta. Prawdopodobnie przy tej okazji coś wnosił lub wynosił. W naszym domu nigdy nie było czegoś takiego jak antysemityzm. Kiedyś przy wyjściu propozycję złożyli mu własowcy.

– *Jewrieja pokupisz?* – spytał jeden z nich, wyciągając z worka ludzką głowę pełną złotych zębów. – *Odin stakan za odin zub*.

Ile podobnych historii przeżył i nie chciał do nich wracać?

Tata był szczęśliwy, kiedy w roku 1974 jechałem na mistrzostwa świata do Niemiec. Musiałem mu opowiadać dokładnie, jakie miasta w Zagłębiu Ruhry zwiedziłem, bo on tam był w czasie wojny. Wywieziony na roboty pracował w Gelsenkirchen, Recklinghausen, Bochum, Essen, Wuppertalu. Bito go, przymierał głodem. Gdy zaczęły się alianckie naloty dywanowe, początkowo uciekał do schronu razem ze wszystkimi. Opowiadał o niebie czarnym od skrzydeł, które przesłaniały chmury, ryku silników, wybuchach bomb i dymach pożarów. Bał się jak wszyscy, bo bomby nie wybierały. Aż za którymś razem ruszył pod nie. Kiedy zaczął się kolejny nalot i bauer ze strażnikami schowali się w podziemiach, tata uciekł.

I te bomby wtedy wybierały. Padały obok, nie został nawet lekko ranny. Uciekał wiele godzin, oby jak najdalej i w stronę Holandii, bo ten kierunek znał. Po kilku dniach, kiedy już był daleko od miast, z głodu nie miał siły iść. Obdarty, zmarznięty po nocach spędzonych w lesie i rowach, jak najdalej od dróg, zdesperowany zapukał do drzwi stojącego na uboczu domu, nie wiedząc, co go czeka: lufa karabinu czy pomoc. Otworzyła Niemka w średnim wieku. Nie wpuściła do środka, ale dała mu pajdę chleba i wodę. Nazajutrz tata przekroczył granicę holenderską. Kilka dni później nosił już mundur I Dywizji Pancernej generała Stanisława Maczka. Miał wtedy trzydzieści dwa lata. Tyle, ile mój syn dziś.

Wiosną 1945 roku mama otrzymała wiadomość z Czerwonego Krzyża o śmierci taty, gdzieś w Niemczech. Nigdy w to nie uwierzyła. Modliła się i czekała. Tata wrócił do Warszawy dokładnie w dziesiątą rocznicę ich ślubu, 2 listopada 1945 roku. Odżywiony, w bateldresie z naszywką „Poland" na rękawie i parabellum w kaburze (przynajmniej ma go na zdjęciu). Wrócił na Targową, do siostry, bo wiedział, że tam na pewno dowie się czegoś o losach rodziny oraz miejscu pobytu mamy z Teresą i Jankiem. Może Czerwony Krzyż się pomylił, a może był ktoś inny o takim samym imieniu i rzadkim nazwisku, kto nie przeżył wojny?

Tata cieszył się sukcesami dzieci, bo spełnialiśmy jego marzenia. O Zagłębiu Ruhry mogliśmy rozmawiać jak bywalcy i w roku 1974 tata pytał, czy jeździ tam jeszcze tramwaj łączący miasta. Ale o Ameryce nie wiedział nic. Kiedy w roku 1994 pojechałem na mistrzostwa świata, tata leżał w szpitalu na Grenadierów. Miesiąc wcześniej podczas rutynowej kontroli wykryto mu na płucach małą czarną plamkę. Tata palił całe życie. Wtedy, w czerwcu był jeszcze dobrej myśli. Oglądał w szpitalnej sali telewizyjne transmisje meczów z Nowego Jorku, Chicago czy Waszyngtonu i chwalił się innym chorym: „Mój syn tam jest".

Oni pewnie patrzyli na niego jak na bredzącego osiemdziesięciojednoletniego dziadka. Ale mundial się skończył, a ja natychmiast po powrocie odwiedziłem tatę w szpitalu. Wtedy ci towarzysze jego niedoli popatrzyli na ojca inaczej, a on – szczęśliwy – rozpłakał się z radości. Pół roku później już nie żył. Odszedł w Miedzeszynie, w domu Teresy, swojej najstarszej córki.

Tata był spokojnym człowiekiem, a im dłużej żył, tym częściej się wzruszał. Płakał i przy *Mazurku Dąbrowskiego*, i przy hejnale Wyścigu Pokoju. A kiedy jakiś polski sportowiec stawał na podium, tata chlipał, udając, że ma katar. Mama zachowywała się podobnie, ale jedno przed drugim zgrywało twardziela. Chociaż, właściwie, mama nigdy niczego nie udawała.

Cała rodzina była taka. Mama przytulała nas zawsze, a tata nigdy, bo długo bał się okazywać uczucia. Wiedzieliśmy, że musimy się dobrze uczyć i uważać na złe towarzystwo, żeby nie sprawiać rodzicom przykrości. Mama nie miała wprawdzie wykształcenia, ale doskonale odróżniała dobro

od zła i wpoiła nam to na całe życie. Obydwoje mieli jedno marzenie: żeby dzieciom żyło się lepiej niż im. Mogło być biednie, ale byliśmy szczęśliwą rodziną, bo wszyscy się kochali.

ROZDZIAŁ III

SĄSIEDZI

Patron mojej ulicy, Maciej Kamieński, był kompozytorem, twórcą muzyki do pierwszej polskiej opery *Nędza uszczęśliwiona,* którą wystawiono w roku 1778. Nie znam, ale mi to pasuje. W roli patrona zajął miejsce Tadeusza Kościuszki, który musiał wywiesić białą flagę, kiedy w roku 1951 Falenicę przyłączono do Warszawy. Bronił się jeszcze kilka lat, ale stał na przegranej pozycji, ponieważ w Warszawie miał już inną ulicę czy wiślane wybrzeże swojego imienia. Jeszcze przez kilka lat po zmianie nazwy otrzymywaliśmy korespondencję na adres: Warszawa 90, Kościuszki 8.

Na Kamieńskiego było boisko, trzy posesje z czterema domami po stronie parzystej (mojej) i trzy po nieparzystej. Podwórko państwa Skrętów też przylegało do naszej ulicy, ale miało adres Włókiennicza. Podobnie jak parcela doktora Jana Chabiuka.

Od strony ulicy Popradzkiej (dawna Folwarczna) do naszych podwórek przylegały inne, tworząc pewnego rodzaju kwartały. Cały ten zwarty blok siedmiu podwórek i dziewięciu domów kończył się z jednej strony na ulicy

Włókienniczej, a z drugiej na małej polance, za którą były boisko i pętla autobusowa.

Mieszkało tam w sumie ponad dwadzieścia rodzin i wszyscy się znali. Dzieci razem bawiły się w Indian, wojnę i podchody, w kilku przypadkach łączyła nas szkoła. Dorośli spotykali się na podwórkach, na ulicy, w kościele i w sklepach. Zdecydowana większość przyjechała tam po wojnie. Dopóki jeździła kolejka wąskotorowa, na stację z domu szło się trzy minuty. Ja nie szedłem, bo kiedy na początku lat pięćdziesiątych kolejkę zlikwidowano, jeszcze nie chodziłem. A przynajmniej nie sam. Mógłbym na potrzeby książki zmyślić coś o swojej podróży tą ciuchcią i nikt by tego nie sprawdził. Ale nie mógłbym spać z takim kłamstwem. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek tą kolejką jechał. Chyba tak, ale może to był sen. Pamiętam natomiast, że Bogdan B. wrzucił raz pod parowóz granat i pociąg o mało się nie wykoleił.

Twórcą stylu świdermajer był Michał Elwiro Andriolli.

A może i to nieprawda? Bogdan był synem konduktora z tej ciuchci, a konduktorzy mieli wtedy lampki karbidowe. Karbid to podstawa

rozmaitych mieszanek wybuchowych, które wtedy chłopcy produkowali domowym sposobem, wykorzystując też proch z wygrzebywanych w lesie nabojów karabinowych. Zapewne Bogdan wrzucił więc puszkę z karbidem na tory, uciekł i nikt nawet tego nie zauważył. Ale „wrzucił granat" brzmi lepiej i dodaje rzucającemu powagi. A o co chodzi, jak nie o pozycję wśród chłopaków z pierwszych klas szkoły podstawowej?

Razem z tą kolejką relacji Jabłonna – Karczew odeszło w przeszłość wiele opowieści, których już nikt nie jest w stanie zweryfikować. Na placu w centrum Karczewa stoi jeszcze oryginalna lokomotywa z tamtego pociągu. Wygląda jak dziecięca zabawka. A przecież podczas wojny ciągnęła wagony, którymi do Warszawy jechało życie: „spod serca kap kap, rąbanka i schab, do tego dwa balerony". No i bimber oczywiście.

Od pierwszych lat mojej świadomości ciuchcia była już tylko wspomnieniem. Jej materialną pamiątką w Falenicy jest domek z początku XX wieku, pełniący funkcję dworca. Później mieściła się w nim między innymi przychodnia zdrowia, w której przyznano mi kategorię A – zdolny do służby wojskowej.

Kiedy wsiadałem na rower, aby popędzić na drugą stronę torów – na osiedle do znajomych lub do „Ryniola" na Patriotów – mogłem jechać z zamkniętymi oczami. W okolicach domu, na polanie i przy stacji znałem każdy centymetr trasy. Wiedziałem, gdzie rusza się płyta chodnikowa, gdzie spod ubitego szarego piasku na ścieżce przebija się korzeń i gdzie mieszkają mrówki, które trzeba ominąć, żeby rowerowe koło nie zburzyło ich domostw.

Z sąsiadami z piętrowego murowanego domu od strony Włókienniczej nie mieliśmy kontaktów, bo mieszkali tam głównie starsi ludzie. Znaliśmy się jak wszyscy, i tyle. Był tam tylko jeden chłopak w naszym wieku, Poldek. Graliśmy razem w klubie i nic poza tym. W roku 1981, kiedy poszedłem demonstrować na plac Zamkowy, spotkałem go, jak ubrany po cywilnemu dowodził zomowcami lub esbekami. Nawet jeśli mnie poznał, to udawał, że mnie nie widzi. Czyli tak samo jak ja jego.

Z tyłu, za jego i naszym domem stał inny, murowany, będący świadectwem przedwojennej świetności Falenicy. Jednopiętrowy, solidny, przykryty gałęziami rozrastających się klonów, był willą, jakie widywaliśmy w starych filmach o życiu inteligencji w II Rzeczpospolitej. Od strony Popradzkiej dom miał wychodzący na ogród ganek z kolumienkami, a na piętrze był taras. Kiedy się tam siedziało, słychać było ukrytą w ogrodzie dętą orkiestrę wojskową, ubraną w białe mundury i grającą *Na sopkach Mandżurii* lub *Fale Amuru*. Dzwoniły metalowe koszyczki na szklanki, do których gospodyni nalewała z samowara herbatę. To był tajemniczy ogród.

Nasze podwórka łączyła furtka. Jej przekroczenie oznaczało przeniesienie się nie tylko do innego miejsca, ale i czasu. W willi mieszkali państwo S., Rosjanie, którzy znaleźli tu schronienie po rewolucji bolszewickiej. Gdy uciekali z Sankt Petersburga, zdołali zabrać ze sobą wiele mebli, ubrań, bibelotów, dzięki nim zachowali tu atmosferę swojego domu znad Newy. Byli bardzo przyzwoitymi, gościnnymi ludźmi, rozpieszczali mnie cukierkami i pozwalali bębnić na pianinie. Pamiętam, że nad jego klawiaturą widniał napis „J. Becker". Kilkadziesiąt lat później w Leningradzie zobaczyłem u znajomych Rosjan takie samo pianino. Tyle że zamiast „J. Becker" było na nim napisane „Krasnyj Oktiabr". Brzmiało też jakoś inaczej.

Parter tego domu zajmował doktor Hipolit Lipko, powszechnie szanowany i najbardziej znany lekarz w naszym miasteczku. Przed wojną miał gabinet na placu Szembeka, a latem przyjmował właśnie w tej willi. Po wojnie pracował w falenickim ośrodku zdrowia, mieszczącym się w drewniaku przy Włókienniczej. Urodził się jeszcze w XIX wieku. Ludzie tamtych czasów, którzy szczęśliwie przeżyli kilka wojen, nie lubili mówić o swojej przeszłości. Słyszano tylko, że doktor Lipko miał stopień kapitana. Był internistą i pediatrą, jednak leczył skutecznie wszystko u wszystkich. Do mnie, w dzieciństwie regularnie zapadającego w zimie na grypę, też przychodził. Chyba nigdy za wizyty nie brał pieniędzy.

Babcia Rózia przez pół życia miała problemy z nogami, na których tworzyły się rany. Doktor Lipko próbował różnych leków i maści, ale te

tylko na krótko uśmierzały ból. Chyba się z tym pogodził, kiedyś powiedział jednak, że jak się rana zagoi, to się życie skończy. Od tej diagnozy babcia żyła jeszcze kilka lat. Umarła na zawał. W dniu swojej śmierci nogi miała piękne i gładkie jak nastolatka. Kazała się pochować nie w Falenicy obok matki, ani nie w swoim Otwocku, tylko na Bródnie, bo to był dla niej symbol eleganckiej i nobilitującej Warszawy, w której zawsze chciała mieszkać.

Obok doktora Lipki mieszkali państwo D. Ich córka była w wieku mojej starszej siostry – Teresy, a jej córka miała tyle samo lat co moja młodsza siostra Ania. Dobrzy sąsiedzi, mama znalazła z panią D. wspólny język. Do ściany ich domu przylegały dwie nasze komórki z węglem, świniakiem, a bywało, że i kurami, co miało prawo im się nie podobać, ale jakoś nigdy nie robili z tego większego problemu.

Babcia Rozalia Szczepłek w swoim sklepie spożywczym w Otwocku. Lata 30.

Najbliżej nam było do sąsiadów z dwóch piętrowych świdermajerów znajdujących się przy Kamieńskiego 4/6, ponieważ mieliśmy tam wielu rówieśników. Domy stanęły w latach 1924–1925. Jeden należał do państwa Szajnochów, drugi do ich bliskich krewnych – państwa Rudników. Ich potomkowie trzymają jeszcze akt zakupu parceli od właściciela tych

terenów Jakuba Hanemanna. Jest tam zastrzeżenie, że budować się można, ale bez prawa polowania. Jaka zwierzyna mogła tam wtedy przychodzić? Bo dziś dziki czują się tam jak w domu. Za moich czasów jeszcze ich nie było.

Kiedy wojna zbliżała się ku końcowi, a Armia Czerwona ku Falenicy, siostra pana Rudnika powiedziała, że nie przeżyje bolszewików. I słowa dotrzymała. W dniu uchwalenia Manifestu PKWN, czyli 22 lipca 1944 roku, w naturalny sposób odeszła z tego świata.

Większość znanych nam mieszkańców tych domów pojawiła się tam już po wojnie. Kazimierz Winkler, autor tekstów popularnych piosenek, spędził w domu państwa Rudników nieco ponad dziesięć lat. Jego żona prowadziła sklep, on pisał. Przy Kamieńskiego powstały teksty dwóch jego najsłynniejszych piosenek, które śpiewała cała Polska: *Czerwony autobus* i *Pierwszy siwy włos*.

Odwiedzali go znani ludzie, przyjeżdżający do Falenicy jak na letnisko. Zapewne też Władysław Szpilman „Pianista", twórca muzyki do *Czerwonego autobusu*. Kiedy brat piosenkarza Jerzego Michotka zajechał tutaj samochodem DKW, zleciała się dzieciarnia z całej ulicy, bo to był jeden z pierwszych samochodów w okolicy. A żeby pan Michotek sobie nie myślał, że jest lepszy, to mu chłopcy zatkali rurę wydechową kartoflem.

Mieszkańcy integrowali się przy różnych okazjach. Kiedy wybuchła wojna koreańska, gromadzono się w domu państwa Rudników wokół sześciolampowego radia Electric Opera, przywiezionego z przedwojennego Wilna. Rej na tych spotkaniach wodził pan C., dziadek naszego kolegi Andrzeja S. Mieli rosyjskie nazwiska, bo oni też, jak ci sąsiedzi z domu doktora Lipki, trafili tutaj po rewolucji październikowej. Pan C. służył w stopniu pułkownika pod generałem Piotrem Wranglem, co po zwycięstwie rewolucji nie dawało mu większych szans na różowe życie w czerwonej Rosji. Wyjechał więc do Polski, a po drugiej wojnie, już w Warszawie, przekonał marszałka Konstantego Rokossowskiego, że nikt mu lepiej nie ułoży koni pod wierzch. Dzięki temu żył, wprawdzie już nie w marmurowym pałacu, tylko w drewniaku, ale żył.

Dziadek C. słuchał w radiu meldunków z koreańskiego frontu, wyjmował mapy i rozgrywał na nich własne bitwy. Przekonywał innych słuchaczy, co która armia powinna zrobić, gdzie uderzyć, wskazywał słabe punkty i temu podobne. Następnego dnia, kiedy coś wydarzyło się po jego myśli, podkreślał swój strategiczny talent, porównując się do generała Douglasa MacArthura. Jeżeli stało się coś, czego nie brał pod uwagę, krytykował dowódców.

Nikogo nie obchodziło, skąd się wziął dziadek C., bo to nie miało żadnego znaczenia. Był po prostu sąsiadem, a jego wnuk Andrzej – naszym dobrym kolegą. Nikt nikomu nie patrzył w metrykę i nie sprawdzał miejsca urodzenia. Na Kamieńskiego mieszkali ludzie z różnych środowisk, może nie oligarchia, chociaż z tych drewniaków wyszła elita intelektualna. Najpierw były to jednak sfery urzędnicze. Elegancka pani J. pracowała w Polskim Biurze Podróży Orbis jako maszynistka. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych to było coś. Inni dojeżdżali do pracy w warszawskich biurach i fabrykach.

To było pokolenie naszych rodziców. My poszliśmy dalej. Kiedy już wyrośliśmy z zabaw „machajkami" – podziurawionymi i wypełnionymi żarem metalowymi puszkami, które świszcząc, zostawiały za sobą w powietrzu ślad dymu – lub znudziło się nam strzelanie z nypli łączących szprychy z obręczą rowerowego koła, wzięliśmy się za książki.

Wszyscy najbliżsi koledzy mojego brata Janka też pokończyli studia. Jędrek Rudnik został po politechnice inżynierem w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Jurek Bolikowski był profesorem elektrotechniki na uniwersytecie w Zielonej Górze. Andrzej Kaliniecki spełnił nasze marzenia o dalekich podróżach – zwiedził świat jako kapitan żeglugi wielkiej oraz nawigator PLL LOT.

Jurek, syn pani J., zajmujący pokój na piętrze, w którym wcześniej mieszkali państwo Winklerowie, też spełnił swoje marzenia. Był niewiele starszy ode mnie. Kilka lat po tym, jak oglądaliśmy w książkach Juliusza Verne'a rozwijające wyobraźnię obrazki z dalekich mórz, on na takie morza wypływał jako oficer na statkach handlowych. Po kilku podróżach

podjechał kiedyś pod swój drewniak eleganckim mercedesem, który wszyscy podziwialiśmy, na czym wyraźnie mu zależało. A potem zaciągnął się na następny rejs u jakiegoś norweskiego armatora i już nie wrócił. Spoczywa gdzieś na dnie Morza Północnego.

Janek, Jędrek, Jurek, Andrzej S. i Andrzej K., Ziutek, „Putek", Leszek, Marek, Rysiek – roczniki 1942–1945, sami studenci, w dzień lub w nocy spotykali się na werandach albo w pokojach naszych domów i godzinami grali w brydża i kierki – zawsze na sportowo. Naprawiali przy tym świat, gadali o dziewczynach i zajęciach na uczelniach, słuchali jazzu i Beatlesów, wypalali setki papierosów i wcale dużo nie pili, bo to nie było w modzie.

Być może podczas takich ich nocnych brydżowych spotkań z rówieśnikami z Radości, Miedzeszyna, Michalina, Józefowa, Świdra i Otwocka narodziły się określenia: szkoła falenicka i szkoła otwocka. Nie znam genezy tych nazw i myślę, że nikt nie zna jej na pewno. Podobno funkcjonowały już przed wojną, żeby podkreślić obrotność falenickich Żydów, cwańszych od tych z Otwocka. Albo odwrotnie.

W naszych czasach podobno brydżyści z Falenicy inaczej licytowali i zadawali pytania niż ich przeciwnicy z Michalina i dalej, aż po Otwock. Więcej w tym legend niż prawdy. A może na siłę chcieli się czymś odróżniać? Wydaje się, że te szkoły niczym się od siebie nie różnią, bo nie mówią o grze, tylko o życiu. Każdy chciał postawić na swoim.

Falenica nie darła z Otwockiem kotów, ale istniał rodzaj nieokreślonej rywalizacji między ostatnim osiedlem na południowym krańcu stolicy, za którym była granica miasta, a pierwszym większym miasteczkiem pod Warszawą po wschodniej stronie Wisły. Nieokreślonej, ponieważ nie było pól rywalizacji. Z wyjątkiem sportu. Hutnik walczył w klasie C, B lub A z KS Radość i ZWAR-em Międzylesie, ale to mecze z Otwockiem wzbudzały największe emocje. My byliśmy tylko osiedlem, kawałkiem dzielnicy na końcu Warszawy, a oni samodzielnym miastem. Każdy chciał udowodnić, że jest lepszy.

Szkoła falenicka i szkoła otwocka to odzwierciedlenie tych nastrojów, ale bez okazywania sobie wrogości. Chodzi raczej o bronienie swojego zdania,

nawet jeśli racja jest po drugiej stronie. Jestem zdecydowanie absolwentem szkoły falenickiej, co wynika z dosłowności i lokalnego patriotyzmu. Mój charakter w znacznym stopniu ukształtowała Falenica.

Na linii otwockiej nie mieliśmy wrogów, chociaż licea w Falenicy, Aninie i Otwocku rywalizowały w siatkówce, olimpiadzie wiedzy i ścigały się w liczbie absolwentów, którzy dostali się na wyższe uczelnie. Ale wszędzie czuliśmy się u siebie. Od Olszynki Grochowskiej po Otwock, do którego w moim przypadku dochodził sentyment związany z naszymi korzeniami i pracą rodziców przed wojną.

Do kasy biletowej w Falenicy przychodzi niemowa i kręci wyciągniętą ręką tam i z powrotem, po czym kładzie na ladzie odliczone pieniądze. Co on chciał? Bilet powrotny do Świdra. Taki dowcip ktoś wtedy wymyślił. Bo do Świdra jeździliśmy pociągiem. Trzy stacje i byliśmy na miejscu. Mijaliśmy Michalin i Józefów.

Józef Hen opowiadał mi, gdzie w Michalinie stał dom, w którym mieszkał.

– Ojciec dorobił się jako przedsiębiorca hydrauliczny oraz na zimie stulecia w 1929 roku i postawił willę letniskową w Michalinie, po lewej stronie torów, jadąc z Warszawy w kierunku Otwocka. Podział był wyraźny. Po lewej stronie wille miało mieszczaństwo żydowskie. Po prawej stały domy, które nazywaliśmy pałacykami. Budowali je chrześcijanie, inżynierowie, lekarze. Ale już w Świdrze takiego podziału nie było. Myśmy mieszkali tam w willi Niemców, trzech braci Schneiderów, którzy byli leśnikami. Wspominam o nich w *Nowolipiu*. Kiedy po wojnie ich aresztowano, zaprotestowała gmina żydowska, mówiąc, że oni ratowali Żydów. Więc otrzymali medale. A willę ojciec sprzedał. Szkoda, bo była piękna, odmalowana, z wodą w pokoju i ze skanalizowanymi ubikacjami na zewnątrz. Przyjeżdżali zamożni ludzie. Ale po kryzysie ojciec sprzedał willę z dużą stratą w 1934 roku. Nie ma po niej śladu. Rozebrali ją chyba chłopi podczas okupacji. Znajdowała się niedaleko stacji – opowiadał pisarz.

Świder był rzeką dzieciństwa. W jego płytkiej wodzie wychowało się pół powojennej Warszawy. Podczas biwaku harcerskiego w 1961 roku jeszcze łapałem tam gołymi rękami minogi. Kiedy podrośliśmy, zaczęliśmy chodzić nad Wisłę i Łachę. Czasami biegaliśmy tam z drużyną Hutnika na trening. Z domu do Wisły mieliśmy około trzech kilometrów. Jechaliśmy autobusem jeden przystanek do Błot, a dalej na piechotę, zatrzymując się po drodze na wiśnie, które rosły obok fundamentów rozebranych zabudowań. Albo rowerem z Falenicy. W Wiśle się kąpaliśmy, w Łasze – krótkiej, dzikiej i zarośniętej odnodze Wisły od Świdrów po Julianów – łowiliśmy kiełbie i brodziliśmy po kostki w wodzie ciepłej jak zupa. To był nasz odpowiednik amazońskiej selwy.

W Błotach, przy ulicy Waltera (dziś Zatrzebie), na kawałku trawiastej polany mieliśmy swoje San Siro, gdzie trenowaliśmy rzuty wolne. Musieliśmy uważać, żeby piłka nie wpadła za murowany płot, bo byłoby po niej. Za płotem skrywała się ogromna willa. Nosiła nazwę Mon Plaisir. Przed wojną senator II RP Tadeusz Karszo-Siedlewski postawił ją dla swojej partnerki Olgi Sławskiej, primabaleriny Teatru Wielkiego. Kiedy prezydent Ignacy Mościcki we wrześniu 1939 roku opuszczał Warszawę (a właściwie Spałę, gdzie zastał go wybuch wojny), pierwszym jego przystankiem w drodze do Zaleszczyk była właśnie ta willa na Zatrzebiu. Stąd wygłosił przez radio ostatnie przemówienie do narodu.

Niedziela z rodziną i sąsiadami z ulicy nad Świdrem, rzeką dzieciństwa. Od lewej: Danka Nejmanówna, Teresa, Danka Rudnikówna, z tyłu mama. Nie wiem, kto mnie trzyma na rękach, ale to moje najstarsze zdjęcie, w dodatku akt. Obok mnie Janek i Ziutek Karwowski. Z przodu Jędrek Rudnik. Rok 1951 lub 1952.

Później była to podobno jedna z kilku rezydencji gubernatora Ludwiga Fischera. Na pewno po wojnie willę przejął Urząd Bezpieczeństwa, a po nim Ministerstwo Kultury urządziło tu dom pracy twórczej. Kiedy w roku 1955 otwarto Stadion Dziesięciolecia, po odbywających się tam centralnych

dożynkach na popijawę przyjeżdżała tu cała partyjna wierchuszka, od Władysława Gomułki i Józefa Cyrankiewicza począwszy. Wtedy obstawiony był cały Wał Miedzeszyński. Cyrankiewicz lubił po imprezach wpadać na kawę do słynnej kawiarni Eskapada, urokliwie położonej u zbiegu Wału Miedzeszyńskiego i Bysławskiej w Błotach.

Lubiłem wyprawiać się rowerem dalej, do Świdrów. Była tam asfaltowa droga urywająca się na wysokim brzegu Wisły. Obok znajdowała się ogromna łąka, nazywana przez nas Maracaną, bo dobrze grało się tam w piłeczkę. W upalne lato zmieniała się w jedną wielką plażę, na której spotkałem nawet kiedyś opalającą się Zdzisławę Sośnicką. Łąka z widowiskowo urywającą się drogą zagrała w wielu filmach fabularnych.

Przez lata filmowcy mieli swoją bazę w położonym obok, przy głównej drodze z Warszawy do Puław, hotelu Pod Dębami. Kiedy Anna Dymna wypadła z sań podczas kręcenia *Barbary Radziwiłłówny*, właśnie tutaj przywracano ją do zdrowia. W tym hotelu, odkrytym w latach sześćdziesiątych przez karczewiaków grających w Legii, odbywały się zgrupowania tej drużyny przed ważnymi meczami. Spotykała się tu też czasami reprezentacja Polski. To Pod Dębami w roku 1967 poznałem osobiście Kazimierza Deynę i innych piłkarzy Legii. Przedstawił mnie im jako utalentowanego juniora mój trener, Tomek Trzaskowski, brat filaru defensywy Legii – Tośka Trzaskowskiego. Po tym historycznym z wielu powodów budynku została tylko kupa gruzów.

Po wielu falenickich domach również.

Na początku lat sześćdziesiątych w nasze rajskie życie wkradł się pewien niepokój. Niemal z dnia na dzień do domu Jędrka Rudnika sprowadziła się rodzina Cyganów. Lokal przydzielił im kwaterunek. Byli pierwszym pokoleniem, które zrezygnowało z koczowniczego trybu życia i postanowiło osiąść w Falenicy na stałe. Przyzwyczajeni do niedużych wozów dobrze czuli się w osiem czy dwanaście osób na trzydziestu metrach kwadratowych.

Kiedy oni przyzwyczajali się do nowego trybu życia, zaniepokojeni sąsiedzi załamywali ręce: co to teraz będzie? Obawa przed awanturami,

brudem, kradzieżami, zarazą, a nawet porwaniami dzieci, by wychować je w taborach „na Cyganów", była duża. Cyganie w roli zagrażających Polakom zajęli miejsce Żydów, którzy rzekomo porywali dzieci na macę. Nikt normalny nie wierzył w te bzdury.

Nowi sąsiedzi okazali się sympatycznymi, życzliwymi ludźmi. Szybko przystosowali się do nieznanych sobie warunków i nowych znajomych. Podczas kilku lat ich wspólnego z nami mieszkania, najpierw u państwa Rudników, a potem w oddzielnym domku za płotem od Popradzkiej, nic złego się nie wydarzyło. Nikt nikogo nie okradł. Zresztą na Kamieńskiego przez lata można było zostawiać drzwi otwarte. Oni tylko musieli w ogrodzie cynkować czy bielić patelnie, które potem sprzedawali na bazarze Różyckiego i obok Domu Towarowego Braci Jabłkowskich. Ale i to chyba mało komu przeszkadzało. Mały Kovacs, śliczny chłopczyk, miał rzęsy długie na dwa centymetry. Małe jak on dziewczynki z podwórka zazdrościły mu, ale czesały te jego rzęsy grzebieniami dla lalek. Niektórzy rodzice nie chcieli, aby ich dzieci bawiły się z Kovacsem. Ale dzieci chciały.

Swoje interesy Romowie prowadzili poza Falenicą. Matka Kovacsa trudniła się wróżeniem z ręki, kart i księgi Sybilli. Kiedy pod Pałacem Kultury wypatrzyła prostą kobietę w średnim wieku, która zwierzała się innej kobiecie, że ma chore dziecko, już ją miała.

– Jak dobra pani włoży między karty pieniążki, to Sybilla powie, jaka będzie przyszłość, wyleczy dziecko paniusi – przekonywała.

Kobieta nie była prosta, ale uwierzyła, jak to matka. Włożyła jeden banknot, jednak księga milczała.

– Za mało, dobra pani, Sybilla musi mieć więcej, żeby powiedzieć – tłumaczyła Cyganka.

Nieszczęśliwa kobieta przychodziła na spotkania coraz częściej, dokładała banknoty, a kiedy już księga od nich napęczniała, Cyganka z księgą Sybilli zniknęła.

Kobieta była żoną oficera, więc stanęła na głowie, aby Cygankę odnaleźć. Powiodło się jej. Nawet „Express Wieczorny" opisał tę historię. Nasza romska sąsiadka trafiła więc do więzienia, ale nie na długo. Mimo że nikt

jej tam nie odwiedzał, znalazła jakiś sposób na zajście w ciążę i z humanitarnych pobudek została zwolniona.

Kiedy umierał senior rodu, w domu i na całej ulicy przez kilka dni koczowali Romowie nawet z odległych regionów kraju. Senior pochodził z królewskiego rodu Kwieków i ta śmierć dotknęła romską społeczność w całej Polsce. Wcześniej i wtedy na Kamieńskiego przyjeżdżał nieraz Jerzy Ficowski, aby opisać ich zwyczaje. Dobrze nam się z nimi mieszkało.

ROZDZIAŁ IV

SZKOŁA

Mieszkaliśmy blisko szkoły nr 76, ale to była podstawówka Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, gdzie nie uczono religii. I mama wysłała mnie do odległej szkoły nr 124, za torami, obok kościoła. Jej dyrektorem był pan Kazimierz Stajuda. Bardzo zasłużony i szanowany, z chwalebną przeszłością tajnego nauczania podczas okupacji.

Rozpoczynałem edukację dziesięć lat po wojnie, kiedy w szkołach pracowało jeszcze wielu nauczycieli z piękną okupacyjną kartą. W kilku falenickich domach odbywało się regularnie tajne nauczanie. Byliśmy za mali, żeby rozumieć powojenne ideologiczne rozterki nauczycieli prowadzących lekcje podczas okupacji: pana Stajudy, państwa Nałęczów, Haczyńskich, pani Alicji Wittmajer, ale dzięki rodzicom i starszemu rodzeństwu coś do nas docierało. Co innego było w programie nauczania, co innego oni myśleli.

Byłem w pierwszej klasie, kiedy zmarł Bolesław Bierut. Pan z obrazka w elementarzu umieszczonego blisko innego, z dymami fabryk na

horyzoncie i grupą ludzi z łopatami na pierwszym planie, podpisanego: „Idą robotnicy do pracy". Pamiętam, że w szkole urządzono jakąś akademię. Nas to w ogóle nie interesowało. Wprawdzie słyszeliśmy, że Bierut to był ten przyjaciel dzieci, który jak zobaczył jakiegoś malucha spacerującego obok Belwederu, to wyskakiwał zza biurka, żeby dać mu rower. Ale nikt takiego szczęśliwca nie poznał. Więc skoro Bierut umarł, nas to specjalnie nie obeszło.

Lubiłem wyprawiać się rowerem do Świdrów. Była tam asfaltowa droga, urywająca się na wysokim brzegu Wisły.

Nie widziałem też łez w oczach naszych nauczycieli. O domu nie wspominając. Nie pamiętam oczywiście, ale jestem przekonany, że ojciec w intencji tej śmierci nadużył alkoholu. Trzy lata wcześniej, kiedy w Moskwie zgasło inne słońce, nie mógł, bo za okazywanie radości trafiłby pewnie do więzienia. Teraz miał więc prawo napić się w pakiecie – za dwóch nieboszczyków.

Wtedy pierwszy raz zobaczyliśmy, jak reaguje normalny człowiek, kiedy zmusza się go do żałoby. Dzieci nie używały słów „władza", „propaganda",

ale rozumiały, że coś jest nie tak. Więcej zaufania miały do rodziców niż do radia, a nawet i szanowanej na co dzień szkoły.

W tamtych czasach w klasie nad tablicą wisiał krzyż, a po jego obydwu stronach portrety Bolesława Bieruta i Józefa Cyrankiewicza. Ponieważ Bierut zamknął oczy, jego miejsce zajął Władysław Gomułka. Z punktu widzenia uczniów niczego to nie zmieniło. Bo przecież obok ukrzyżowanego Pana Jezusa też wisiało dwóch łotrów. Szybko uczyliśmy się takich tekstów od starszych.

Na początku czwartej klasy przeniesiono mnie do nowo wybudowanej szkoły, tak zwanej jedenastolatki, na ulicy Halnej. Wicedyrektor rzucał tam w uczniów pękiem kluczy. Mnie nie trafił. Stamtąd na ostatni rok podstawówki przeszedłem do szkoły nr 76. Obowiązywała tak zwana rejonizacja i nie miałem nic do powiedzenia. Plusem tego miejsca było to, że mogłem wychodzić do szkoły za piętnaście ósma, kiedy w radiu zaczynała się harcerska audycja *Błękitna sztafeta*. Skacząc i biegnąc przez dwa płoty, trzy podwórka oraz jedną polanę, i tak zdążałem. Budynek tej szkoły, istniejący do dziś, wzniesiono jeszcze przed wojną. W jednym ze skrzydeł mieszkali nauczyciele. To stąd pan Stajuda przeniósł się do nowej szkoły 124 i tam najprawdopodobniej urodził się jego syn Jerzy, który został znanym malarzem.

Na początku lat pięćdziesiątych do szkoły nr 76 chodziły dzieci z ogarniętej wojną Korei. Były w Polsce życzliwie przyjętymi uchodźcami w potrzebie. W ten przedziwny sposób trafiła do Falenicy wielka polityka międzynarodowa. Pół wieku później na miejscu szkolnego boiska wzniesiono dużą salę gimnastyczną, gdzie odbywają się zawody rangi międzynarodowej w sumo, między innymi z udziałem zawodników koreańskich.

Pierwszy raz zetknąłem się ze śmiercią rówieśników. Witek w Błotach skoczył na głowę z wysokiej skarpy do Wisły, ale tam była woda po kostki. Znaleziono go koło mostu Poniatowskiego. Rysiek, z którym w szóstej klasie siedziałem w jednej ławce, nudził się w czasie wagarów na Zatrzebiu. Chciał posłuchać radia, więc jeden koniec drutu owinął sobie

wokół przegubu, a drugi zamierzał podłączyć do aparatu. Żeby mieć prąd, przerzucił drut nad linią wysokiego napięcia. Oglądaliśmy go potem z dziecięcym zaciekawieniem, kiedy leżał w lesie, taki mały jak my. Nie wiedzieliśmy, że tak może wyglądać człowiek porażony prądem.

To były tragiczne wypadki. Ale dlaczego syn nauczycielki rzucił się pod pociąg obok elektrowni na Gruntowej, w ulubionym miejscu falenickich samobójców? Nie słyszeliśmy, żeby coś mu dolegało, a jego mamę wszyscy w szkole lubili.

Liceum nr 25 przy ulicy Halnej było super. Tak mi się spodobało, że klasę ósmą, czyli pierwszą licealną, studiowałem gruntownie – przez dwa lata. Matematyka, fizyka i chemia nie cieszyły się moim zainteresowaniem, mimo że nauczycielki robiły naprawdę dużo, aby to zmienić. Bezowocnie. Pani profesor Stefania Otorowska, kobieta anioł, po lekcjach matematyki ze mną mogła zwątpić w swoje pedagogiczne zdolności, a nawet miała prawo rzucić zawód. Ale trwała w uporze i nadziei przez cztery lata. Widząc, że nie wygra, na ustnej maturze (bo pisemną oczywiście uwaliłem), stojąc ze mną przy tablicy, cicho naprowadzała mnie na kolejne etapy równania z dwiema niewiadomymi, którego, rzecz jasna, nie potrafiłem rozwiązać. Dla mnie niewiadomych było więcej. Kiedy już postawiłem kropkę, głośno, triumfalnym, szczęśliwym głosem zwróciła się do przewodniczącego komisji Mieczysława Szczęsnego:

– Panie dyrektorze, uczeń wykonał zadanie.

Dyrektor miał u nas plus ze względu na stosunek do zwierząt, a dokładnie do szkolnego kundla, któremu woźny dał na imię Chruszczow. Nikita Chruszczow w Polsce wszędzie był u siebie i nasz pies też nie miał zahamowań. Ale kiedyś przegiął. Podczas uroczystego apelu w obecności uczniów i grona nauczycielskiego zapchlony kundel usiadł przed prezydium i zaczął lizać tylne fragmenty swojego ciała. W dodatku przy tym mlaskał. Dyrektor nie wytrzymał i krzyknął:

– Chruszczow, *paszoł won*!

Ooo, to już wyglądało na akt polityczny. Wobec śmiechu i frenetycznych braw zebranych pan dyrektor nieco się zreflektował, zaczerwienił i – żeby

nie zaogniać stosunków polsko-radzieckich, a przy okazji ratować posadę – zmieniwszy ton, łagodnym głosem powiedział:

– No, odejdź piesku, odejdź. Dobry Chruszczow, dobry.

Nie ma już pani profesor Otorowskiej, dyrektora Szczęsnego, mądrej historyczki Alicji Wittmajer, wspaniałej polonistki Janiny Piotrowskiej, koleżanki Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego, która sama była poetką. Dla pani Danieli Dworakowskiej, zwanej „Kicią", nauczyłem się rosyjskiego. Kiedy po latach oglądałem Genę Rowlands w filmie *Gloria,* widziałem „Kicię". Była niezwykle efektowną blondynką, na jej widok śliniła się męska część szkoły. A rosyjskiego uczyła tak, że przestawał być postrzegany jako język wroga. Stawał się muzyką, gdy czytała po rosyjsku wiersz Michaiła Lermontowa.

Pół wieku później w drodze na Mazury, na targu staroci w Rozogach kupiłem za dwa złote tomik poezji Lermontowa w oryginale. Przeglądałem go na jachcie gdzieś między wyspami Czarcią a Pajęczą. Okazało się, że jest tam *Borodino*. I z kolegą rówieśnikiem, patrząc w otwartą książkę, recytowaliśmy głośno z pamięci: *Skaży-ka diadia, wied' nie darom / Moskwa spalennaja pożarom / Francuzu otdana?*

Napędzając się tą deklamacją, przywołaliśmy się sami do porządku, bo w końcu to nie był *parus odinokij* na Morzu Czarnym koło Odessy, tylko solidna polska żaglówka Maxus 33 na Śniardwach.

Mam trzynaście lat. Tatry, Raptawicka Turnia.

Mimo że upłynęło wiele lat od matury, wtedy, na tamtej łodzi, „Kicia" była ze mną. Uczyła nas języka w taki sposób, żeby się nam nie nudził. Pokazywała zdjęcia pałacu Pietrodworiec, przekonując, że gdy kiedyś tam pojedziemy, to musimy wiedzieć, jak się co po rosyjsku nazywa i jacy carowie tam mieszkali.

– Aha, akurat, my pojedziemy? – nie bardzo jej wierzyliśmy, bo niby jak mielibyśmy pojechać.

Wybrałem się do Leningradu, kiedy pałac znajdował się w miejscowości Pietrodworiec, i do Sankt Petersburga, kiedy Pietrodworiec zmienił nazwę na Peterhof, choć to były nadal te same miejsca. Dzięki pani profesor mogłem porozmawiać z najlepszym bramkarzem wszech czasów Lwem Jaszynem i trenerem Legii Stanisławem Czerczesowem. Kiedy w roku 2015 Czerczesow przyjechał do Warszawy, młodzi dziennikarze mówili we wszystkich językach poza rosyjskim.

Na lekcjach rosyjskiego czytaliśmy *Rewizora* z podziałem na role. Bardzo to lubiłem, więc zmieniając głos, często odgrywałem kilka postaci. Byłem Horodniczym, Chlestakowem, Ziemlaniką, a jak moją przyjaciółkę Jolę Kiliś rozbolał ząb, to i Anną Andriejewną. Miałem dobre wzorce z Teatru Telewizji. Wystarczyło zapisać w pamięci melodię frazy aktora Aleksandra Dzwonkowskiego, który grał w *Ożenku* Podkolesina: „Stiopa, a szuwaks kupiłeś?".

Z rekomendacji pani Daszy Dworakowskiej i z pełną akceptacją pani Janiny Piotrowskiej zostałem szkolnym etatowym artystą estradowym. Zyskałem wśród kolegów przydomek „Złota Maska", w którym pobrzmiewała nutka ironii. Uczyłem się słabo, moje warunki fizyczne predestynowały mnie raczej do drugoplanowych ról charakterystycznych, moja dykcja i uzębienie pozostawiały wiele do życzenia. Mimo to prowadziłem szkolne akademie, byłem nawet wodzirejem, szedłem w pierwszej parze poloneza (w czym nie przeszkadzała mi nieznajomość kroków) na zabawie szkolnej, biorąc udział w rywalizacji stołecznych liceów, a więc będąc ocenianym przez wysłannika „Sztandaru Młodych".

Ponieważ w tamtych latach modny był *Podwieczorek przy mikrofonie*, przenieśliśmy jego formułę do szkoły. Kiedy teraz zdarzy mi się na moment i przez pomyłkę włączyć w telewizji jakiś kabaret, widzę, że to, co robiliśmy pół wieku temu w szkole średniej, nie było gorsze, mimo że było beznadziejne. Tworzyliśmy wtedy parę rozmówców: inteligentnego kierownika Florczaka i jego podwładnego, prostego, ale cwanego

urzędnika Malinowskiego. Nadawałem się tylko do tej drugiej roli. Kierownika grał Jacek Santorski, dziś znany psychoterapeuta.

Do sukcesów scenicznych dochodziły sportowe. W Hutniku grałem w piłkę nożną, w szkółce Legii w koszykówkę, więc w szkole wodziłem rej.

W moich szufladkach dobrej pamięci nauczyciele WF-u mają ważne miejsce. W szóstej klasie Andrzej Martynkin przyniósł na lekcję brązowy medal olimpijski – zdobył go na igrzyskach w Rzymie młociarz Tadeusz Ruta. Patrzyliśmy w ten medal jak w obraz. Mogliśmy dotknąć nagrody za konkurs, o którym redaktor Bohdan Tomaszewski opowiadał w radiu. Trzymając ten medal w ręku, pierwszy raz w życiu otarłem się o wielki, prawdziwy sport. Narkotyk zaczął działać.

Potem miałem w rękach inne medale, a te, które zdobywał Kazimierz Deyna, przez kilka lat leżały w szufladzie mojego biurka. Kiedyś moja siostra nauczycielka poprosiła mnie, bym pokazał je uczniom liceum na Saskiej Kępie. Był wśród nich chłopaczek, któremu zaświeciły się oczy, jak mnie trzydzieści lat wcześniej. Nazywał się Michał Pol. Został redaktorem naczelnym „Przeglądu Sportowego".

Po latach Andrzej Martynkin, już jako dziennikarz „Sztandaru Młodych", zostanie moim kolegą. Jego następca w szkole, Andrzej K., był wysoki, powolny w ruchach, małomówny, miał jednak w sobie coś ujmującego, bo zdawał się rozumieć nasze potrzeby. My jego zresztą też. Nazywaliśmy go „Zbójem". Lubił, kiedy przyjeżdżałem do szkoły rowerem, bo przed lekcjami robiliśmy wymianę. Ja mu dawałem rower, którym mógł jechać na oranżadę, a on mnie piłkę, żebyśmy mogli sobie przez godzinę pograć. Układ był uczciwy, a „Zbója" uznawaliśmy za równego gościa.

Nigdy nie miałem zajęć z Zofią Guliną, instytucją i legendą liceum nr 25, przyjaciółką „Kici". Przez kilkadziesiąt lat uczyła pokolenia dziewcząt gimnastyki i gry w siatkówkę. Zosia nie ma wieku. Podejrzewaliśmy, że gdzieś w okolicach wojny polsko-bolszewickiej jako studentka zniszczyła metrykę, dzięki czemu od tamtej pory się nie starzeje.

W roku 2013, przy okazji inauguracji roku akademickiego na warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego, z powodów mi nieznanych i ode mnie niezależnych uhonorowano mnie mosiężną tablicą w tak zwanym Gloria Optimis – Złotym Kręgu Wybitnych Osobowości polskiego sportu. Nie wiem, jak mogło do tego dojść, ponieważ są tam same najlepsze nazwiska sportowców, trenerów, ludzi kultury i nauki oraz kilku dziennikarzy. Stałem obok innych wyróżnionych w tamtym roku: mistrza olimpijskiego w jeździectwie Jana Kowalczyka, mistrza świata w kolarstwie, eksministra Mieczysława Nowickiego, wybitnego trenera koszykówki Witolda Zagórskiego. Ja, chłopak z Falenicy, w porównaniu z nimi niczego nie dokonałem.

Świadkami tej uroczystości byli też absolwenci AWF-u: Andrzej Martynkin i Zosia Gulina, którzy opowiadali wszystkim dookoła, że jestem ich wychowankiem. To była dodatkowa nagroda. W centralnym punkcie Akademii Wychowania Fizycznego, przy pomniku jej patrona Józefa Piłsudskiego czuliśmy się wtedy wszyscy trochę jak w Falenicy sprzed lat.

Miałbym w szkole mocniejszą pozycję, gdyby nie jeden drobiazg: wyniki w nauce. No, ale przecież przy takim nawale zajęć nie miałem się kiedy uczyć. Reprezentowałem szkołę w warszawskiej olimpiadzie wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, ale na świadectwach miałem trójki. Bardziej ciekawiło mnie to, czego nie było w podręcznikach. Opinia: „zdolny, ale leń" towarzyszyła mi do matury.

Zawziąłem się i maturę zdałem najlepiej w szkole (z wyjątkiem tej matematyki). Do dziś jest to mój największy sukces naukowy. A szkoła śniła mi się jeszcze latami. I to były cudowne sny.

Rok 1967 należał do najlepszych w życiu. Przeżywałem wtedy pierwszą prawdziwą szkolną miłość. W maju Celtic Glasgow zdobył piłkarski Puchar Mistrzów. Kiedy ja szykowałem się do balu maturalnego, na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu Czesław Niemen wykonał pierwszy raz *Dziwny jest ten świat*. Początkowo mnie to nie porwało. Co to za piosenka, której nie można zaśpiewać? Ale ona wciągała, tekst nie był prostą „historią jednej znajomości" nuconą na plaży w Kątach Rybackich i szybko stał się

manifestem pokolenia. A może jest nadal, już innej generacji, minęło przecież ponad pięćdziesiąt lat.

Miałem iść na prawo, ale właśnie wtedy na uniwersytecie otworzono nowy kierunek, który mnie interesował: nauki polityczne. W dodatku wybuchła wojna sześciodniowa między krajami arabskimi a Izraelem, więc było ciekawie. Powinno mi od razu dać do myślenia, że skoro część egzaminów zdawaliśmy w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR, mającej siedzibę w budynku zajmowanym teraz przez Urząd Rady Ministrów przy ulicy Bagatela, to coś jest nie tak. Ale o tym, gdzie trafiłem, miałem się dopiero przekonać.

Wtedy mnie to nie interesowało. Nie czekając na wyniki egzaminów, pojechałem na Mazury. Przez miesiąc na omedze, od Węgorzewa po Pisz, opaliłem się jak nigdy wcześniej ani później, nawet w Meksyku i Zimbabwe. Po powrocie poszedłem na UW, żeby sprawdzić, czy się dostałem. Zacząłem od listy nieprzyjętych – i się znalazłem: Stefan Szczeptek. Znam pięćdziesiąt wersji swojego nazwiska, więc choć trochę się zdziwiłem, przyjąłem wyrok z godnością.

Mój brat, który wierzył we mnie bardziej niż ja sam, zaczął od listy przyjętych i też mnie znalazł. Czyli był jakiś Stefan Szczeptek, któremu się nie powiodło. Mnie pomogły punkty za pochodzenie. Zaczynałem nowe życie.

ROZDZIAŁ V

LEKTURY

Pierwsza *Mała encyklopedia powszechna PWN* wyszła bodajże w roku 1959 i myśmy ją od razu kupili. Na początku lat sześćdziesiątych babcia Rózia zapłaciła za subskrypcję nowej, dwunastotomowej encyklopedii i pięciotomowej *Geografii powszechnej PWN*. W domu, w którym ze względów ekonomicznych margaryna Palma zastępowała masło, kupowało się książki i prasę. Rodzice nie mieli warunków, żeby się kształcić, mimo swojej ciężkiej pracy nie mogli nam zapewnić życia na wysokim poziomie i wiedzieli, że nie zostawią nam niczego w spadku. Nie było wyjścia – żeby coś osiągnąć, należało się uczyć. I nie ma się co oszukiwać: PRL stwarzała po temu warunki.

Teresa skończyła polonistykę, Janek i Ania historię, a ja nauki polityczne. Naszą Alma Mater jest Uniwersytet Warszawski. Teresa i Janek byli zawsze prymusami w szkole. Ania później też. Ja tego o sobie nie mogę powiedzieć. Od obowiązkowego, szkolnego programu nauki wolałem swój prywatny.

W latach pięćdziesiątych modne było wspólne odrabianie lekcji. Ponieważ Teresa była nie tylko najlepszą uczennicą, ale i atrakcyjną, mającą swoje zdanie dziewczyną z charakterem, niemal codziennie przyjeżdżali do niej rowerami szkolni koledzy, żeby się wspólnie pouczyć. Rowery opierali o sosnę, a bywało ich tyle, że nie można się było przecisnąć do furtki na werandę.

Jedno z pierwszych fundamentalnych pytań, jakie zadawałem sobie podczas niedalekich wycieczek z mamą lub rodzeństwem na zatrzebiańskie łąki, brzmiało: dlaczego nie można dojść do horyzontu? Miałem pięć, może sześć lat i byłem zbyt mały, aby dogonić linię między Ziemią a niebem, która przesuwała się szybciej, niż ja szedłem lub biegłem w jej kierunku. Na czym stoi Ziemia? Trzymają ją słonie na grzbietach czy aniołowie na skrzydłach? I Ziemia musi być płaska, bo inaczej nic by na niej nie stało i nie rosło. Ale dlaczego horyzont przede mną ucieka? Żeby wiedzieć, należało czytać.

Czytałem to, co pozwalało rozwinąć wyobraźnię i przenosiło nas w inny świat: *Robinsona Crusoe* Daniela Defoe, *Wyspę Robinsona* i *Orinoko* Arkadego Fiedlera, *Dzieci kapitana Granta, Piętnastoletniego kapitana* i *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* Juliusza Verne'a, wszystkie części Winnetou, Old Shatterhandy, Old Surehandy Karola Maya, *Białego Kła* Jacka Londona, *Sokole Oko* i *Ostatniego Mohikanina* Jamesa Fenimore'a Coopera, *Wyspę skarbów* Roberta Louisa Stevensona… Wszyscy chłopcy to wtedy czytali.

Ołowiany model przedwojennego autokaru Pullman, który otrzymałem od niezwykle bliskiej nam pani Marii, pełnił funkcję skarbonki.

Zastanawialiśmy się, kto postawił posągi na Wyspie Wielkanocnej i czy to prawda, że po wybuchu wulkanu Krakatau do Londynu dotarły najpierw wulkaniczne pyły, a dopiero potem informacja o erupcji. Gdzie leży Krakatau? Trzeba było sprawdzić na mapie i w książkach. Gdy po letnich burzach zostawały kałuże, puszczaliśmy na nich łódeczki wystrugane z kory scyzorykiem, widzieliśmy bestie większe od Moby Dicka, wciągające w morską otchłań całe żaglowce.

Chęć poznawania dalekich krajów sprawiała, że marzeniem co drugiego z nas była nauka w Szkole Morskiej w Gdyni.

Z czasem do głowy przyszła obrazoburcza myśl, że nie wszystko w tych książkach musi być prawdziwe i warto dowiedzieć się czegoś więcej, co ma oparcie w faktach. Pojawiły się więc nieco poważniejsze książki podróżnicze Wydawnictwa Iskry z serii „Naokoło świata" (z *Wyprawą Kon-Tiki* Thora Heyerdahla), seria ceramowska PIW-u (*Bogowie, groby i uczeni*), *Sztuka cenniejsza niż złoto* Jana Białostockiego, *Gdy słońce było bogiem* Zenona Kosidowskiego i wiele innych. *Mitologia* Jana Parandowskiego zachęciła do

poznania imion wszystkich bogów, bóstw i herosów starożytnej Grecji i Rzymu.

Do tego dochodziły czasopisma: „Poznaj Świat", „Dookoła Świata", „Świat", „Forum" i „Przekrój". W późniejszych latach liceum pojawiły się „Kultura" i „Polityka", które zaczęły wypierać z lektur tamte pisma, z wyjątkiem „Przekroju". Jeśli gazeta codzienna, to „Życie Warszawy". Oczywiście po drodze do szkoły kupowało się „Przegląd Sportowy" i tygodnik „Sportowiec", dwa podstawowe źródła informacji o sporcie. Ale i „Świat Młodych" z *Tytusem, Romkiem i A'Tomkiem*.

Następny etap lektur to prawdziwa literatura. Obowiązkowo – modni w latach sześćdziesiątych pisarze amerykańscy, począwszy od Ernesta Hemingwaya i kultowej książki *Buszujący w zbożu* Jerome'a Davida Salingera, po której nie można było spać. Potem już poleciało: Albert Camus, Alberto Moravia, Fiodor Dostojewski, Michaił Bułhakow, Izaak Babel...

Aż któregoś dnia, już na studiach, przeczytałem *Jedną stronę medalu* i poznałem swojego pierwszego, jednego z najważniejszych mistrzów: Antoniego Słonimskiego.

Ale jest też coś wstydliwego, co dyskwalifikuje mnie jako inteligenta: w młodości lekturę Marcela Prousta uważałem za stracony czas, nie zdołałem też przebrnąć przez *Ulissesa*. Włóczyłem się nawet kiedyś po Dublinie, specjalnie śladami Jamesa Joyce'a i Leopolda Blooma, z nadzieją, że doznam objawienia, jednak większą przyjemność sprawiała mi degustacja guinnessa w każdym mijanym pubie. Po kilku godzinach takiej wędrówki byłem pewny, że *Odyseja* Homera jest prostsza. Przeczytałem tego *Ulissesa*, ale zdecydowanie za późno.

Moim przewodnikiem po literaturze był Janek. On przecierał też moje życiowe szlaki. Bez żadnych problemów dostał się na historię, ponieważ nie było dla niego trudnych pytań. Ale i on trafił na swego. Myślał, że ma pełną wiedzę o swoich ulubionych Inkach, Majach i Aztekach. Czytał wszystko, co się na ten temat ukazało. Na uczelni poznał jednak

podobnego wariata, który wiedział jeszcze więcej. Bo znał języki i stać go było na sprowadzanie książek z zagranicy. To dawało do myślenia.

Nic dziwnego, że kiedy w Muzeum Narodowym otwarto wystawę *Skarby sztuki meksykańskiej*, poszliśmy na nią kilka razy i robiliśmy notatki. Wiele eksponatów obejrzałem ponownie, ale trzydzieści kilka lat później, już w Narodowym Muzeum Antropologicznym w Meksyku. Oczywiście obowiązkowa była też wystawa skarbów z Faras. W wieku kilkunastu lat widziałem się w roli studenta archeologii, który zostaje asystentem profesora Kazimierza Michałowskiego w Egipcie i Sudanie. I znów, kiedy po latach przemierzałem sale muzeum w Kairze lub wchodziłem do świątyni Abu Simbel, wydawało mi się, że ja to wszystko znam.

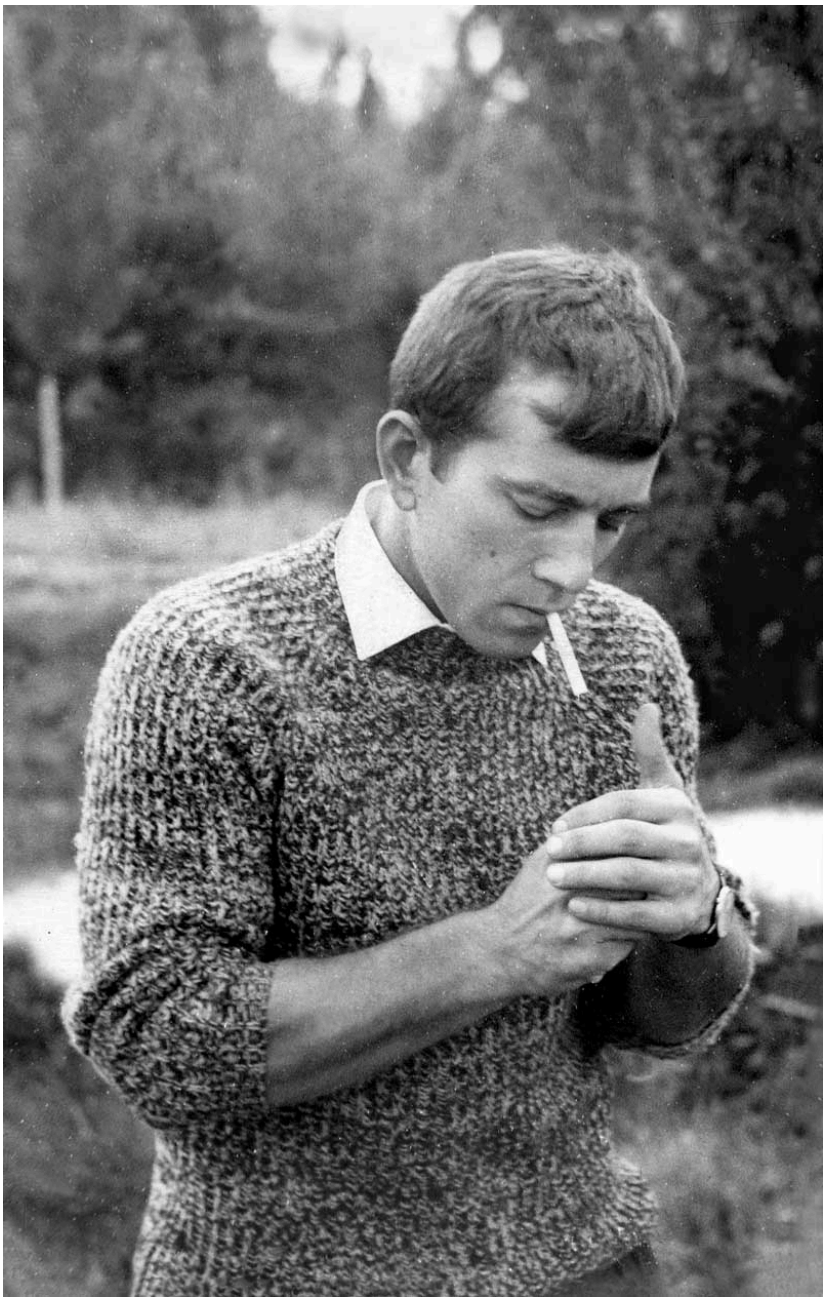

Moim przewodnikiem po życiu i literaturze był brat Janek. Bez niego byłbym nikim. Niestety, papierosy skróciły mu życie. Lata 60.

Panował w tamtym czasie kult wiedzy. Bardzo popularna była gra towarzyska nazywana Inteligencją. Na kartce tworzyło się rubryki z nagłówkami: państwo, miasto, góra, rzeka, jezioro, morze, zwierzę, bitwa, polityk, pisarz, sportowiec, imię... Nie pamiętam, co jeszcze. Jedna osoba recytowała w myślach alfabet, ktoś inny mówił „stop". I wtedy należało szybko wpisywać nazwy i hasła zaczynające się na podaną literę.

Z inteligencją miało to niewiele wspólnego, ale promowało wiedzę, też zresztą niezbyt głęboką, krzyżówkową, i zmuszało do wysiłku. Wiadomo, że zwierzę na literę „o" to osioł, ale za niego otrzymywało się mało punktów. Było jeszcze okapi. Ciekawostka, której warto się było przyjrzeć, czyli coś przeczytać, a to oznaczało kontakt z książką. Nie wystarczało już uczenie się na pamięć słownika wyrazów obcych, dzięki czemu można było błysnąć w towarzystwie.

To nie przypadek, że w tamtym czasie zrodził się fenomen teleturnieju *Wielka Gra*, a na teleturnieje Politechnika – Uniwersytet czekało się cały rok. Reprezentanci obydwu stołecznych uczelni byli wówczas traktowani co najmniej jak wioślarze osad Oxfordu i Cambridge.

Z punktu widzenia dzieci urodzonych po wojnie radio było zawsze, a telewizja rodziła się na naszych oczach. W kuchni wisiał odbiornik, zwany potocznie kołchoźnikiem. Miał jeden program, nie trzeba go było włączać ani wyłączać. Ktoś to gdzieś robił za nas, więc można powiedzieć, że ten kołchoźnik stanowił kwintesencję socjalizmu. O piątej budził nas Karol Hoffmann prowadzący gimnastykę poranną, o północy program kończył się hymnem państwowym. Nie było żadnego wyboru. Jedyna gałka regulowała głośność.

W stołowym stało radio Stolica, z „magicznym oczkiem", ale rzadko je włączaliśmy. Służyło przede wszystkim ojcu do słuchania Wolnej Europy, co zawsze łączyło się z pomstowaniem na tych, którzy ją zagłuszali.

Na początku lat sześćdziesiątych z radiem zaczęła wygrywać telewizja. W zasadzie mogłem nie odchodzić od kupionego na raty telewizora. Miałem swoje miejsce w stołowym pokoju, za drzwiami do kuchni, siedziałem tam sobie cicho i oglądałem wszystko jak leci. Dzięki temu znałem nazwiska głów państw i premierów wszystkich krajów świata. Wiedziałem, że emir Kuwejtu nazywa się Sabah III as-Salim as-Sabah, prezydent Chile to Eduardo Frei Montalva, a minister spraw zagranicznych Belgii to Paul-Henri Spaak, i w dodatku mogłem opisać, jak wyglądają. Bądźmy szczerzy – ta wiedza nie była do niczego potrzebna,

przydawała się natomiast, kiedy na rozmaitych egzaminach można nią było przykryć inne braki.

Kibicowałem prezydentowi niepodległej Algierii Ahmedowi Ben Belli i premierowi Konga Patrice'owi Lumumbie w jego sporze z prezydentem Josephem Kasavubu. Ale kiedy na arenie politycznej Konga pojawił się Joseph Mobutu, to trochę się pogubiłem, mimo że redaktor Karol Małcużyński starał się wszystko mi wytłumaczyć.

W telewizji pierwszy raz zobaczyłem *Casablankę* i wtedy do grona moich ekranowych miłości dołączyła Ingrid Bergman. W poniedziałki oglądaliśmy Teatr Telewizji, w inne dni seriale: *Świętego*, *Doktora Kildare'a*, *Belfegora – upiora Luwru* oraz pierwsze odcinki *Stawki większej niż życie*.

Gust i poczucie humoru kształtował Kabaret Starszych Panów. Co było magicznego w tym statycznym programie, że kilkunastoletni, głupi jeszcze chłopak nie mógł odejść od telewizora?

Nie mogłem wtedy wiedzieć, że ćwierć wieku później Grzegorz Wasowski zostanie moim kolegą, a dziś obydwaj jesteśmy starsi niż jego ojciec i przyszywany wuj Jeremi Przybora wtedy, kiedy występowali na ekranie jako Starsi Panowie.

Nie wiedziałem też, że zostanę autorem haseł o piłce nożnej do trzydziestotomowej *Encyklopedii powszechnej PWN*. Babcia, która kupiła nam pierwszą dwunastotomową encyklopedię i powtarzała: „Wnusiu, piłka ci chleba nie da", byłaby dumna.

ROZDZIAŁ VI

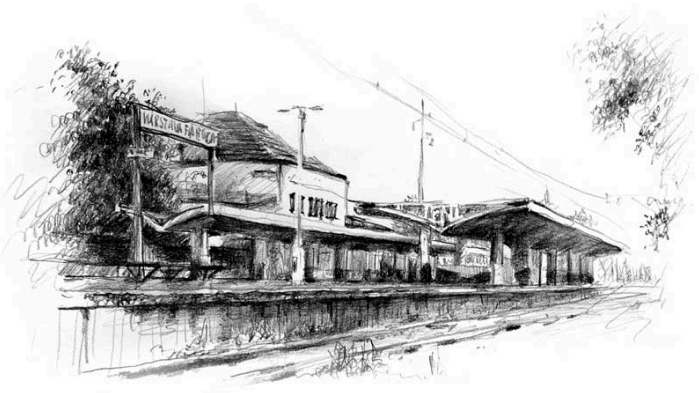

MŁODA I OKOLICE

Za płotem, po drugiej stronie ulicy Kamieńskiego rosły sosny, na tyle rzadko, że służyły nam za słupki bramek. Kiedy graliśmy w piłkę, musieliśmy uważać, żeby nie rozbić sobie głowy o pień. Bo, jak wiadomo, był taki bramkarz, który zginął podczas jakiejś parady. Strzał obronił, ale zabił się, uderzywszy głową w sztangę. Nazywał się Zamora.

Nie wiem, skąd my to wiedzieliśmy, ale była to pierwsza futbolowa legenda, z jaką się zetknąłem. Co ciekawe, nie wiązała się z jakimkolwiek piłkarzem polskim, tylko zagranicznym, i to z egzotycznego kraju. To coś mówiło o poziomie polskiego piłkarstwa, w którym brakowało legend, ale jeszcze wtedy, w wieku lat dziesięciu czy dwunastu, nie widziałem potrzeby jego reformowania. W rzeczywistości Hiszpan Ricardo Zamora, *guardameta* rzeczywiście legendarny, strzegący przed wojną bramki Realu oraz Barcelony, jeszcze wtedy żył i wcale nie był stary.

Na początku lat sześćdziesiątych leśna polana została przekształcona w skwer z alejkami i ławkami, więc tym samym straciliśmy boisko. Wciąż jednak było to jedno z wielu miejsc naszych zabaw w Dziki Zachód lub

wojnę. Ale i związane z pewnym traumatycznym przeżyciem. Wracaliśmy właśnie z kina Szpak, gdzie grali *Kuriera carskiego* z Curdem Jürgensem, gdy na ulicy między polaną a naszym domem padł koń, który ciągnął przeładowany wóz. Furmani pochodzili gdzieś z daleka, nie bardzo wiedzieli, co zrobić, o żadnych służbach weterynaryjnych czy porządkowych nikt wtedy nie słyszał.

Otoczeni wianuszkiem doradzających im ludzi zaczęli więc tego konia w barbarzyński sposób ciąć na kawałki. My, dzieci, zajmowaliśmy na tej widowni honorowe miejsca. Ciekawość, współczucie, obrzydzenie, szok – za dużo, jak na nasze krótkie jeszcze życia. Nieżywy mustang na kinowym ekranie i perszeron w chomącie leżący pod domem to jednak nie to samo. A kiedy ci właściciele byłej już szkapy przyszli do nas, żeby umyć zakrwawione ręce, w podziękowaniu chcieli dać kawałek zadu, ale mama stanowczo odmówiła. W tradycji kulinarnej naszej rodziny konina nie istniała.

Przez ten skwer przechodziłem codziennie w drodze do liceum. Po niecałych stu metrach byłem już na ścieżce, a dalej, za Bysławską wchodziłem w ulicę Mozaikową. Tędy przebiegała w przeszłości trasa kolejki wąskotorowej. Gdy szedłem na pisemne i ustne egzaminy maturalne, pokonywałem przez kilka dni dokładnie taką samą drogę, nie po lewej stronie krzaka, tylko po prawej (a może odwrotnie), na szczęście.

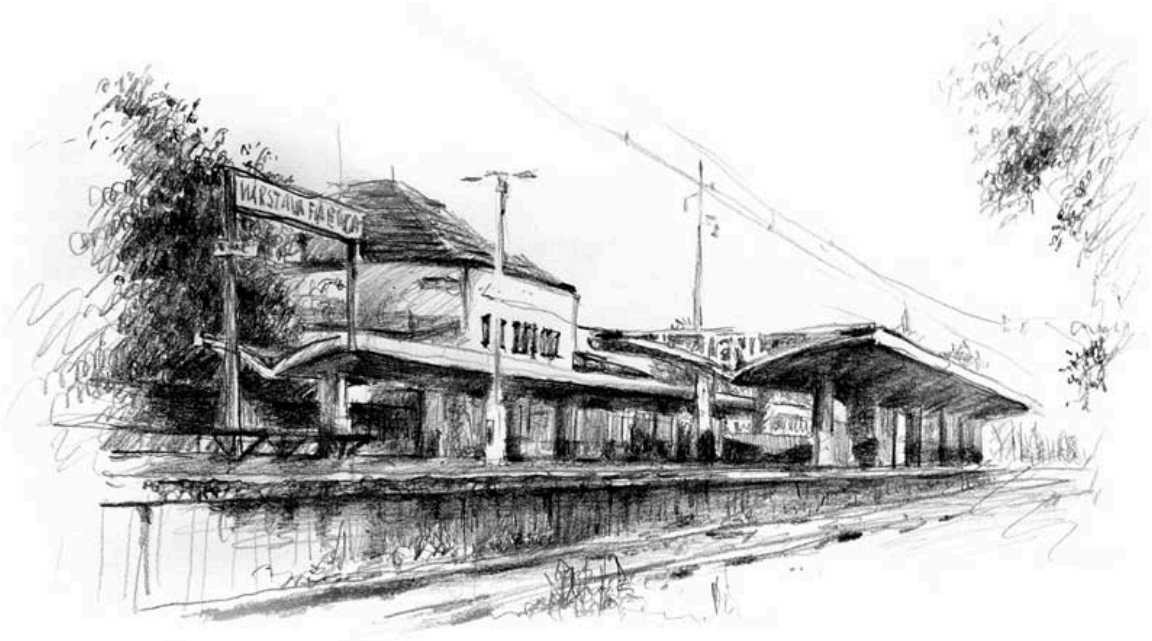

W okolicach domu, na polanie i przy stacji znałem każdy centymetr trasy.

Na skwerku, obok nieistniejących już torów, na początku lat sześćdziesiątych były „dechy", czyli parkiet z sosnowych desek, gdzie w niedzielę odbywały się zabawy taneczne. Siłą rzeczy najbliższe okolice stawały się wtedy barami pod chmurką i miejscem bójek między naszymi chłopakami a żołnierzami na przepustce z jednostek w Rembertowie i Wesołej. Krwawe to były boje, bo żołnierze owijali sobie dłonie ciężkimi skórzanymi pasami, a orężem stawały się metalowe klamry zastępujące kastety.

Oczywiście bili się dla zasady, o honor lub o dziewczyny. Ale były i takie dziewczyny, jak dwie siostry Serdelkówny, znane ze swojej dobroczynności i otwartego serca. O nie nikt się nie bił. Pracowały niczym pogotowie. O którejkolwiek nie szedłbym przez skwer, zajmowały ławki i rozdawały na nich przyjemności niemal każdemu, kto o to poprosił. Uważałem je za kobiety nieszczęśliwe, które nie potrafią związać się z kimś na stałe, dlatego szukają swojego szczęścia codziennie z kimś innym, licząc na to, że w końcu znajdą tego właściwego. Ale one wcale nie wyglądały na pokrzywdzone. Nie wiadomo wszakże, dlaczego były wytykane palcami

przez kobiety zamężne. Może z zazdrości, bo choć nie zawsze chodziły trzeźwe, to zawsze były uśmiechnięte.

To na tym skwerku – polanie w środku lata biegła do mnie z daleka Ela. Miała blond włosy związane w koński ogon, była szczupła, zgrabna, w kretonowej kolorowej sukience. I ja prosto z Mazur wróciłem wcześniej, bo już tęskniłem. Opalony, z wiadomością, że dostałem się na studia. Pachniała tak, jak może pachnieć siedemnastoletnia dziewczyna. Mimo że przytulaliśmy się pod sosnami, byliśmy wtedy w Weronie.

Do centrum, czyli na ulicę Młodą, można było dojść przez polanę lub do końca Kamieńskiego w prawo, obok kuźni. Dalej, u zbiegu Włókienniczej, Popradzkiej i Młodej, w drewnianym domu miał swój gabinet doktor Jan Chabiuk. Na rogu Młodej i Włókienniczej mieszkał pan Świderski. Spokojny, kulturalny, był porządkowym na boisku Hutnika w Falenicy, a potem na trybunie prasowej stadionu Legii. Jego syn grał w Agrykoli na bramce.

Włókiennicza prowadziła aż do Józefowa. Myśmy się tak daleko nie zapuszczali. Najdalej to do granicy Warszawy, czyli jakieś pół kilometra na południe. To tam, na Początkowej (wcześniej Sienkiewicza), mieszkała ciocia Stasia z wujkiem Ryśkiem. Idąc do nich, mijało się stary długi drewniany budynek szkoły nazywanej „kowbojówą". To właśnie tutaj dyrektorem był Marian Nałęcz i stąd w roku 1959 szkołę przeniesiono na ulicę Halną. Niedaleko, na Włókienniczej był magiel.

Na liście nielubianych obowiązków domowych pójście do magla zajmowało miejsce w czołówce. Był to rodzaj nieuzasadnionego wstydu. Niesienie na ramieniu kilku kilogramów pościeli i obrusów, zwiniętych w długi wałek z prześcieradła, na którym się spało, urągało chłopięcemu honorowi. Spotkanie po drodze kogoś znajomego, a już, nie daj Boże, koleżanki z klasy, równało się w moich oczach z wykluczeniem z towarzystwa.

Jednak pełna strachu droga z domu do magla była dopiero początkiem gehenny. Potężny, pamiętający wojnę magiel mieścił się w drewnianej szopie. Wiatr tam hulał, bo deski nie pasowały do siebie, i dziwne, że ta buda w ogóle się trzymała. Przez szpary w ścianach widać było resztki torów, po których do niedawna kursowała ciuchcia przypominająca dziewiętnastowieczne parowozy Union Pacific. Idealne miejsce na uruchomienie chłopięcej wyobraźni.

Właścicielką magla była Magda. Mogła mieć z pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze dziesięć mniej lub więcej. Należała do kategorii ludzi, którzy nigdy nie byli młodzi. Nikt nigdy nie zwracał się do niej per „pani". Kiedy byłem jeszcze mały, a mama czytała mi *Jasia i Małgosię*, to gdy dochodziła do złej czarownicy, przed oczami stawała mi Magda. Nie miałem wątpliwości, że była najbrzydszą kobietą świata. Miała zęby rzadkie jak deski ścian swojego magla, jej niski, chropawy głos nie mieścił się w żadnej skali, a długie czarne i gęste włosy nie znały wody i grzebienia. Podejrzewałem, że wspólnikami Magdy byli: czarny kot, sowa i stado wron, a w nocy odwiedzał ją Długi John Silver, stukający o podłogę magla drewnianą nogą. W rzeczywistości była samotną, nieszczęśliwą kobietą, która nie widziała potrzeby dbania o urodę, bo nie miała dla kogo. Ale ja analizą jej psychiki, być może przetrąconej przez wojnę, nie zaprzątałem sobie głowy. Kiedy na nią patrzyłem, miałem w oczach nie współczucie, lecz strach.

Wizyty w lokalu Magdy były też potwornie nudne, bo w ogóle nie interesowało mnie to, o czym mama i inne klientki przez godzinę rozmawiają. Tym bardziej że rozmawiały o niczym. Jak to w maglu. I ja przynajmniej wiem, co to znaczy, bo dzisiejsze magle nie mają żadnego uroku. Jeśli w ogóle jeszcze jakiś magiel pozostał.

Ulica Młoda, po prawej, idąc w stronę przejazdu kolejowego, zaczynała się od przedwojennego, okazałego, murowanego parterowego domu, z bramą wjazdową jak na Pradze. Tam mieszkali państwo Fiejkowie, którzy prowadzili kiosk Ruchu obok pętli autobusowej, i Mietek Pyza I, kolega Teresy z liceum. Był też zakład szewski i mały sklep spożywczy. Większy, pani Piątkowej, mieścił się w sąsiednim budynku.

Za nim, po dawnym nasypie ciuchci, widocznym z magla, biegła ulica Żywokostowa. Po jej drugiej stronie, naprzeciwko Świerkowej, stał duży drewniany parterowy dom. Mieszkali w nim koledzy z boiska, bracia Kopkowie. Mieścił się tam też zakład fryzjerski, jednak nie mój ulubiony, oraz bodaj pierwszy w Falenicy punkt Totalizatora Sportowego.

Szczęśliwie nie mam duszy hazardzisty, ale gdzieś w wieku szesnastu lat zagrałem tam na ligę angielską. Trafiłem dziesięć wyników na trzynaście, dostałem nawet jakieś nieduże pieniądze i uznałem, że jestem ekspertem. Niestety, dwie kolejne niedziele mojego dobrego samopoczucia nie przedłużyły – wydałem na zakłady to, co wygrałem, i już nigdy więcej nie wypełniłem kuponu.

Wiele lat później, kiedy podczas mistrzostw świata w Stanach Zjednoczonych pojechałem do Las Vegas, nie mogłem się wyróżniać, bo wiadomo, po co tam się jedzie. A skoro mieszkałem w hotelu Caesars Palace, to musiałem wejść do tamtejszego kasyna. Uzgodniłem sam ze sobą, że mogę przeznaczyć dwadzieścia dolarów na walkę z jednorękim bandytą. Biłem się z nim przez godzinę. Raz ja byłem górą, raz on, ale miałem świadomość, że nie wygram z Mohammedem Alim na jego ringu. Rzuciłem ręcznik, żeby odejść o własnych siłach, czyli z dolarami schowanymi w kieszeni na czarną godzinę.

Za ulicą Derkaczy (kiedyś Teatralną) zaczynał się ogródek, a za nim, w głębi mieszkał Mietek Pyza II. Tak naprawdę dla mnie to on był „pierwszy", bo to mój kolega z klasy. Ponieważ w Hutniku grało dwóch piłkarzy o tym samym imieniu i nazwisku, należało ich rozróżnić. Jak braci Blautów w Legii czy braci Wilimów w Szombierkach. „Pierwszy" był zawsze ten starszy.

Na tej samej posesji stał największy dom przy Młodej. Murowany, dwupiętrowy i – jak bodaj wszystkie przy tej ulicy – pamiętający czasy przedwojenne, kiedy ulica nazywała się 11 Listopada. Mieszkali tu między innymi państwo Turkowscy i Malcowie, z dziećmi w naszym wieku lub nieco młodszymi. Córka kolegi ze szkoły, Kasia Malec, została mistrzynią Polski w tenisie, kiedy Agnieszka Radwańska miała cztery latka.

W domu, w którym się wychowała, był fryzjer damski „Krysia" oraz sklepy tekstylny i odzieżowy. Lokal na pierwszym piętrze zajmował mój starszy kolega z klubu – Romek, zwany „Kuciałapą". Prowadził rozrywkowy tryb życia i był bardzo gościnny, więc wrażliwi na głośne krzyki sąsiedzi krzywdzili go opinią, że prowadzi melinę. Odwiedzała go często dziewczyna, Baśka, a traf chciał, że pewnego razu zajrzał i Witek, któremu się podobała. Zwłaszcza że „Baśka miała fajny biust".

Po wspólnym wypiciu zapasów wódki Romek – jako gospodarz – zszedł do monopolowego po następne pół litra. Miał blisko, nie zajęło mu to nawet dziesięciu minut. Kiedy już z butelką stanął w drzwiach, oczom jego ukazał się „drżący dwukwiat" półnagich ciał – ukochanej i Witka złączonych w akcie miłosnym. Rozanielone oczy Basi, mowa jej ciała i radosne, rytmiczne okrzyki kazały Romkowi wyciągnąć przykry wniosek, że nie doszło do tego w wyniku przemocy.

– Wypierdalaj – zaapelował do Witka, który nieśpiesznie przerwał czynności seksualne i zajął się wycieraniem przyrodzenia w firankę. Kiedy Baśka stanęła jako tako na nogach, Romek wyprowadził na jej szczękę prawy sierpowy, po którym wyleciała przez niski parapet okna, odbiła się od osmołowanej papy na dachu przybudówki i spadła na trawę. Miała młode, rozluźnione alkoholem ciało, więc złamała tylko rękę. Ponieważ nie chciało jej się wstać, sąsiedzi wezwali karetkę.

Tymczasem Romek z Witkiem kontynuowali libację, jak na przyjaciół przystało. Zgodnie z falenickim kodeksem obyczajowym Witek miał bowiem prawo podejmować próby seksualnego wykorzystania Baśki, natomiast ona nie miała prawa się na to zgodzić. Po dwóch godzinach Baśka już z gipsem za łokieć wróciła, żeby przeprosić za swoją postawę (choć chyba nieszczerze), co Romek z Witkiem przyjęli ze zrozumieniem, nalewając jej na zgodę karniaka.

Większym problemem okazało się to, że Baśka, jako urzędniczka poczty, nie mogła wykonywać swojej pracy. Ręką w gipsie na szynie nie była w stanie przybijać na kopertach pieczątek, a spuchnięte wargi uniemożliwiały jej lizanie znaczków.

W następnym domu był warzywniak pani Zawadowej i sklep z butami. Na rogu, przy torach bocznicy kolejowej znajdowała się tak zwana cukierenka. Sklep ze słodyczami, winami, ciastkami, papierosami, a nawet cygarami Partagas i twardą gumą do żucia, która wyciągała z zębów plomby. Tam zawsze panował tłok.

Królowa tego lokalu, pani L., mieszkała obok nas. Zawsze wyzywająco umalowana, elegancko ubrana, widać, że chciała dorównać Sophii Loren, ale czegoś jej brakowało. Nawet my, kilkunastoletni chłopcy, nieodróżniający jeszcze za bardzo prawdziwych kobiet z klasą w wieku balzakowskim od tych, które próbowały je naśladować, mieliśmy poczucie, że pani L. ze swoim gustem przesadzała. No ale to była sklepowa w cukierence, a to dawało jej wysoką pozycję na drabinie społecznej Falenicy. A przynajmniej jej części po prawej stronie torów, jadąc w kierunku Otwocka.

Z cukierenką pod względem frekwencji rywalizowała znajdująca się nieco w bok od Młodej, przy bocznicy kolejowej, lodziarnia państwa Franciszka i Franciszki Bąków. W czasach kiedy lody włoskie nie zalały jeszcze Warszawy, a Grycana i Zielonej Budki nikt nie znał, „lody od Bąkowej" cieszyły się opinią wyjątkowych delicji, i takimi w istocie były. Państwo ze stolicy przyjeżdżali w niedzielę, aby kupić lody do termosu i szybko wrócić z nimi do centrum. Zawsze jasna, pachnąca lodziarnia była – dosłownie i w przenośni – jednym z najbardziej słonecznych miejsc w miasteczku. Lody nakładali uśmiechnięta, korpulentna pani Bąkowa, jej mąż lub zięć architekt. Wszyscy w zawsze czystych, wyprasowanych białych fartuchach. Mieszkali po sąsiedzku. Syn państwa Bąków zginął w roku 1939 podczas bitwy pod Falenicą, spoczął na naszym cmentarzu w wojskowej mogile, co też świadczyło o tym, że rodzina była tu zawsze i zasłużyła się miasteczku.

Za torami bocznicy mieścił się kolejny sklep spożywczy, a za nim jeszcze jeden, Woronowicza (nazywanego też Woroniczem). Można w nim było kupić artykuły metalowe, gospodarstwa domowego, pralki Frania, rowery Amator, radia tranzystorowe Szarotka oraz gwoździe i lepy na muchy.

Obok, na samym rogu Młodej i Patriotów, znajdował się sklepik z warzywami i owocami. Malutki jak jego właścicielka, pani Komorowska. Były tam też zupy w proszku, olejki do ciast, budynie i kisiele z wymalowaną na torebce roześmianą twarzą dziewczynki. A na każdym opakowaniu nazwa firmy: Strójwąs. Zapach tych produktów przywoływał czasy, kiedy nie zamierzaliśmy oddawać nawet guzika od munduru. Taki sklep cynamonowy na miarę Falenicy.

Mały placyk przy sklepach pani Komorowskiej i Woronowicza był miejscem spotkań gospodyń domowych. Kiedy zaczął się kryzys kubański, pani Komorowska sprzedała cały zapas zup w proszku, a jej klientki zastanawiały się, czy wojna wybuchnie przed zimą, czy na wiosnę. Gdy porwano syna Bolesława Piaseckiego, to tutaj wskazywano sprawców. Tutaj też ustalano, kto dokonał napadu na bank Pod Orłami i czy Chruszczow wyśle na białe niedźwiedzie Gary'ego Powersa, pilota szpiegowskiego samolotu U2, strąconego nad terytorium kraju, *gdie tak wolno dyszyt czełowiek*.

Komentarze przychodziły wszystkim tym łatwiej, że po drugiej stronie ulicy znajdował się kiosk Ruchu pana Skiby. Kto kupił u niego „Express Wieczorny" lub „Kurier Polski" – pierwowzory „Super Expressu" i „Faktu" – od razu na gorąco komentował artykuły, a zawsze miał z kim.

Kiosk niemal przylegał do piętrowego domu. Kiedy przyjeżdżało do nas kino objazdowe, na ścianie tego domu wyświetlano filmy. Takie, na które nigdy nie poszlibyśmy do kina. *Szkice węglem* albo dzieło o szkodliwości picia denaturatu i alkoholu metylowego. Mimo to na skwerku gromadziło się zwykle ponad sto osób, bo jednak była to jakaś rozrywka. Poza tym przy okazji można się było napić.

W domu służącym za ekran był sklep rybny, a obok niego obuwniczy. Dalej, za torami bocznicy – mały mięsny, a za nim papierniczy i tekstylny. Pracowała w nich pani Jadzia Sz. Ubrana zawsze w niebieski fartuch z dużym białym kołnierzem, była bardzo miła i życzliwa.

Z jej sklepem sąsiadował rzeźnik Sierzputowski. To właśnie jego postać stała się pretekstem do wymyślenia zagadki: Jaka jest różnica między

sanacją a PRL? Za sanacji na sklepie widniał napis „Rzeźnik", a w środku było mięso. W czasach PRL odwrotnie.

W sobotę 12 stycznia 1985 roku doszło tu do największej powojennej tragedii w historii miasteczka. W sklepie pełnym ludzi wybuchł gaz. Zginęło ponad dziesięć osób, dokładnie nie wiadomo ile, bo władza nie lubiła się chwalić takimi wypadkami. Siostra Ania z dwójką synów w wózeczku „zrealizowała kartki" i wyszła. Ledwo przestąpiła próg, usłyszała huk. Moja bratowa Grażyna stała już niemal przy ladzie. Po wybuchu znalazła się pod podłogą. Ogłuszona przez pył, gruz i połamane deski, pełzła w kierunku prostokąta światła, w którym jeszcze przed chwilą były drzwi. Pierwsze, co zobaczyła po wyjściu, to leżący na środku ulicy pieniek z wbitą weń siekierą do rąbania schabu.

W szoku doszła do domu. Kiedy się myła, Janek zobaczył na jej udzie sporą ranę. Pobiegł więc pod sklep z nadzieją, że sprowadzi jakiegoś lekarza. Ale ci z karetek zajęci byli ciężej rannymi. Janek wsadził więc żonę w malucha i po zmrożonym Wale Miedzeszyńskim, jadąc trzydzieści kilometrów na godzinę, dowiózł do szpitala na Grenadierów. Tam uświadomiono jej, że ma wyrwany mięsień. Przy okazji zrobiono jej badania, dzięki czemu dowiedziała się, że jest w pierwszych tygodniach ciąży. Ania, która tak wybuchowo zaczynała życie, ma dziś zdrowe dzieci.

Z rzeźnikiem sąsiadował pierwszy samoobsługowy sklep spożywczy w Falenicy. Nie byliśmy pewni, czy to się przyjmie. Wcześniej w tym parterowym murowanym domu, podobno najstarszym na Młodej, była restauracja. Ale tego nie pamiętam.

W maleńkim sklepie piekarniczym zawsze tworzyły się kolejki, bo o chleb było równie trudno jak o mięso. Przed świętami dosłownie biegło się za charakterystycznym furgonem, obudowanym drewnem jak kibitka, patrząc, do jakiego sklepu najpierw pojedzie. Szybkie nogi zapewniały miejsce na początku ogonka.

Najlepiej miał pan Rozwora, bo mieszkał przez ścianę z tym pieczywem. Nie z tego powodu był jednak ważny, tylko dlatego, że miał szatkownicę do kapusty i wypożyczał ją jesienią. W co drugim falenickim domu kwasiło się

kapustę i kupowało kartofle na zimę. U nas oczywiście też. Kapusta w beczce stała w sieni i czasami tam zamarzała, co nie zmieniało jej smaku. Ziemniaki leżały zimą w piwnicy. Wczesną wiosną zaczynały puszczać zielone pędy. Jeśli temperatura była nieodpowiednia, a powietrza za mało, to nie nadawały się do jedzenia. Być może od tego wywodzi się powiedzenie popularne po praskiej stronie Warszawy: „Jak patrzę na ciebie, to mi w piwnicy kartofle gniją".

Jeśli ktoś miał problemy zdrowotne, choćby w związku z tymi kartoflami, to na rogu Młodej i Derkaczy rozwiązywała je apteka Zawadzkich. W niedostępnych pomieszczeniach z tyłu, skąd wychodziło się na tajemniczy ogród i można się było tam rozpłynąć, podczas wojny odbywało się tajne nauczanie.

Za restauracją Świerkową przebiegały tory ciuchci, stała wieża ciśnień, a w wielkim domu, w którym mieszkali Krupowie (cała rodzina piłkarzy, Wojtek grał nawet w warszawskiej Polonii), mieściły się kolejne sklepy. Największy był spożywczy, dawniej kolonialny, gdzie rzucano z rzadka jakieś towary luksusowe, na które i tak mało kogo w tej okolicy było stać.

Chyba że sąsiada, krawca Wąsowskiego. Sklep o nazwie Przecena pasował do tego miejsca jak ulał. Ubierała się w nim ciocia Stasia. Wujek Rysiek pod względem statusu materialnego nie wyróżniał się z naszej rodziny, ale miał ambicje, żeby jego żona nie chodziła w byle czym. Ciocia prowadziła więc z nim trwającą wiele lat grę. Jak sobie w Przecenie kupiła coś, co ewidentnie nosiło ślady zużycia, wmawiała wujkowi, że towar pochodzi z amerykańskiej paczki. Brzmiało to wiarygodnie, ponieważ ciocia była pielęgniarką w Szpitalu Dzieciątka Jezus na Lindleya i miała swoje kontakty. Przymiotnik „amerykański" robił na wujku wrażenie, jak na każdym w tamtych czasach. Poza tym gdy ciocia zwierzała się z zakupów, zawsze zaniżała cenę, a to świadczyło o tym, że jak zwykle zrobiła złoty interes. Kiedy więc wujek w rozmowie z moją mamą czy ojcem chwalił gust cioci i jej ekonomiczny zmysł, zawsze dodawał:

– Ja ci powiem, bo to się opłaci.

Ciocia, która aparycją i pogodą ducha przypominała Hankę Bielicką, w tym momencie puszczała do mamy oko i wszyscy byli zadowoleni.

Mama zresztą o tych zakupach wiedziała pierwsza, tym bardziej że przez pewien czas pracowała obok tej Przeceny, w punkcie usługowym pralni chemicznej. Stamtąd do domu miała pięć minut.

Równoległa do Młodej ulica Bysławska łączyła Falenicę z Błotami. U zbiegu Bysławskiej, Patriotów i placyku, w pobliżu kiosku pana Skiby, był „zbieracz" – tu sprzedawało się złom, makulaturę i butelki. Obok znajdowały się kino i straż pożarna. Za nimi biegły tory prowadzące od magistrali Warszawa – Lublin do betoniarni. Lokomotywy tu nie docierały. Wagony ciągnęły konie, my bawiliśmy się w wojnę i organizowaliśmy napady na dyliżans.

Po drugiej stronie Bysławskiej, na rogu z Patriotów mieściła się księgarnia połączona ze sklepem papierniczym. Wchodziło się tu po stromych schodkach. Podczas okupacji także tutaj odbywały się tajne lekcje i wykłady. Za księgarnią był zakład fryzjerski, czyli salon pana Feliksa Dłużniaka. W pierwszej sali panowie dyskutowali o meczach i polityce. Nie mogło być inaczej, skoro pan Feliks był ojcem trenera Hutnika. Przystojny, elegancki pan z siwą czupryną i takimiż wąsami przypominał włoskiego aktora Vittoria De Sicę. W drugiej sali paniom robiącym się na Avę Gardner towarzyszyła równie efektowna jak mąż pani Dłużniakowa.

Przychodziły tam też licealistki i studentki w długich zwiewnych spódnicach lub sukienkach, z szerokimi gumowymi pasami podkreślającymi sylwetkę. Jak Gina Lollobrigida. Wszystkie dziewczyny tamtych lat – nasze siostry i koleżanki – miały wąskie talie. Gdyby mogły jeszcze jeździć skuterami Lambretta, nie byłyby gorsze od dziewcząt z Portofino. A jeśliby zainteresował się nimi Adriano Celentano, one by nawet na niego nie spojrzały.

Najpierw do tego salonu przyprowadzała mnie mama, rzucająca panu Dłużniakowi zawsze to samo zdanie:

– Po męsku z przedziałkiem, poproszę.

To było ważne, żeby, broń Boże, nie „w ząbek". Przedziałek musiał być z lewej strony. Bo z prawej to miał „w ząbek czesany" Hitler. Dopóki

przychodziłem z mamą, pan Feliks zadawał mi zawsze to samo pytanie na inteligencję:

– Co więcej waży? Kilo puchu czy kilo ołowiu?

Za pierwszym razem udzieliłem niepoprawnej odpowiedzi. Po latach, kiedy już grałem w Hutniku i studiowałem, zwracał się do mnie:

– Jak czeszemy, panie magistrze?

Po drugiej stronie torów kolejowych była inna Falenica. W polsko-amerykańskim filmie z roku 1936 *Judeł gra na skrzypcach* w jednej ze scen bohater mówi, że koncertował wspólnie z wielkim skrzypkiem Bronisławem Hubermanem w Nicei. „No, może to była Falenica" – dodaje, widząc, że przesadził i z tym Hubermanem, i z Niceą. Bo „Falenica to żydowska stolica", jak mawiano, trochę ironicznie, może nawet pogardliwie, ale w sensie potocznym zgodnie z prawdą. Antoni Słonimski w wierszu *Elegia miasteczek żydowskich* pisał:

Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek,
W Hrubieszowie, Karczewie, Brodach, Falenicy
Próżno byś szukał w oknach zapalonych świeczek,
I śpiewu nasłuchiwał z drewnianej bóżnicy.

Nawet jeśli poecie ta nasza Falenica pasowała wyłącznie do rymu, to przecież napisał prawdę.

Niewiele materialnego zostało z tamtej Falenicy. Przedłużeniem Młodej po drugiej stronie torów jest ulica Walcownicza. Przed wojną nazywała się Handlowa i zgodnie z nazwą była Marszałkowską Falenicy. Jeszcze do lat siedemdziesiątych na samym jej początku, chociaż głównie wzdłuż równoległej do torów ulicy Patriotów, stał rząd przedwojennych piętrowych czynszówek. Były tam też sklep cukierniczy, zakład fryzjerski i przede wszystkim przeniesiony z Młodej monopolowy. Jego kierowniczką była pani Rybaczewska, ciocia Mirka.

Mirek był wysokim chłopakiem i w grze w piłkę na małe bramki nieco od nas odstawał. Musiał to przeżywać, bo któregoś dnia przestał przychodzić. Jakoś nie przejęliśmy się tym, że zaczął uprawiać siatkówkę w MDK Warszawa. Minęło kilka lat i Mirek Rybaczewski został w Montrealu mistrzem olimpijskim. Grał w słynnej reprezentacji Polski Huberta Wagnera. A my zostaliśmy przy swojej szmaciance.

Kopaliśmy ją, wracając z podstawówki za kościołem, na łąkach wzdłuż Walcowniczej. Były nierówne, w trawie leżały kawałki cegieł. Nie zastanawialiśmy się, skąd się tam wzięły. A graliśmy na terenie getta. Mniej więcej tam, gdzie je Niemcy urządzili, po wojnie powstało osiedle domków jednorodzinnych, nazywane po prostu „osiedlem". Z punktu widzenia mieszkańców Falenicy z drugiej strony torów, zajmujących świdermajery czy stare domki murowane, nowoczesne osiedle to był high life.

W różnych okresach mieszkały tam znane postacie. Na Dusznickiej domek miał Aleksander Ford, reżyser *Krzyżaków*. Jeździł mercedesem lub citroënem z podnoszonym podwoziem. Kilka lat później przebił go Janusz Grabiański, zapomniany, a przecież znakomity grafik, autor słynnych plakatów PLL LOT oraz znaczków pocztowych z psami i kotami. On na Margerytki przyjeżdżał czerwonym fordem mustangiem. Kiedy toczył się wolno zaśnieżonymi, pustymi uliczkami osiedla, silnik grał jak cwałujące Walkirie u Wagnera.

Z Polą Raksą, która mieszkała na Gruntowej, blisko kultowej restauracji Angelika, mieliśmy kontakt innego rodzaju. Ona chodziła po prostu po Falenicy jak normalny człowiek, a nie ktoś, za kogo twarz „każdy by się zabić dał". Bardzo blisko jej domu, na rogu Zabawnej i Gruntowej, mieszkał Bronisław Wieczorkiewicz, znawca gwary warszawskiej i zbieracz ballad podwórzowych. Był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, podobnie jak jego syn, znany historyk Paweł Wieczorkiewicz. Ale on to już nasze pokolenie, a więc kolega. Pięćdziesiąt metrów od nich, na Margerytki, ostatnie lata życia spędził Jerzy Pawłowski, najlepszy szablista w historii szermierki, równie znany jako

oficer Ludowego Wojska Polskiego, który szpiegował na rzecz NATO. Dla Ryszarda Parulskiego, mistrza świata i kolegi z szermierczej reprezentacji, Pawłowski był zdrajcą. Dla legendarnego dziennikarza sportowego Bohdana Tomaszewskiego – bohaterem.

W Falenicy mieszkali też poeta Ernest Bryll, aktor Mieczysław Stoor i piosenkarz Mieczysław Wojnicki. Obok szkoły nr 124 i cukierni Kozaka osiedliło się (choć chyba nie na długo) aktorskie małżeństwo: Alicja Jachiewicz i Stefan Szmidt. Jednak to już w późnych latach siedemdziesiątych.

Kilka lat spędzili tu Daniel Passent i Agnieszka Osiecka. Mieszkali w tak zwanym szeregowcu przy Oliwkowej, a ich sąsiadem był Stan Borys. Stąd poetka miała dwa kroki na legendarny bazar, na który w soboty pół Warszawy przyjeżdżało po świeże owoce, warzywa i nabiał. W Falenicy powstała jej piosenka *Małgośka,* zaczynająca się od słów o pachnącej w maju Saskiej Kępie.

Niedaleko, bliżej torów, stoi dom, do którego w latach siedemdziesiątych wprowadził się Franciszek Pieczka. Dopóki w świadomości dzieci funkcjonował jeszcze jako Gustlik z *Czterech pancernych*, z pobliskiego przedszkola pod jego dom prowadzono maluchy na spacer. Kiedy akurat pielił grządki lub obcinał gałęzie w ogródku, to sympatycznie machał ręką do tych dzieci.

Przy Bambusowej, na skraju osiedla stoi jeszcze przedwojenna bóżnica. Dwieście metrów dalej, na Kłodzkiej, znajdowała się mykwa, będąca do końca lat sześćdziesiątych łaźnią publiczną. Nic nie zostało z sanatorium imienia Medema, mieszczącego się niegdyś na granicy Falenicy i Miedzeszyna. Przed wojną leczyły się tam żydowskie dzieci z biednych warszawskich domów. W roku 1942 dzieci włączono do transportu i wywieziono do Treblinki. Aleksander Ford, który nakręcił film o tym sanatorium, po wojnie zamieszkał w sąsiadującym z nim domku. Po roku 1968 budynki sanatorium zrównano z ziemią. Wkrótce będzie tam zjazd z południowej obwodnicy Warszawy.

Przy ulicy Technicznej, łączącej Falenicę z cmentarzem, w lesie stoi samotna murowana brama, prowadząca niegdyś do jakiejś posiadłości, po której zresztą nic nie zostało, więc może nie zdążono jej zbudować. Zachował się napis na bramie: Villa Feiner. Nie wiadomo, kim był Feiner,

gdzie zginął podczas wojny i czy ma swój grób. Wiele jest jeszcze takich tajemnic w zrujnowanych lub przebudowanych domach czy na pustych placach. Ale nie ma już nikogo, kto mógłby o nich opowiedzieć.

ROZDZIAŁ VII

PRAGA

Uczyły i wychowywały mnie dom, szkoła, kościół, ale i ulica. Urodziłem się w szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze, czyli obok miśków, jak się wtedy mówiło. Niedźwiedzie miały tam swój betonowy wybieg, zbudowany tuż po moim pojawieniu się na świecie. Ledwo żywe od spalin tysięcy samochodów przejeżdżających obok aleją Świerczewskiego (dziś Solidarności) zachęcały do wizyt w sąsiednim ogrodzie zoologicznym. Urodziłem się w Warszawie, ale przez pierwsze dwa lata mieszkałem jeszcze za jej granicą, bo Falenica została przyłączona do stolicy w roku 1951.

Moje przyjście na świat okazało się dla mojej dziesięcioletniej siostry wielkim rozczarowaniem. Mimo że uroda nie była w naszej rodzinie cechą dziedziczną, Terenia ubzdurała sobie, że ja zostanę jej wymarzonym bratem, którym będzie się mogła pochwalić przed koleżankami. To, co jej pokazano w szpitalu, nie dorosło jednak do jej wyobrażeń. Moją sytuację pogarszał fakt, że miałem żółtaczkę i w ogóle nie otwierałem oczu. Podobno spytała, czy musimy zabierać mnie do Falenicy, a nawet

zasugerowała, że sąsiadujące ze szpitalem zoo jest miejscem dla mnie odpowiedniejszym niż rodzinny dom.

Teresa zawsze miała charakter, wiedziała, czego chce, i nic się pod tym względem nie zmieniło. Ona mi pierwsza pokazała Tatry. Lata 60.

To nie było przyjemne powitanie, a miało być jeszcze gorzej. Kiedy już podrosłem i jednak otworzyłem oczy, Teresa z Jankiem nie chcieli mnie zabierać na wycieczki na Zatrzebie, a jeśli już, to tylko po to, aby mnie

utopić w tamtejszym stawie, pełnym traszek i trytonów. Przekonywali mnie, że pływa tam też głodny krokodyl gustujący w takich drobnych kosteczkach jak moje. Grozili też, że oddadzą mnie pod opiekę bliżej niezidentyfikowanemu chłopu, który miał być jakoby niepełnosprawnym umysłowo kolegą ojca z fabryki FSO, bezdomnym i pomieszkującym w niedokończonych i niepełnowartościowych karoseriach samochodu Warszawa.

To, że ja w tych warunkach w ogóle się rozwijałem, należy zawdzięczać miłości rodziców i mojej silnej osobowości. Zresztą kiedy już poszedłem do szkoły i ta gehenna się skończyła, Teresa i Janek bardzo się starali, żeby mi wszystkie krzywdy wynagrodzić. Teresa pierwsza pokazała mi Tatry i Mazury, a Janek wprowadzał w życie – dobierał odpowiednie lektury i kazał codziennie prać skarpetki. Bez rodzeństwa do niczego bym nie doszedł.

Moją pierwszą salą wykładową była droga gruntowa z Falenicy do Błot: ulica Bysławska, zwana wtedy Wiślaną, bo prowadziła ku Wiśle. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych pokrywano ją asfaltem, aby mogły tędy mknąć „autobusy czerwone". Zbratałem się z „profesorami furmanologii", wożącymi piach znad Wisły. Kiedy po pracy wspólnie z końmi pili piwo, mnie kupowali oranżadę i uczyli brzydkich słów, których znaczenia ani ciężaru nie znałem, ale coś mi mówiło, że nie należy powtarzać ich w domu.

Obok Dworca Wschodniego, przy ulicy Lubelskiej, znajdowała się stajnia. Wuj zaprzągł do furgonu dwa perszerony, założył im na oczy klapy i ruszyliśmy.

Kiedy już szosa była gotowa, pani Maria zabrała mnie na pierwszy rejs autobusem nr 113, który latem roku 1953 połączył Falenicę z Warszawą. To był francuski chausson. Wtedy i później pokonywałem tę trasę przytulony do rozgrzanej osłony silnika, skąd, niczym kierowca, mogłem obserwować drogę. Intrygowały mnie też niezrozumiałe napisy na szybach: *Issue de secours*, uświadamiające, że są jeszcze inne języki oprócz polskiego. Pętla mieściła się sto metrów od mojego domu, obok huty szkła, betoniarni, a przede wszystkim boiska piłkarskiego. Przystankiem końcowym był plac Trzech Krzyży.

I właśnie ze względu na nieskomplikowany dojazd w którąś niedzielę z mamą, Jankiem i Teresą pojechaliśmy na wycieczkę do Warszawy. Od pętli do pętli. To musiał być rok 1955, bo po Konkursie Chopinowskim zostały wielkie plakaty, inne wzywały postępową młodzież świata na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w stolicy demokratycznej Polski. My przeszliśmy od przystanku przy Instytucie Głuchoniemych,

obok kiosku z gazetami, w którym pracował Juliusz Kalodont, minęliśmy idącego z YMCA Leopolda Tyrmanda, ukłoniliśmy się wracającemu z Wydawnictwa „Czytelnik" Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, a w ogródku kawiarni przy Alejach Ujazdowskich zamówiliśmy lody. Kiedy oblizywałem z nosa czekoladę, uśmiechnęła się do mnie przechodząca obok Maria Dąbrowska. Tak mogła wyglądać ta wycieczka, bo okazją do niej był kiermasz książek, a w naszym domu książka stanowiła przedmiot pierwszej potrzeby.

Mniej więcej w tym samym czasie zobaczyłem inną Warszawę. Wujek Rysiek zabrał mnie w wakacje do swojej pracy. Wujek zachowaniem i posturą przypominał aktora czwartego planu Kazimierza Stankiewicza, który specjalizował się w rolach furmanów i warszawskich fetniaków, ale zagrał też kata w *Krzyżakach*, zrzucającego ze schodów na zamku w Szczytnie Zygfryda de Löwe. „Pan Kazio" był też głównym porządkowym na stadionie i basenie Legii, skuteczniejszym niż dzisiejsze firmy ochroniarskie. Wystarczyło, że stanął w przejściu i wypiął brzuch.

Wujek Rysiek kierował furmanką. Rozwoził po sklepach i restauracjach Pragi piwo i oranżadę. Żeby nie spóźnić się do pracy, wyjechaliśmy pociągiem z Falenicy około piątej rano. Obok Dworca Wschodniego, przy ulicy Lubelskiej znajdowała się stajnia. Wuj zaprzągł do furgonu dwa perszerony, założył im na oczy klapy i ruszyliśmy. Najpierw do rozlewni po pełne skrzynki, potem po Targowej, Ząbkowskiej, Jagiellońskiej, Stalowej, Konopackiej, 11 Listopada...

Przejeżdżaliśmy obok wyłożonej biało-czarnymi kafelkami bramy przy Targowej 63, gdzie siostra taty, ciocia Brońcia, była dozorczynią. Znała pół Warszawy, bo tam znajdowała się pierwsza po wojnie rozgłośnia Polskiego Radia, w której Jerzy Wasowski był spikerem. A Mieczysław Fogg uchylał przed ciocią kapelusza, jakby była mieszkającą w Belwederze księżną łowicką, a nie machającą miotłą dozorczynią w praskiej czynszówce. Kiedy przyjeżdżaliśmy do cioci na urodziny, rodzice wspominali dobre czasy, a ja bawiłem się w tej bramie z dzieciakami z Pragi. Teraz, ważny, siedziałem na koźle i raz po raz ponaglałem konie batem, popijając przy tym oranżadę. Tak wyglądało siódme niebo.

Po kilku godzinach pracy wujek i jego koledzy powożący takimi samymi furgonami spotkali się w jakiejś knajpie na rogu Ząbkowskiej i Brzeskiej, żeby przeanalizować ostatnie wydarzenia na bazarze Różyckiego i sytuację w rejonie Kanału Sueskiego. Ale nie oni byli w tym lokalu najważniejsi, tylko jakiś pan, wyraźnie miejscowy, który nawet nie starał się o to, aby podkreślić swoją pozycję, bo i tak ją miał. Wszyscy stawiali mu wódkę, piwo, a on nie odmawiał, tak by żaden z fundatorów nie poczuł się urażony. Dużo przy tym opowiadał, kończył każde zdanie takim gestem rąk, jakby kogoś bił, ale ja nic z tego nie rozumiałem. Dopiero w drodze powrotnej, kiedy nieponaglane konie szły na Lubelską swoją trasą i tempem, a nawet same stawały na czerwonym świetle, wujek z kolegą, używając najwyższych przymiotników, przybliżyli mi tę personę.

To był Antoni Kolczyński, „Kolka", „dziecko Warszawy", legendarny bokser, który przed wojną zdobył mistrzostwo Europy, w Chicago sprał Irlandczyka Jimmy'ego O'Malleya, a po wojnie położył na deski Węgra László Pappę. Gwoli prawdy Papp najpierw położył jego, i to osiem razy. Ale to i nie dziwota, bo „Kolka" całą noc pił i dopiero podczas walki dochodził do siebie. Kiedy już wytrzeźwiał i na środku ringu chciał przyjąć postawę bokserską, Feliks Stamm zwrócił mu uwagę, że walka się skończyła, a czwartej rundy nie będzie. Gdy „Kolka" w wieku zaledwie czterdziestu siedmiu lat zmarł, na Bródnie żegnały go cała Praga, Wola, „ulica Kwiatowa i pół Mokotowa".

Miałem szczęście do znanych postaci, bo niewiele później poznałem najlepszych polskich piłkarzy. Ta znajomość również na razie była jednostronna, wywarła na mnie jednak wielkie wrażenie. Pierwszego czerwca 1958 roku tata zabrał mnie do Warszawy (zawsze mówiło się „do Warszawy", a nie „do centrum"), żeby kupić mi garniturek do pierwszej komunii. Kiedy udało się to na ulicy Rutkowskiego (wcześniej i dziś Chmielnej), tata powiedział:

– A teraz, synku, jedziemy na Stadion Dziesięciolecia, bo gra Polska i Cieślik.

Tata, który sprawy mojej edukacji i czasu wolnego powierzał mamie i starszemu rodzeństwu, nie zdawał sobie sprawy, że właśnie otwiera mi drzwi do innego świata, który stanie się treścią mojego życia. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Co prawda miałem już za sobą inicjację futbolową. Kiedy mieszkasz niemal po sąsiedzku z boiskiem, słyszysz za płotem z obladrów charakterystyczny odgłos kopania i odbijania skórzanej piłki, nie możesz przejść obok tego obojętnie. Podziwiałem falenickie gwiazdy futbolu, biegałem po piłki, które wykopywali na treningach aż na pętlę autobusową. W niedziele, wpuszczany przez porządkowego, naszego sąsiada pana Skrętę, oglądałem mecze. A potem nie mogłem spać, bo mi się objawiał zespół niespokojnych nóg, RLS.

Jednak widok Stadionu Dziesięciolecia w pełnym niedzielnym słońcu zwalił mnie z dziewięcioletnich nóg w krótkich spodenkach. Do tej pory najwięcej ludzi w jednym miejscu widziałem na otwarciu roku szkolnego w szkole nr 124. Na mecze Hutnika przychodziło po sto, a jeśli graliśmy z Otwockiem, to góra dwieście osób. Tu zobaczyłem siedemdziesiąt pięć tysięcy, jak później przeczytałem. A do tego dziesiątki saturatorów z wodą sodową, które z okazji meczu zjechały z całej Warszawy, oraz setki lodziarzy zachwalających głośno lody Pingwin, Mors czy cukrową watę i prześcigających się w rymowanych hasłach skierowanych do potencjalnych klientów.

Bądźmy szczerzy, sam mecz nie zrobił na mnie oszałamiającego wrażenia. Przegraliśmy 1:2. Gdyby nie ten wynik, tata byłby zachwycony. Zobaczył na własne oczy bramkarza Edwarda Szymkowiaka z Polonii Bytom, obrońcę Henryka Szczepańskiego z ŁKS-u, stopera Romana Korynta z Lechii Gdańsk, dwie gwiazdy Legii: Jerzego Woźniaka i Edmunda Zientarę, Romana Lentnera z Górnika Zabrze, a przede wszystkim Gerarda Cieślika z Ruchu Chorzów. To głównie dla niego przyszła większość ludzi, pamiętając, że kilka miesięcy wcześniej Cieślik strzelił w Chorzowie dwie bramki Związkowi Radzieckiemu. Został dzięki temu bohaterem narodowym. Wtedy w Warszawie zdobył swojego ostatniego gola w reprezentacji.

Po latach poznałem wszystkich osobiście. Z niektórymi jeszcze grałem w jakichś pokazowych meczach, z Edmundem Zientarą blisko współpracowałem w PZPN-ie, z kilkoma zdarzyło mi się stukać kieliszkiem i pękałem z dumy, kiedy proponowali mi przejście na „ty". Przecież to były największe gwiazdy polskiej piłki lat pięćdziesiątych.

Dlaczego w meczu ze Szkocją grali akurat oni, a nie artyści z Hutnika Falenica: Kazik Lach „Kajtek", który kiwał się lepiej niż Cieślik, Kazik Karwosiecki, strzelający mocniej od Henryka Kempnego, czy bramkarz „Kućwa", rzucający się pod nogi rozpędzonych napastników nie gorzej od Szymkowiaka – tego jeszcze nie rozumiałem.

To był pierwszy prawdziwy mecz z tysięcy, jakie później obejrzałem na całym świecie. Dziś jestem przewodnikiem po Stadionie Narodowym, gdzie zostało sporo pamiątek ze Stadionu Dziesięciolecia, na którym w jakimś sensie się wychowałem.

ROZDZIAŁ VIII

NIEDZIELE I ŚWIĘTA

W niedzielne poranki tata czyścił pantofle. Nie musiał tego robić, bo one i tak wyglądały wzorcowo. Tym bardziej że żyły tylko w niedziele i święta, więc miały nieduży przebieg, czy raczej nie były przechodzone. Stały w szafie na drewnianych prawidłach, przykryte flanelową szmatką. Dziwiłem się, że ojciec ma tylko jedną parę porządnych butów (oprócz „wojennych" czarnych oficerek, które zdejmował za pomocą pieska – ktoś jeszcze wie, co to jest?), ale mimo że były stare, niczego im nie brakowało. Może nie były modne, ale na pewno eleganckie i przyzwoite. Miały skórzane podeszwy, blaszki na czubach i flekach, wierzchy ze skóry w kolorze wiśni. Słychać było, jak stukają o wypastowaną podłogę i skrzypią. Ojciec nie zamierzał ich zmieniać, ponieważ pasowały jak ulał. Jeszcze pod okupacją zrobił je na stalunek, na ulicy Targowej.

Choinkę kupowało się na ogół w składzie węgla, przy torach kolejowych.

Niedawno, kiedy mieliśmy wyjść do Teatru Polonia, Wanda stwierdziła, że nie mam butów. A przecież miałem je od dziesięciu lat i nikomu one nie przeszkadzały. Co to jest dziesięć lat dla solidnych butów Salamander? Żona uznała, że są niemodne. I wtedy przypomniał mi się ojciec. Miał wprawdzie znacznie mniej okazji do wychodzenia na miasto niż ja, więc te jedne pantofle mu wystarczały. Ale mnie też. Dla świętego spokoju kupiłem sobie nową parę, jednak oczywiście stare sobie zostawiłem. Na wszelki wypadek. Tym bardziej że wiele razem przeszliśmy.

Lśniące i skrzypiące od rana buty ojca, jego krawat, sweter w serek, a na to marynarka i zapach wody kolońskiej Przemysławka, którą się oblewał w nadmiarze, były oznakami święta. Tata chodził na sumę, ja na mszę dla młodzieży o dziewiątej, a mama to różnie: na siódmą rano lub na nabożeństwo wieczorne, bo przecież ktoś musiał przygotować niedzielny lub świąteczny obiad.

Przed wyjściem do kościoła dostawałem dwa złote na tacę i drugie dwa na lody u Bąkowej. Latem na werandzie jadło się późne śniadanie lub obiad. W radiu leciał program Lucjana Kydryńskiego, śpiewała Eartha Kitt i inni amerykańscy wykonawcy. Czekaliśmy na gwizdaną melodię z filmu *Most na rzece Kwai*, którego w kinach nie mogliśmy obejrzeć. Kiedy na talerzu pojawiała się moja ulubiona, duszona na patelni cebula, z Nowego Orleanu wracaliśmy do Polski. Jedząc, czytaliśmy ostatnią stronę „Przekroju", co trwało krótko, bo wszystko – od Ludwika Jerzego Kerna przez profesora Filutka po humor z zeszytów szkolnych – było tam strawne, w przeciwieństwie do tej cebuli. Zapamiętałem rysunek Sławomira Mrożka z tekstem: „Mój wujek ma wodogłowie, więc Beduini chętnie zabierają go na pustynię". Aha, czyli tak też można.

O ile na codzienne obiady składały się: zupa, jakieś kluski (babcia mawiała: „wczoraj kluski, dzisiaj kluski, żołnierz polski, a rząd ruski") albo pierogi, o tyle w niedzielę były bitki z kopytkami lub makaronem, jeśli rosół, to i mięso z niego, gołąbki, kotlety mielone lub schabowe. Długo nie potrafiłem jeść nożem i widelcem, bo nie było takiej potrzeby. Kluski, w tym ulubione kopytka z masłem, tartą bułką i cukrem, pyzy, placki kartoflane i jajecznicę załatwiałem widelcem. O nóż upominał się dopiero świąteczny gość w naszym domu – kotlet schabowy. Nigdzie później nie jadłem takich schaboszczaków jak mamine. Grube na sześć–dziewięć milimetrów, w panierce, nie za twarde i nie za miękkie, z kwaszonym ogórkiem, buraczkami na ciepło, mizerią, surówką z kapusty albo z kapustą zasmażaną – bajka.

Obiad w słoneczną niedzielę, na werandzie, z osami gromadzącymi się wokół dzbanka z kompotem i sosnowymi igłami lecącymi z drzew na biały obrus – niech się schowają pil-pil w Torremolinos i krewetki w Marrakeszu. Poleciałem kiedyś z reprezentacją Polski do Maroka. Psim swędem, bo normalnie na takie wyjazdy wydział zagraniczny RSW „Prasa – Książka – Ruch" nie dawał pieniędzy. Tym razem dał, bo zbliżał się zjazd „naszej partii", więc do sklepów rzucili cytryny, a dziennikarzowi dali parę dolarów na wyjazd. Siedzieliśmy na tarasie restauracji w Marrakeszu, na horyzoncie majaczyły ośnieżone góry Atlas, bliżej darły się wielbłądy,

a kelner w dżalabii podawał do stołu coś, na co piłkarze młodzieżowej reprezentacji Polski i ja między nimi patrzyliśmy tyleż z zainteresowaniem, co niepokojem.

Na wysokich kieliszkach do czerwonego wina ułożone były krewetki, z odwłokami zwisającymi na zewnątrz. W środku leżała margerytka lub jakiś inny kwiat. Pięknie to wyglądało, tylko nikt nie wiedział, jak to się je. To, że nie wiedzieli dwudziestoletni chłopcy, dopiero wchodzący w pełne wyjazdów piłkarskie życie, to nic dziwnego. Byli inteligentni, więc patrzyli, co zrobi redaktor. Miałem wyjątkową ochotę na spróbowanie, ale też nie wiedziałem jak. Czułem na sobie oczy kilkunastu chłopaków i zdałem sobie sprawę, że jestem na spalonym. Jedyne co mi pozostało, to powiedzieć głośno:

– Nie znoszę krewetek!

A potem demonstracyjnie odsunąłem je od siebie. Oni zrobili to samo. Jak się człowiek wychowywał na kluskach kładzionych, skumbriach w tomacie i sajrze w oleju, to gdzie mu do prawdziwych owoców morza.

Dziś już bym tak nie powiedział.

Aha, a ci piłkarze następnego dnia przegrali. Bali się zaryzykować.

Kiedy miałem jakieś jedenaście–trzynaście lat, w niedzielne wieczory zbierałem butelki po winach owocowych. Żołnierze i cywile, przy okazji zabaw na „dechach" albo żeby po prostu uczcić dzień wolny od pracy, pili gdzie popadło. Było kilka takich miejsc i wiedziałem, gdzie one są. W pobliżu parkietu tanecznego, ustawianej w sezonie letnim przy Patriotów karuzeli, koło cukierenki za wagonami na bocznicy, w okolicach Świerkowej i w zaroślach, których nawet w centrum miasteczka nie brakowało.

Te wina owocowe to po prostu: alpaga, ćmaga, Okęcie, patykiem pisane, płynne złoto polskich sadów, jabol, jabcok, *strawberry*, bazuka, Rumcajs, modliszka, bursztyn, bełt, wino marki wino, siara, J-23…

Ja tego unikałem, bo honor sportowca nie pozwalał mi pić. Ale – zdarzało się. Przez kilka lat na zakończenie roku szkolnego piliśmy któryś z wyżej wymienionych trunków z Jurkiem Sadowskim, Mirkiem Gosiem, Mietkiem Pyzą i „Ryniolem". Zagryzaliśmy zwykle katarzynkami lub

bezami, bo były najtańsze. Połączenie *strawberry* z bezami, pod koniec czerwca, jak jest już bardzo ciepło, musiało skończyć się naturalną reakcją zbuntowanego organizmu. Kiedy się już do takiego picia jako tako przyzwyczailiśmy, zrodziły się z tego zawody pod hasłem: kto puści dalej pawia przez zaciśnięte zęby. Nie było zwycięzców.

Zdarzyło się, że kiedyś po lekcjach chcieliśmy się napić bez powodu. Trzeba mieć odwagę sobie powiedzieć, że alpaga nigdy nie pieściła kubków smakowych, ale tym razem mieliśmy do czynienia z wyjątkowo niesmaczną. Spojrzeliśmy na etykietę i wszystko stało się jasne – była tam wydrukowana jutrzejsza data produkcji. Krótko mówiąc, trafiło się nam beaujolais nouveau za cztery pięćdziesiąt.

Wiele lat później, kiedy już byliśmy dorośli, w sklepie wielobranżowym w Kątach Rybackich trafiliśmy na znajomą butelkę z charakterystyczną, „patykiem pisaną" nazwą „Wino". Kupiliśmy, żeby wrócić do smaku młodości. W sześć osób nie daliśmy rady tego wypić. Chemia i woń siarki zabiły wszystko. Czy czterdzieści lat wcześniej mieliśmy inny smak, czy tylko w PRL-u nie byliśmy wybredni?

W wojnie Wielkanocy z Bożym Narodzeniem u mnie wygrywało Boże Narodzenie. Wielkanoc była końcem postu – którego, nie umartwiając się, przestrzegaliśmy – i początkiem sezonu na „chodzenie do figury". Boże Narodzenie miało w sobie magię. Od rezurekcji wolałem pasterkę.

Na Wielkanoc mama siała w doniczkach trawkę, w której stawialiśmy cukrowego baranka. Sąsiad, pan G., bielił wapnem betonowe krawężniki wyznaczające na podwórku ścieżkę od furtki do domu. Mama myła obrazek Matki Boskiej w kapliczce na drzewie obok tej furtki i stawiała tam tulipany lub konwalie.

Na Wielkanoc musiała być szynka, więc świniak musiał poświęcić życie. Nie najlepiej to świadczyło o ludziach, ale jeść trzeba. Kolejne etapy przygotowania szynki na stół wymagały niezwykłej wiedzy i wprawy. Mama i babcia miały w dziedzinie kulinariów doktoraty.

Mama przed świętami myła obrazek Matki Boskiej w kapliczce na drzewie obok naszej furtki.

Najpierw się tę kilkukilogramową szynkę marynowało przez sześć tygodni w beczce, w wodzie, której zasolenie mama sprawdzała, wkładając do niej gotowane na twardo jajko. Jeśli wypływało, ilość soli była odpowiednia. Specjalnie przyrządzona marynata zawierała saletrę (dla kruchości i zachowania różowego koloru). Następnie szynkę gotowało się w kotle tyle godzin, ile ważyła, czyli sześć–siedem, tak żeby tylko

„mrugała”. Na jakimś etapie mama wrzucała do garnka liść laurowy, kminek, pieprz, ziele angielskie… Na koniec szynkę wędziło się na przepiękny brązowy kolor, używając drewna sosnowego, liści brzozy i gałązek jałowca. A pachniała tak, że ludziom ciekła ślina, a psy wyły, bo wiedziały, że mogą sobie tylko powąchać. Nie dla psa szynka. Może kolejność tych czynności była nieco inna, ale ja nie jestem Robert Makłowicz.

To nie wszystko. Wywar, w którym gotowało się tę delicję, stawał się podstawą do barszczu. W całej Polsce na Wielkanoc jada się barszcz biały. A u nas czerwony, jak na wsi mamy pod Garwolinem. Dzięki temu wywarowi barszcz był bardzo esencjonalny. Smaku dodawały mu pokrojona w plasterki kiełbasa zwyczajna i jajka na twardo. Od tego dania zaczynaliśmy śniadanie wielkanocne.

Tata podawał do niego grzankę. Robił ją na bazie spirytusu, używając między innymi cukierków Kukułek i karmelu, czyli cukru, który topił na patelni. Nalewał do kamionkowych kokilek, żeby nie ostygła. Ta mocna, wcale nie słodka grzanka w połączeniu z barszczem pozwalały nam poczuć, czym były nektar i ambrozja.

Tradycje czerwonego barszczu (ale już nie na wywarze z szynki) i grzanki są w naszej rodzinie kultywowane. Według niepisanego zwyczaju wolno je przyrządzać dwa razy w roku: na Wielkanoc i przewodnią niedzielę, czyli tydzień później. Dwaj moi szwagrowie w produkcji grzanki zbliżyli się do poziomu ojca. Moja dorosła córka Marta, która po obydwu dziadkach ma dobre geny, postanowiła zrobić grzankę na ostatnią Wielkanoc. Wyszedł jej bardzo dobry słodki napój, który mogłaby sprzedawać w Austrii jako Mozart Chocolate Cream. Wypiliśmy do barszczu, bo tradycja rzecz święta.

Zdarzyło się w roku bodajże 1973, że do wielkanocnego stołu usiadł z nami zagraniczny gość. Prześliczna młoda Bułgarka Cwietanka, ale nazywałem ją Cecka. Poznałem ją podczas wakacji w Bułgarii. Spotkanie przerodziło się w wymianę listów, z której Cecka wyciągnęła fałszywy

wniosek. Mój takt, życzliwość i sympatię do narodu bułgarskiego wzięła za uczucie i podjęła zdaje się nawet jakieś plany co do naszej wspólnej przyszłości. Na początek postanowiła odwiedzić mnie w Falenicy, z czego jako gościnny Polak się ucieszyłem. Jej radość osłabła, kiedy szybko zorientowała się, że mam do niej podobny stosunek jak do napastnika Lewskiego Sofia Gundiego Asparuchowa, który prześladował polskich bramkarzy.

Przylot Cecki przypadł na Wielką Środę. W niedzielę jej frustracja, spowodowana zawodem miłosnym, już w widoczny sposób kłóciła się z powszechną radością, z jaką religijni Polacy obchodzili Zmartwychwstanie Pańskie. Pierwszym objawem tej frustracji było pranie, które zrobiła i wywiesiła przed domem akurat wtedy, kiedy pobożni sąsiedzi wracali z rezurekcji.

Po ulicy poszedł hyr, że to jakaś forma apostazji znanych z religijności Szczepłków. Przybiegła nawet roztrzęsiona sąsiadka, pani Skrętowa, z jednym pytaniem do mamy, które brzmiało jak krzyk:

– Hela, co się stało?!

Mama tylko rozłożyła ręce.

– Mamy gościa z Bułgarii.

Pani Skrętowa puściła tę informację dalej, ale w nieco innej formie: „jacyś bezbożnicy do nich przyjechali".

Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że miała rację. Cecka nie tylko pluła barszczem i wzgardziła grzanką, ale wyraziła też niepochlebną opinię na temat chleba razowego, dodając, że w jej ojczyźnie jada go wyłącznie trzoda chlewna. Nawet gorzej to nazwała. Po czym wzięła się za gotowanie bobu, który czujnie ze sobą przywiozła, przewidując, że w Polsce bez produktów bułgarskich będzie skazana na śmierć głodową. Niewykluczone, że tak jej powiedziano przed wyjazdem.

Tatuś był człowiekiem spokojnym, ale widziałem, jak walczy ze sobą, żeby nie stracić opinii gościnnego gospodarza. Wujek Rysiek go wspierał, stukając się kieliszkiem częściej, niż każe obyczaj. A Cecka przeszła do ataku niczym Asparuchow i po demontażu rodzinnych świąt oznajmiła, że chce pozostać, ponieważ życzy sobie zobaczyć na pierwszomajowej

trybunie towarzysza Gierka. Bilet powrotny wykupiła wcześniej na trzeciego maja.

Na szczęście to była późna Wielkanoc, do pochodu pozostało tylko kilka dni, w czasie których wysłuchiwaliśmy, jak osiemnastolatka z Płowdiw przekonuje nas o wyższości Bułgarii nad wszystkimi innymi krajami świata i zrównuje Warszawę z azjatyckimi przysiółkami. Wyjawiła nam też z dumą, że jest córką pułkownika bułgarskiej Armii Czerwonej, przebywającego na kursie w Moskwie, po którym zostanie awansowany na generała. To wiele tłumaczyło.

Pochody pierwszomajowe znałem fragmentarycznie z telewizji. W szkole mówiłem, że idę z klubem, a w klubie – że ze szkołą. Ale dzięki Cecce ja też zobaczyłem Edwarda Gierka na pierwszomajowej trybunie. Ona powiedziała, że gromadzi takie wydarzenia w swoim życiorysie. Todora Żiwkowa już widziała, Gierek jest drugim przywódcą, którego zalicza. Mówiła też, że marzy o pochodzie na placu Czerwonym, żeby choć z daleka popatrzeć na Leonida Breżniewa. Tatuś obiecał, że ją tam zabierze.

Sprawa była jasna. Odprowadzałem ją na lotnisko z uczuciem ulgi i bez żalu, że sam się pozbawiłem szansy na teścia generała, a może i jakieś wiano koło poligonu w Wielkim Tyrnowie. Żeby nie wyjść na chama, nadal korespondowałem z Cecką, ale ważyłem już słowa. Po mniej więcej roku napisała mi, że wyszła za mąż i urodziła syna, którego nazwała Stefczo. Zacząłem liczyć: kwiecień, maj… wrzesień… i odetchnąłem z ulgą.

Po wyjeździe Cecki przerwałem kurs języka bułgarskiego w Instytucie Kultury Bułgarskiej mieszczącym się na rogu Świętokrzyskiej i Emilii Plater, w domu, w którym mieszkał Kazio Deyna. A już nieźle mówiłem. I zostałem z tym bułgarskim.

Bożego Narodzenia nie jest w stanie zepsuć nawet najbardziej ortodoksyjny ateista. W czasach mojej młodości wszystko miało jakieś polityczne konotacje. Wigilia była pewnego rodzaju papierkiem lakmusowym sytuacji w kraju. Kiedy w radiu zespół Mazowsze śpiewał

kolędy, to znaczyło, że Gomułka miał z jakiegoś powodu pietra. To był sygnał, że władza słabnie, więc można głośniej śpiewać. Wieloletnia indoktrynacja zrobiła jednak w naszych małych głowach spustoszenie. W kolędzie *Dzisiaj w Betlejem* śpiewaliśmy, że nie Józef stary, a Józef Stalin „ono pielęgnuje".

Magia pierwszej gwiazdki wiązała się z uczuciem głodu. Potrawy wigilijne uważałem za niezjadliwe. Mój stosunek do ryb w ciągu kilkudziesięciu lat zmienił się niewiele. Jadam je tylko w barze U Basi w Kątach Rybackich i okazjonalnie w świecie, żeby poznawać nowe smaki. Jak mi w San Diego Mariola Deynowa przyrządziła coś o nazwie *pescado veracruzana huachinango*, to obudziły się moje kubki smakowe, które trzydzieści kilka lat czekały na taką okazję. Stosunkowo późno odkryłem, że śledź jest dobrą zakąską. Ale w Wigilię u nas się nie piło. Jeśli już, to symbolicznie, i między opłatkiem a kieliszkiem należało powąchać i przegryźć chleb. Cały wieczór czekałem na racuchy drożdżowe na oleju. Popijaliśmy je kompotem z suszonych śliwek.

Wyżerka zaczynała się w pierwszy dzień świąt. Jedzenie schabów i szynki z ćwikłą lub grzybkami marynowanymi, bigosu, a po tym wszystkim ciast to było coś, na co czekało się cały rok. Tym bardziej że wszystkie te luksusy powstawały na moich oczach. Babcia i mama same kręciły majonez i kogel-mogel – jeden z podstawowych smaków dzieciństwa. Echo wojennej przeszłości, której ja nie doświadczyłem, to niewiadomego pochodzenia półmisek z hitlerowską gapą – to na nim spoczywały te smakołyki.

Przez wiele lat ciocia Hela, moja matka chrzestna, która z wujkiem Bolkiem przyjeżdżała w pierwszy dzień świąt, przywoziła mi drewniane klocki i czekoladę wedlowską Jedyna. Nie miałem w związku z tym gwiazdkowej niespodzianki, ale nie chciałem jej mieć. Te klocki należały do świątecznej tradycji i kiedy ciocia przestała je przywozić, był to sygnał, że moje dzieciństwo minęło.

Ciocia Hela miała w tamtych czasach jeden niepodważalny atut: była kierowniczką sklepu spożywczego na Pradze. Przywoziła więc na święta

nie tylko klocki i czekoladę dla mnie, ale też cytryny i pomarańcze dla całej rodziny. Elektryzujące większość społeczeństwa informacje o statkach, które przywoziły do Gdyni z dalekich krajów owoce południowe, przyjmowaliśmy obojętnie. Ekspedientka spożywczaka w najbliższej rodzinie dawała nam poczucie ważności i luksusu. Niczego więcej nie potrzebowaliśmy do szczęścia.

Choinkę kupowało się na ogół w składzie węgla, przy torach kolejowych. Z najgłębszego dzieciństwa pamiętam jeszcze świeczki palące się żywym ogniem, jabłka – jako najcięższe ozdoby, wieszane tuż przy pniu, ciasteczka z foremek, cukierki, łańcuchy z kolorowego papieru i krepiny.

Niektóre bombki pamiętały jeszcze prezydenta Mościckiego, kilka przeżyło wojnę. Dużo widziały. Przeszły to samo co rodzina. Żegnały domowników i witały nowych. Raz w roku miały swoje dwa tygodnie i wtedy, jak domownicy, cieszyły się naszymi radościami. Jedna zginęła śmiercią tragiczną, po upadku z gałązki. Inną zamordowała kotka, chociaż chciała ją tylko poturlać po podłodze. Jeszcze inna rozsypała się podczas wyjmowania ze starego jak ona, podzielonego kratką na sześć części szarego pudełka.

Zostały dwie, może trzy. Wyglądają już jak pensjonariuszki przedwojennego domu starców. W wyblakłych niebieskich sukienkach i z żabotem pod szyją, od którego odchodzi pętelka do powieszenia na gałązce. Przegrywają urodą z nowoczesną, kolorową, nietłukącą się chińszczyzną, ale mają szarm, którego nie można kupić. Narciarz w czapeczce, szusujący na różowej bombce, na pewno nie jest mistrzem zjazdu na trasie w Val di Fiemme, ale przypomina za to FIS w Zakopanem z 1939 roku.

Nie wieszamy już tych bombek. Wyciągamy je razem z innymi, asystują podczas ubierania choinki, nad czym czuwa Marta, ale wracają do swoich apartamentów w pudełkach, bo są zbyt cenne. Kiedy wnuczka Maja dorośnie, ta ostatnia bombkowa arystokracja znajdzie jeszcze swoje miejsce na gałązkach. Stanie się powracającym ze strychu konikiem na biegunach. Na razie Maja ma dwa latka.

ROZDZIAŁ IX

KOŚCIÓŁ

W sypialni nad łóżkiem rodziców wisiał obraz Pana Jezusa modlącego się w Ogrójcu, a w rogu pokoju na etażerce stała gipsowa figura Matki Boskiej w błękitnej szacie. Nad moim łóżeczkiem wisiał nieduży obrazek przedstawiający Anioła Stróża z rozłożonymi rękami, gotowymi do objęcia mnie w razie niebezpieczeństwa. Codziennie przed snem klękałem przed nim, aby się pomodlić.

Nim poszliśmy do szkoły, wiedzieliśmy, że jest w niebie Pan Bóg, który nie da nam zrobić krzywdy, o co na ziemi zadba jego wysłannik Anioł Stróż. I czuliśmy ich obecność. Tak mówili mama, tata, babcia, bo im rodzice też tak mówili. I wszyscy w to wierzyli. Wiedzieliśmy, że Pan Bóg z Synem i Matką Boską są gdzieś w sferach niebieskich, po sąsiedzku z rajem, dlatego nie możemy ich zobaczyć. Ale oni widzą nas, więc kiedy się modlimy o zdrowie rodziców, babci, sióstr, brata i kotów, to możemy być pewni, że nasze prośby zostaną wysłuchane.

Skończyłem osiem lat, kiedy miała się urodzić Ania, a w tym wieku nie zna się zawiłości związanych z porodem. Słyszało się czasem jednym uchem, jak starsi opowiadali o zgonach w takich okolicznościach. W latach pięćdziesiątych zdarzały się stosunkowo często. Pamiętam więc, że klęcząc w zimnym pokoju przed świętym obrazem, prosiłem:

– Panie Boże, proszę Cię, żeby mamusia nie umarła przy porodzie.

Pan Bóg musiał się wzruszyć, słysząc z ust dziecka tak sformułowaną prośbę, bo się do niej przychylił.

Każde z nas przeszło typową drogę od chrztu przez Pierwszą Komunię Świętą, dziewięć pierwszych piątków miesiąca, bierzmowanie, post nie tylko w Środę Popielcową, Wielki Piątek i Wigilię, ale częściej.

Terenia była bielanką – sypała kwiatki przed księdzem, który niósł monstrancję w Boże Ciało. Po tym, jak zdała maturę i dostała się na studia oraz w intencji narodzin siostry poszła w pielgrzymce na Jasną Górę. Ale im była starsza, tym więcej światopoglądowych wątpliwości jej się pojawiało i dawała temu wyraz. W dodatku w dyskusjach z Panem Bogiem miała argumenty.

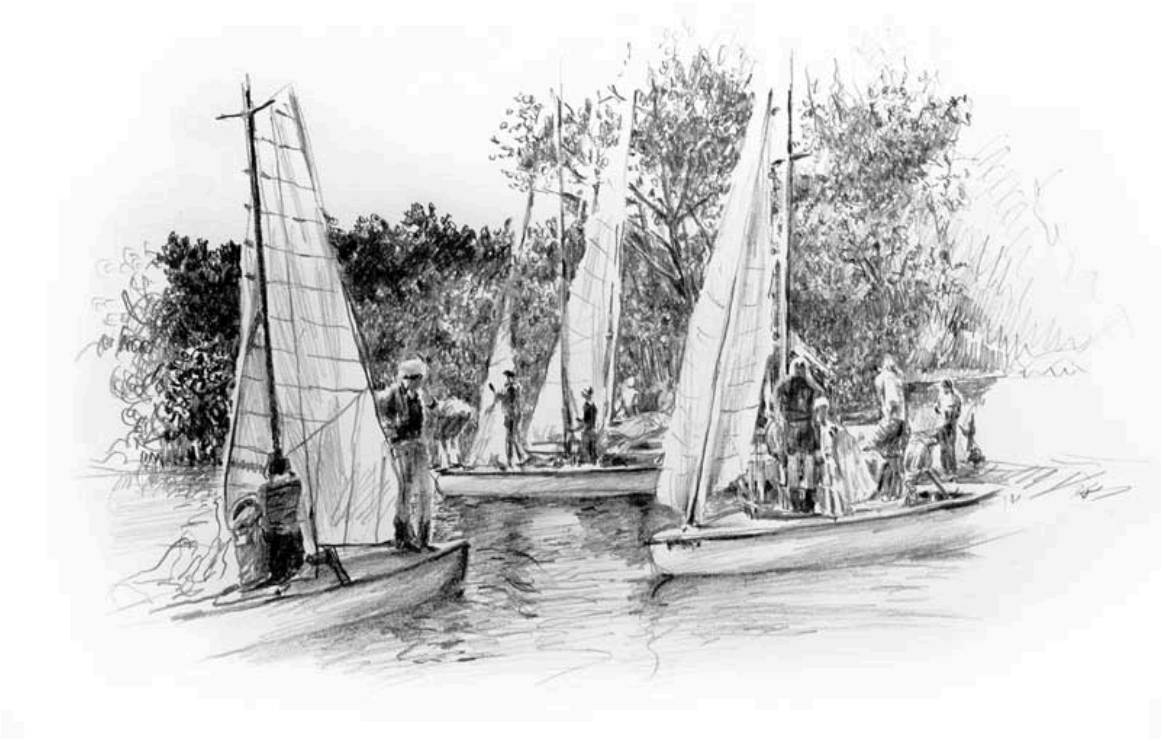

Na Mazurach przyroda i cisza, tutaj, w dużym mieście – tramwaje, gwar, ale wszędzie te same myśli w głowie wzniesionej ku górze.

Janek był ministrantem, i to w czasach gdy mszę świętą odprawiano po łacinie. Miał poczucie służby Bogu, ale niezbyt mu się podobał zwyczaj księdza proboszcza. Kiedy jakiś ministrant podczas nabożeństwa zadzwonił w nieodpowiednim momencie lub źle trzymał patenę chroniącą hostię, ksiądz już po zdjęciu ornatu układał pięć palców w rodzaj dziobu i uderzał nim ministranta w głowę, powtarzając przy tym słowa: „ty cymbale".

Dlatego ja nie zostałem ministrantem. Wystarczał mi stres towarzyszący oczekiwaniu na spowiedź.

Postawa księdza proboszcza, Sylwestra Szulczyka, który zresztą cieszył się w Falenicy zasłużenie dobrą opinią parafian (dziś ma tam ulicę swojego imienia), kłóciła się nieco z głoszoną przez niego miłością bliźniego. Ale to był może pierwszy objaw samodzielnego myślenia: co innego wiara, co innego Kościół i jego kapłani. Nasza wiara nie znała granic, a kolejni księża

byli tylko pasterzami, niewolnymi od ludzkich słabości. Zresztą akurat faleniccy księża tamtych lat zapisali się w pamięci jak najlepiej.

Ksiądz Sz. był proboszczem przez dwadzieścia pięć lat (1938–1963). Pod koniec lat pięćdziesiątych doprowadził do skutku swoje dzieło: tak sprytnie obudowywał drewniany kościółek, że powstała z niego piękna murowana świątynia w neoromańskim stylu. Jak się czerwoni zorientowali, że ksiądz ich zrobił na szaro, było już za późno. Nawet prymas kardynał Stefan Wyszyński przybył do nas z kapłańską posługą i dokonał aktu konsekracji.

W dniu Pierwszej Komunii Świętej, z panią Marią i roczną Anią, po latach dyrektorką znanego warszawskiego liceum. Czerwiec 1958.

W ostatnich latach swojego urzędowania ksiądz Sz. musiał się zmierzyć z opozycją wpływowych parafian. Nie wiem, czego chcieli, bo nas, młodych, takie sprawy nie obchodziły. Przejęliśmy się dopiero wtedy, kiedy lider puczystów, zasłużony strażak falenickiej OSP, który podtrzymywał wcześniej księdza podczas procesji Bożego Ciała, zmarł na atak serca w trakcie kazania proboszcza na niedzielnej mszy świętej.

Ksiądz Sz. odszedł w roku 1965, kiedy już nie był proboszczem. Jego pogrzeb stał się religijną manifestacją miasteczka.

Ksiądz Królik przychodził na lekcje religii do szkoły i bardzo go lubiliśmy. Ksiądz Kazimierz grał z nami w piłkę, co w latach sześćdziesiątych nie było w episkopacie mile widziane. Tym bardziej że rozbierał się we wspólnej szatni, a po meczu kąpał się z nami pod prysznicami w sąsiadującej z boiskiem hucie. Jak go tam wierne dmuchające szkło zobaczyły całkiem bez sutanny, a nawet więcej, runął księżowski autorytet. Poskarżyły się w kurii i w ten sposób ksiądz został misjonarzem gdzieś daleko od Polski.

Tacy księża byli naszymi przewodnikami po wierze, ale i partnerami w dyskusjach. Kiedy zabroniono nauczania religii w szkołach, z przyjemnością chodziliśmy na lekcje do kościoła. I tam, w salce nad zakrystią zdawałem kościelną maturę. Później, w stanie wojennym Janek uczył tam falenicką młodzież historii.

Mam jednak świadomość, że moje relacje z Panem Bogiem były dość jednostronne i z wiekiem stawały się coraz chłodniejsze. Nigdy go nie zdradziłem, ale przypominałem sobie o nim zwykle wtedy, kiedy czegoś potrzebowałem. Kiedy czekał mnie ważny mecz, egzamin, podróż, pojawiały się jakieś kłopoty zdrowotne w najbliższej rodzinie, zawsze prosiłem Boga o pomoc. A on nie odmawiał.

Lubiłem wieczorami pójść pod kościół, żeby pomodlić się przed zamkniętymi dębowymi drzwiami. Wchodziłem do świątyń w Warszawie, Krakowie, Paryżu, Londynie, Meksyku, Wiedniu, Kolonii, Lwowie, Wilnie, Toledo, we wsiach, w miasteczkach i gdzie akurat mnie los za piłkarzami czy samego rzucił. Czasami to była kapliczka, jak ta na Mazurach, przy drodze z Wierzby do Popielna, w jednym z najładniejszych miejsc na świecie. Nie stara i niezbyt ładna, chyba bez ciekawej historii, położona między pofałdowanymi łąkami, lasem i jeziorem, obok rezerwatu zwierząt i Puszczy Piskiej, ale przypominająca, że to wszystko wokół z czegoś się wzięło i trwa nie bez przyczyny. Przechodząc obok, nie można się nie przeżegnać lub nie przysiąść na chwilę na ławeczce.

Taki sam urok i moc mają kapliczki na starych warszawskich podwórkach, zwłaszcza na Pradze, przy których gromadzili się mieszkańcy podczas okupacji i w chwilach zagrożeń. Nie tworzyli ich wielcy architekci, tylko zwykli ludzie, robili to z wewnętrznej potrzeby. Na Mazurach przyroda i cisza, tutaj, w dużym mieście – tramwaje, gwar, ale wszędzie te same myśli w głowie wzniesionej ku górze.

W miastach, do których wracam, mam swoje ulubione świątynie, a nawet miejsca w nich. W Krakowie są to kościół akademicki UJ Świętej Anny, projektu Tylmana z Gameren, oraz kościół Franciszkanów. Po jednej stronie ulicy okno papieskie przy Franciszkańskiej 3, a po drugiej gotycka świątynia. I tam, w drugiej ławce od tyłu, po lewej stronie lubił się modlić Karol Wojtyła. Informuje o tym tabliczka, obok której zawsze leży biała róża. Może nie zawsze i nie tylko róża, ale ja tak zwykle trafiałem.

W Paryżu to kościół Świętej Magdaleny, czyli Madeleine. Ledwo przekraczam jego próg, a już słyszę Mozartowskie *Requiem*, towarzyszące pożegnaniu Fryderyka Chopina. Adam Mickiewicz też z tego miejsca ruszał w swoją ostatnią drogę. No, ściślej mówiąc, to on akurat w przedostatnią, bo jechał stąd na Wawel przez Montmorency, co mu zajęło trzydzieści pięć lat.

Zapalałem w tych kościołach świeczkę w intencji, siadałem z boku, gdzieś przy kolumnie, konfesjonale lub stacji drogi krzyżowej, i zaczynałem czytać z głowy listę potrzeb. Nigdy nie usłyszałem z drugiej strony: w porządku, ale kiedy ty byłeś u mnie ostatnio na mszy? Dlaczego przychodzisz tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebujesz?

I co miałbym powiedzieć? Że lubię słuchać tylko kilku mądrych księży znanych w całej Polsce, a tak się złożyło, że i ja znam ich osobiście? Przecież Pan Bóg i tak o tym wie. Ja go nigdy nie zostawiłem, ale nie podoba mi się jego polityka kadrowa. Dawniej było inaczej. Prymas Wyszyński cieszył się powszechnym szacunkiem, był dla nas autorytetem i Aniołem Stróżem broniącym przed rządzącą nami komuną. On służył Kościołowi. Mieliśmy już na tyle rozumu i wiedzy wyniesionej z domu, żeby to wiedzieć.

Latem 1978 roku z Wandą i rodziną z Gdańska pływaliśmy kajakami po Mazurach. Gdzieś na Nidzkim czy w Wierzbie nad jeziorem Bełdany, między grą w piłkę a kiełbaskami przy ognisku rozmawialiśmy o księżach uprawiających sport. Wiedzieliśmy, że jest taki kardynał, który pływa kajakiem jak my, a zimą jeździ na nartach. Nazywa się bodajże Wojtyła. Kilka miesięcy później, kiedy wieczorem przyszedłem do domu, mama powiedziała, że Polak został papieżem. Nie pamiętała, jak się nazywa, ale wiedziała, że nie Wyszyński. Trzeba było czekać na kolejne wiadomości, żeby się dowiedzieć. A nie jestem pewien, czy od tej informacji rozpoczynały się serwisy. Dziennik „Żołnierz Wolności", który codziennie trafiał do wszystkich jednostek wojskowych w Polsce, informację o wyborze Karola Wojtyły na papieża schował.

W roku 1996 pojechałem do Rzymu na finał Ligi Mistrzów Juventus Turyn – Ajax Amsterdam. W tamtych latach finały rozgrywano w środy, a środa, gdy „na Anioł Pański biją dzwony", to dzień audiencji generalnej. Spytałem więc zaprzyjaźnionych księży z redakcji katolickiej TVP, co zrobić, żeby stanąć na placu Świętego Piotra w miejscu z dobrym widokiem. Byłem nieco rozczarowany, ponieważ dostałem od nich numer telefonu nie do Ojca Świętego, a do ojca Hejmo. Zadzwoniłem we wtorek i usłyszałem: „Niech pan przyjdzie jutro na plac tu i tu, ale o siódmej rano".

To, co działo się ze mną od tej pory, nie spotkało mnie nigdy wcześniej ani później. Ojciec Hejmo przeprowadzał mnie przez kolejne bramki, posterunki karabinierów i gwardzistów, coraz bliżej i bliżej bazyliki Świętego Piotra oraz papieskiego tronu przed jej fasadą, przy ołtarzu polowym. A mnie serce waliło coraz szybciej.

Wskazał mi krzesło w wydzielonym sektorze dla VIP-ów, zarezerwowanym tego dnia dla hiszpańskiego korpusu dyplomatycznego. Usiadłem między damami z perłami na szyjach, czarnymi koronkowymi mantylkami na włosach lub woalkami na twarzach a hidalgami w białych koszulach, przepasanych wstęgami przy szpadach i orderach. Uważałem, że moja marynarka jest stosowna do okazji, jednak przy nich wyglądałem żałośnie i przez moment zastanawiałem się, co myśli o mnie stojący obok

kolorowy gwardzista szwajcarski. A on mnie pewnie w ogóle nie dostrzegał.

Znajdowałem się dziesięć metrów od papieskiego fotela. Po prawej miałem bazylikę, po lewej, za plecami, pod kolumnadą Berniniego – sto tysięcy ludzi. Jakby ich nie było. O gwardziście zapomniałem. Miałem poczucie, że jestem sam, ale po chwili przyszli nieżyjący od kilku lat rodzice. W przypiekającym coraz mocniej majowym słońcu miałem parę godzin na rozmowę z nimi i wewnętrzne rekolekcje. Wyjąłem zza koszuli łańcuszek z krzyżykiem i mamy medalikiem z Jasnej Góry. Trzymałem go w dłoni i powtarzałem wciąż te same słowa, jak wtedy, kiedy jako dziecko klęczałem wieczorem w sypialni przed obrazkiem nad łóżeczkiem: „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój".

Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Byłem mokry od potu i łez, które same leciały. Krążyłem myślami między tym świętym miejscem a czymś nieuchwytnym, znanym z fresków i plafonów wiejskich kościółków oraz kaplicy Sykstyńskiej. I kiedy po kilku godzinach Jan Paweł II wyjechał swoim papamobile, żeby pozdrowić wiernych, to nie zwykła ochrona mu towarzyszyła, a całe zastępy Aniołów Stróżów, którzy jeszcze przed chwilą nachylali się nade mną.

To nie była msza. Papież składał coś w rodzaju relacji z zakończonej kilka dni wcześniej pielgrzymki do Słowenii. Ale modlił się, a ludzie śpiewali. Wtedy podszedł ojciec Hejmo, żartując, że jak będę rozmawiał z Ojcem Świętym, to żebym mu za bardzo nie zawracał głowy. Tyle że to nie był żart.

Brałem pod uwagę coś takiego, ale w to nie wierzyłem. Wystarczyły mi przecież dotychczasowe emocje. Stanąłem w kolejce razem z tymi *doñas* i *señores* i układałem sobie w głowie, co mogę powiedzieć papieżowi. O rodzicach, o żonie i dzieciach, o rodzinie, o kościele w Falenicy, po prostu o tym, kim dla nas jest.

A kiedy już podszedłem, świat zawirował, wszystko zapomniałem. Podał mi rękę, ucałowałem pierścień na stojąco, dopiero po chwili runąłem na kolana. Miał niezwykle delikatną dłoń. Jak mgiełka. Nie wiem, co powiedziałem, ale pamiętam, o co mnie spytał:

– Co pana sprowadza do Rzymu?

– Jestem dziennikarzem sportowym, przyjechałem na mecz.

– Tak? A kto dzisiaj gra? – spytał Ojciec Święty.

To pozwoliło mi wrócić do równowagi. Jak to, papież mieszka w Rzymie, jest kibicem, a nie wie, kto dzisiaj gra?

– Juventus Turyn z Ajaksem Amsterdam. To jest finał Ligi Mistrzów – dodałem.

Coś powiedział, ale nie wiem co, bo do akcji wkroczył ksiądz Stanisław Dziwisz, dając mi do zrozumienia, że powinienem już kończyć. Cała rozmowa trwała około minuty. Czekali następni. To ksiądz Dziwisz żegnał się z każdym, ale papież błogosławił – mniej więcej co dziesiątą osobę. I mnie pobłogosławił, i ten medalik, przywieziony z Częstochowy przez mamę w czasach, kiedy prymasem Polski był kardynał August Hlond, papieżem Pius XI, a Karol Wojtyła miał kilkanaście lat i służył do mszy w Wadowicach.

Nie noszę codziennie tego medalika, ale mam go na łańcuszku razem ze złotym „papieskim" krzyżykiem od Wandy, srebrnymi medalikami, które przywiozłem z Fatimy, Wilna, Świętej Lipki i gruzińskiej Mcchety, gdzie religia chrześcijańska trafiła sześćset lat wcześniej niż do nas, oraz krzyżykiem z katedry koptyjskiej w Asuanie.

Mama miała takie powiedzenie: „Kto z Bogiem – Bóg z nim". Nie chodziła do kościoła na pokaz, tylko z wewnętrznej potrzeby. Niedawno przy rodzinnym obiedzie rzuciłem pytanie:

– Czy gdyby mama żyła, to ze swoją głęboką wiarą byłaby „moherowym beretem"?

– Mama była na to za inteligentna. Ona dobrze widziała różnice między wiarą a interesem i dewocją – naskoczyły na mnie siostry.

ROZDZIAŁ X

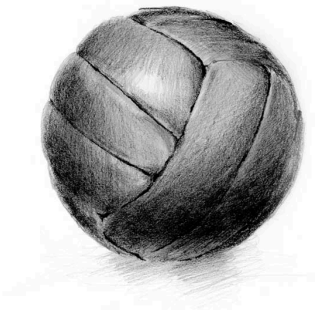

KS HUTNIK

Przed wojną w Falenicy było aż siedem klubów sportowych: sześć żydowskich – Hapoel, Skra, Jutrznia, Makabi, Gordonia i Szomryja, oraz polski Sokół. Dzisiaj nie ma ani jednego.

Place, na których grali piłkarze, zarosły, na polach karnych stanęły domy, drewniane bramki poszły na podpałkę. Jedno z tych boisk znajdowało się obok mojego domku i wpłynęło na całe moje życie.

Jest coś takiego charakterystycznego i niepowtarzalnego, jak dźwięk kopanej i odbijającej się od ziemi piłki. Wprawne ucho z odległości kilkudziesięciu metrów potrafi odróżnić, czy piłka odbija się od piachu, trawy, klepiska, asfaltu czy betonu. A jeśli od trawy, to naturalnej czy sztucznej? Została przystrzyżona na wysokość trzech czy czterech centymetrów? Jest sucha czy polano ją wodą? Czy piłka jest odpowiednio napompowana? Jest kamieniem czy flakiem? Kopnięto ją trampkiem czy butem piłkarskim? A jeśli butem, to gumowym, parcianym, plastikowym czy skórzanym? Czubem, pasówką czy zewniakiem? W momencie kopnięcia leżała na ziemi czy leciała w powietrzu? Inaczej ją słychać, kiedy unosi się z wiatrem, a inaczej, kiedy leci pod wiatr.

Dźwięk, który wydaje, zależy od liczby łat, sposobu ich łączenia (dawne szycie dratwą zostało zastąpione klejem) i materiału, z jakiego została zrobiona. Wtajemniczeni odróżniają po odgłosie piłkę za dwadzieścia złotych, składaną na taśmie produkcyjnej przez dzieci w Pakistanie, od adidasowskiej, zrobionej z pociętej na łaty skóry cielaków pasących się na alpejskich łąkach, z których wcześniej pozbyto się gzów i much, żeby nie kaleczyły skóry i nie stresowały bydląt. A współcześnie – uszytą z osiemnastu warstw rozmaitych tworzyw, nie zawsze udolnie zastępujących skórę.

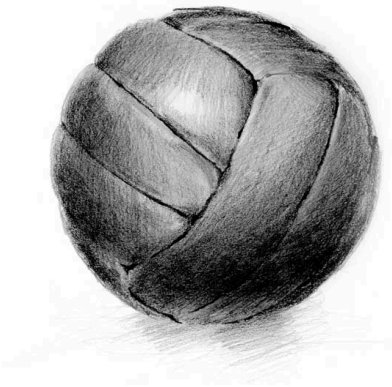

Tym razem piłek było kilka i na rozgrzewce miałem jedną dla siebie. No i zrobiłem ten swój cyrk, czułem się jak mały Pelé.

Kazimierz Górski, słuchając odgłosów piłki w pobliżu nieznanego sobie boiska, potrafił odgadnąć, czy kopią ją na treningu, w meczu towarzyskim czy o punkty. To jest wyższa szkoła – jej dyplom dostają tylko ci, którzy piłeczkę czują i lubią. A ona im się odwdzięcza.

Kolejny stopień wtajemniczenia dotyczył szatni. Zapach szatni piłkarskiej przez profanów i osoby z marginesu futbolu nazywany jest fetorem, a przez niektórych nawet smrodem. Ale jeśli ktoś to rozumie i lubi, to czuje się tam jak w perfumerii.

Moja pierwsza szatnia w Falenicy, a potem wiele innych w całej Polsce, a nawet za granicą, to były miejsca magiczne. W falenickiej panował bałagan, jaki z lubością robią mężczyźni spuszczeni z oka przez matki i żony. Naśladowali ich kawalerowie – juniorzy. Ubrania wisiały byle jak: na hakach, gwoździach i krzesełkach, buty porozrzucane pod nimi i ten

zapach, który unosił się w powietrzu – połączenie męskiego potu z resztkami trawy lub błota, przyniesionymi z boiska między kołkami butów, czasami deszczu na włosach i koszulkach, kamforowych maści rozgrzewających mięśnie, pasty do butów i piłek. A w przypadku pełnych nadziei na karierę juniorów – również pasty do zębów, którą dzień przed meczem malowaliśmy białe fragmenty butów, aby przypominały prawdziwe adidasy i pumy.

Nasze pochodziły z wytwórni w Wałbrzychu lub Krośnie. Miały w podeszwie sześć wkręcanych kołków, które na twardych boiskach z resztkami trawy (a one w niższych klasach stanowiły większość) uwierały w stopy. Były zrobione z twardej skóry, od której w okolicach kostek, palców i na piętach tworzyły się rany. Aby tego uniknąć, nowe buty należało więc najpierw włożyć na kilka godzin do wanny z ciepłą wodą i dodatkiem octu. Inną metodą było długotrwałe pocieranie skóry watą nasączoną denaturatem. Sposobem drastycznym, ale skutecznym, było nasikanie do butów, co z powodów higienicznych należało zrobić osobiście. Zawsze to własne.

Przed pojawieniem się oryginalnych adidasów i pum (czyli na czarnym rynku do początku lat siedemdziesiątych, a w sklepach znacznie później) najlepsi zawodnicy grali w tak zwanych kolarkach. Były to lekkie buty z miękkiej dwubarwnej skóry, produkowane dla kolarzy. Szewcy wzmacniali podeszwy trzema paskami skóry i nabijali na nie skórzane kołki.

Bez względu na to, czy myliśmy się w miskach z zimną wodą, czy pod prysznicami (też na ogół z zimną), do dobrego tonu należało wycieranie się koszulką, a potem stawanie na niej bosymi stopami na podłodze, z czym walczyli bezskutecznie kierownicy drużyny i magazynier – pan Marian. Jego obowiązkiem było to wszystko zebrać i oczyścić z błota i piachu, a potem wrzucić do zdezelowanej pralki. Jeden komplet strojów musiał starczyć na sezon.

Nim dotknąłem tej magii, najpierw jako kilkuletni dzieciak zwabiony odgłosem gry biegałem ulicą Kamieńskiego na boisko, żeby panom

piłkarzom podawać na treningu piłki. Nie narzekałem na brak pracy, ponieważ klub Hutnik miał tylko jeden komplet siatek, które zakładano na bramki wyłącznie z okazji meczu, czyli od święta. Niezależnie od tego, czy piłka podczas ćwiczeń wpadała między słupki, czy wylatywała na aut, i tak trzeba ją było przynieść. Po najsilniejszych, niecelnych strzałach czasami trafiała w stojący na pętli autobus pośpieszny C lub zwykły 146 i odbijając się od niego, sama wracała na boisko.

Zdarzało się, że odkopywali ją kibice, stali bywalcy budki pana Stasia. Przy pętli, obok boiska były dwie budki. Jedna to kiosk Ruchu pana Fiejki, gdzie po drodze do szkoły kupowałem „Przegląd Sportowy", a czasami wkłady do długopisów. Druga to właśnie lokal pana Stasia, gdzie zamawiało się piwo z beczki, oranżadę i słodycze. Mimo że nie było tam gdzie usiąść ani nie dało się wejść do środka, budka pełniła funkcję salonu dla niżej urodzonego falenickiego towarzystwa. Po prawdzie, wyżej urodzonego u nas nie było.

Królem tej socjety był Wojtek, zwany „Palmą". Codziennie około dziewiątej rano, kiedy klasa robotnicza już od co najmniej dwóch godzin zajmowała swoje miejsca przy warsztatach w hucie, betoniarni, tartaku i w „rotorze", czyli w Mera-Pnefal, swoją operatywkę rozpoczynała grupa „Palmy". Należało do niej kilku, a czasami kilkunastu zawodowych bezrobotnych, którzy przed zamówieniem pierwszego piwa podpisywali ołówkiem kopiowym przetłuszczoną listę obecności, przechowywaną w dziupli starej sosny. Kto przez trzy dni nie złożył podpisu, tego skreślano, uznając go za człowieka straconego dla zdrowej tkanki społeczeństwa. Brak podpisu oznaczał, że członek tego elitarnego klubu podjął pracę, a więc sprzeniewierzył się jego statutowi.

Ta grupa mężczyzn w średnim wieku żyła z rent lub emerytur rodziców i dziadków, czasami musiała się jednak hańbić pracami dorywczymi. Wędrowała po Falenicy, bezbłędnie wyczuwając, gdzie akurat bije rytm miasteczka: na pętli, na meczu, na Młodej, na stacji, na dechach, na karuzeli czy pod kinem. Pod kościół nie chodzili. To była grupa pacyfistów, życzliwie nastawiona do miejscowej społeczności. Rodzaj falenickich hippisów, którzy nie wyróżniali się jednak długimi włosami i kolorowymi

ubraniami. Dzieci kwiaty to nie były. Ale słowo „menele” z trudem przebija mi się przez klawiaturę.

Wysoki, szczupły Wojtek „Palma” nosił czarny garnitur, wyszmelcowany na klapach i kieszeniach, w których trzymał giewonty. Do tego koszula, w przeszłości biała, i czarny wąski krawat. Wyglądał jak jazzman, który przed chwilą zastawił w lombardzie kontrabas.

Był bystrym, inteligentnym gościem – co prawda na jakimś etapie edukacji rozstał się ze szkołą, ale nie przestał czytać. Przezwisko „Palma” mówiło coś jednak o egzotyce jego pomysłów. Pewnego razu, po porannym podpisaniu listy Wojtek założył się z kolegami, że jeszcze tego samego dnia obcy człowiek weźmie do ręki jego wacka. Miał plan, musiał się tylko wykazać cierpliwością. Stał więc pod budką pana Stasia, sączył piwo, nie zważając na docinki wątpiących, triumfujących kolegów, niezdających sobie sprawy, że cieszą się przedwcześnie.

Mniej więcej po godzinie czajenia się Wojtek wypatrzył wreszcie nieświadomą niczego ofiarę. Elegancki pan w zaawansowanym wieku i o aparycji dyrektora, w oczekiwaniu na spóźniony jak zwykle autobus chodził wolno, trzymając ręce splecione za plecami. Kiedy zatrzymywał się, aby zmienić kierunek, kręcił palcami młynka. Wojtek tylko na to czekał. W momencie zwrotu dyrektora przywarł torsem do jego pleców, jednocześnie szybko rozpiął rozporek i wsadził małego w ręce gościa. Ten poczuł coś ciepłego i odruchowo zacisnął rękę.

Kiedy zorientował się, co złapał, było już za późno. Krzyknęli obydwaj jednocześnie. Dyrektor z przerażenia, Wojtek – z radości, że wygrał zakład. Triumfował, uciekając jak na szczudłach przed ofiarą, która zresztą szybko zrezygnowała z pościgu.

– Może panu szanownemu ręce obmyć? – spytali turlający się ze śmiechu koledzy Wojtka, stukając wymownie obgryzionymi, czarnymi paznokciami w kufle z piwem.

Wojtek „Palma” należał do awangardy kibiców Hutnika, wśród których najliczniejszą frakcję tworzyli furmani wożący węgiel, deski z tartaku, a przed zimą kartofle lub kapustę. Oni też mieli swojego lidera – „Stryja”,

wyróżniającego się stentorowym głosem. Zwalisty chłop w nieokreślonym wieku (mógł mieć między trzydzieści pięć a sześćdziesiąt pięć lat), czarny od pracy w dzień powszedni, w niedziele wkładał ancug i oddawał się przyjemnościom. Mecz był jedną z nich. Jak krzyknął: „Falenica grać!", w hucie szkła pękały butelki.

Jego żona nie pękała. W tygodniu, po pracy i spotkaniu z kamratami, „Stryjo" zwykle siadał na chodniku przed domem na Kłodzkiej, żeby oddać się pewnemu rytuałowi. Krzyczał: „Baby to chuje!", prowokując tym żonę do wyjścia z domu. Ona, drobna kobieta, wychodziła w szlafroku, waliła go laczkiem z różowym pomponem w facjatę, po czym on potulnie szedł spać. Tworzyli szczęśliwy związek.

„Stryjo" był też sponsorem. Chłopakowi, który strzelił bramkę, wkładał po meczu w dłoń dwa lub pięć złotych. To był dowód uznania. Nie wypadało nie wziąć, żeby nie urazić, chociaż mnie akurat nigdy nie dał, bo nie było powodu.

Zwykły w gruncie rzeczy doping „Stryja" był jednak niczym w porównaniu z akcją, jaką przeprowadził „Palma" podczas meczu o mistrzostwo klasy B z Redutą Warszawa. Widowisko nie było pasjonujące, w dodatku Falenica przegrywała, więc na trybuny wkradła się pewna nerwowość. Jak to zwykle bywa, winą za ten stan obarczono nie skacowanych piłkarzy, a sędziego, którego sytuację pogarszał fakt, że był rudy, co nie uszło uwadze wyrobionej falenickiej publiczności. Trzeba wiedzieć, że w latach sześćdziesiątych obowiązywało jeszcze powstałe przed wojną określenie „sędzia kalosz". Jego rozwiniętym apelem stał się okrzyk: „Sędzia, kanarki doić!". Były to jedyne przejawy dezaprobaty dla pracy sędziego, jakie przez kilkadziesiąt lat można było usłyszeć na polskich stadionach.

To, co zrobił Wojtek „Palma", zasadniczo pchnęło do przodu relacje na linii kibice – sędzia. Wziął należący do odpoczywającego pod ławką, zmęczonego upałem oraz winem Artka Zduńskiego skuter Osa i ruszył nim na boisko z zamiarem przejechania arbitra.

Szczęśliwie zakopał się jednak w piachu obok pola karnego i to sędzia podszedł do niego pierwszy. Zgodnie z przepisami gry Wojtek stał się

w tym momencie „obcym ciałem na boisku". To samo w sobie kłóciło się z logiką, ponieważ on tam był u siebie. Wojtek, niezrażony roszczeniową reakcją arbitra, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki stary mandat za wtargnięcie na przejazd kolejowy na ulicy Młodej przy zamkniętym szlabanie i machając świstkiem, oświadczył:

– Panie sędzio, jestem delegatem Polskiego Związku Piłki Nożnej. Mocą mojego urzędu odwołuję pana z funkcji arbitra tych zawodów.

Tak się złożyło, że sędzia poprzedniego dnia miał w Wołominie Pierwszą Komunię Świętą chrześniaka i przyjechał do Falenicy z mocno bolącą głową. Myślał więc wolno i nie zamierzał niczego czytać. Najpierw stanął na baczność, być może szczęśliwy, że nie musi już biegać. Kiedy jednak zobaczył śpieszących w stronę Wojtka kierownika drużyny Jurka Poniatoszczaka i porządkowego pana Kalitę, wrócił do równowagi. Wojtek nie opierał się, kiedy przy aplauzie publiczności sprowadzano go z boiska. Trzymał fason do końca, grożąc sędziemu palcem:

– Żeby mi to było ostatni raz!

Po czym, podniósłszy wzrok na jego płomieniste włosy, od niechcenia dodał: – Pan wyglądasz na tym boisku jak chyży rój na cichej lipie.

Falenica wyrównała, sędziego, który nie znał gry półsłówek, poczęstowano piwem i nikt do nikogo nie miał pretensji. Tylko pan Feliks Dłużniak, ojciec naszego trenera, powiedział głośno:

– To jest złamanie zasad fair play. Nie wypada, żeby się tak w Falenicy zachowywać.

Ale chyba nawet jego akolici, reprezentujący sfery kierownicze cechów rzemieślniczych miasteczka, tworzący kilkuosobową lożę VIP-owską naszego stadionu na dwieście osób, nie podzielali opinii pana Feliksa. Mogło też być tak, że nie wiedzieli, co znaczy termin fair play.

Do takiego miejsca trafiłem latem 1964 roku. Od początku miałem przewagę. Po pierwsze, nasz trener, pan Witold Dłużniak, był kolegą siostry ze szkoły. Po drugie, czołowym napastnikiem Hutnika był mój brat, który po zdobyciu tytułu wicemistrza Polski juniorów w barwach Legii nie został na Łazienkowskiej, nie poszedł do nalegającego na transfer

trzecioligowego Lotnika, tylko oddał się studiom i grze w Hutniku. W epoce fascynacji futbolem brazylijskim Janek był falenickim Garrinchą.

Przez pewien czas w Falenicy uważano, że skoro on ma talent, to jego młodszy brat też musi mieć. W moim interesie leżało podtrzymywanie takiej teorii jak najdłużej, nim się ktoś zorientuje, że jest fałszywa. Początkowo szło mi dobrze. Po kilku treningach zostałem włączony do kadry pierwszej drużyny juniorów na mecz z Józefovią Józefów, czyli sąsiadem Falenicy. Pomogła mi w tym pora roku. Był sierpień, wielu moich kolegów nie wróciło jeszcze z wakacji i trener nie miał wyboru. Magazynier, pan Marian, wyjął ze sterty starych butów dwa, które wyglądały na parę, a kiedy trener przydzielał koszulki, mnie ze względu na pozycję prawego łącznika przydzielił numer osiem. W ten sposób spełniły się moje dwa marzenia jednocześnie: dostałem buty piłkarskie, czyli korki, i koszulkę z numerem. Miałem wtedy piętnaście lat.

Do tej pory sądziłem, że korki i koszulka z numerem zrobią ze mnie piłkarza. Dzięki korkom moje strzały będą miały siłę atomu, a mój numer będzie zwracał uwagę wszystkich (około dwudziestu) kibiców. Wyjście na boisko drastycznie przekreśliło tę wiarę. Okazało się, że przeciwnicy też mieli korki, ale chyba lepsze od moich, bo szybciej biegali, mocniej strzelali, byli ode mnie zwrotniejsi. Potrzebowałem kilku meczów w juniorach, aby zrozumieć, że „sprzęt nie gra".

Muszę przyznać, że nadzieje moich trenerów na to, że stanę się gwiazdą, trwały znacznie dłużej i nie wystawiły ich fachowości najlepszego świadectwa. Nawet moje najbardziej nieprzemyślane zagrania traktowano w kategoriach geniuszu, którego nikt poza mną nie pojmuje, a partnerzy nie nadążają ani za moimi podaniami, ani wyrafinowanym tokiem myśli. No bo jak to: Stefanek, brat Jasia, musi być dobry. To inni go nie rozumieją.

Pierwszym, który podważył tę teorię, był trener drużyny seniorów pan Witold Dłużniak. Gwiazda linii otwockiej. Nie dość, że skończył falenickie liceum i ekonomię na uniwersytecie, to jeszcze grał w ligowych zespołach Warszawianki i Polonii. Bardzo go lubiliśmy i – można powiedzieć – graliśmy dla niego. Był dyrektorem w centrali spółdzielczości pracy czy

czegoś takiego, pracował obok kina Skarpa. Kiedy jakiemuś chłopakowi z klubu brakowało na kino, to krzyczał pod biurem: „Panie Witku!". I dyrektor Dłużniak schodził na dół, żeby się dołożyć do biletu.

Chłopcy na ogół mu oddawali, chociaż on chyba tego nie oczekiwał. Nie pożyczał tylko jednemu, który miał ksywkę „Tomorrow". On pożyczał w Falenicy od każdego i na wszystko. Jak go wierzyciel pytał, kiedy odda, miał przygotowaną odpowiedź, którą usłyszał na amerykańskim filmie: *tomorrow*.

Pan Witek jako piłkarz i dyrektor zwiedził kawał świata, a to były dopiero początki jego kariery. Gdy do władzy doszedł Edward Gierek, pan Witek został instruktorem w KC PZPR i znalazł się w wąskim kręgu młodych działaczy partyjnych, którzy postawili sobie za cel zreformowanie polskiej piłki na poziomie reprezentacji. Był w tej grupie także Jacek Gmoch, a ich rówieśnika Jana Maja wybrano na prezesa PZPN-u. W tym samym czasie Kazimierz Górski został trenerem reprezentacji. Kiedy Polacy grali na mistrzostwach świata w Niemczech, Witold Dłużniak pojechał tam w roli wiceprezesa PZPN-u do spraw szkolenia.

Jako trener w dyskretny sposób pozbawił mnie złudzeń co do mojego rzekomego talentu i piłkarskiej przyszłości. Kiedy na koniec treningu wybierał dwie jedenastki do kontrolnej gry, do mnie mówił:

– A ty sobie, Stefku, pożongluj.

Podczas gdy chłopaki grały, ja przez kilka lat żonglowałem piłką, aż doszedłem do perfekcji brazylijskiego cyrkowca z Copacabany. Odbijałem piłkę głową, stopami, piętami, udami, ramionami, rzęsami. Mogłem to robić godzinami, tak żeby nie spadła na ziemię. Dopóki chciało mi się liczyć rekordy, doszedłem do około czterech tysięcy podbić. Od pewnego momentu to już przestało być sztuką. Jeśli ktoś potrafi podbić pięćdziesiąt razy, to może i pięć tysięcy. To tylko kwestia szczęścia oraz odporności na zmęczenie i ból karku. Kiedy podbija się piłkę głową, po którymś razie widzi się przed oczami już tylko skaczącą plamę.

Dzięki tej żonglerce stałem się błyskotliwym technikiem mijającym w jednej akcji po trzech przeciwników, ale wciąż nie umiałem grać. Andrzej Strejlau powiedział kiedyś, że zaprosi mnie na zgrupowanie kadry,

aby kilku zawodników (w tym Grzegorz Lato) zobaczyło, co można zrobić z piłką. Na szczęście tylko żartował. Coś jednak z tego zostało. Kiedy szukałem pomysłu na nadtytuł swojego stałego felietonu, szybko przyszło mi do głowy coś, co mnie charakteryzowało: „Żonglerka". Piszę te felietony od ponad ćwierć wieku. Najpierw w „Życiu Warszawy", a od roku 1999 w „Rzeczpospolitej".

Kazimierz Górski był kiedyś naszym trenerem na pokazowym meczu z oldbojami Horteksu w Rykach. U nas kilku dziennikarzy, Robert Gadocha, kulomiot Władek Komar, bokserzy – bracia Skrzeczowie, tyczkarz Tadek Ślusarski, narciarz Józef Łuszczek, Bernard Blaut, trener Ryszard Kulesza, Edmund Zientara, ktoś młodszy do biegania. Same gwiazdy. Całe miasteczko przeniosło się na trybuny. Znałem ten stadionik. Idealny do grania na czas – wystarczyło kopnąć piłkę w stawy hodowlane, tuż za boiskiem. Nim ją przywieźli łódką, mijało pięć minut.

Tym razem piłek było kilka i na rozgrzewce miałem jedną dla siebie. No i zrobiłem ten swój cyrk, widziałem, jak mnie ludzie pokazują palcami, niosło mnie to, czułem się jak mały Pelé. Po powrocie do szatni Kazimierz Górski podał skład wyjściowej jedenastki, ale beze mnie. Gadocha spytał:

– Panie trenerze, a Stefan?

– Stefanek to jest biały Pelé, ale na rozgrzewce – odpowiedział pan Kazimierz, co stanowiło jeszcze jeden dowód, że znał się na piłce.

Kiedy jednak prowadził reprezentację, pozwalał mi trenować razem z nią (dzięki temu mogłem od Kazimierza Deyny pobrać korepetycje ze strzelania rzutów wolnych), a nawet wpuszczał mnie na odprawy przedmeczowe. Kiedy wpisywał mi do książek lub na zdjęciach dedykacje albo przedstawiał mnie komuś, zawsze dodawał:

– To jest pan Stefanek, biały Pelé.

Sztuka posługiwania się piłką na rozgrzewce przydawała mi się w pracy zawodowej. Jacek Gmoch też pozwolił mi wziąć udział w treningu reprezentacji, dzień przed meczem z Węgrami na Népstadionie w Budapeszcie. Wiedział, że nie przewracam się na piłce, więc ryzykował

niewiele. Tym bardziej że w kadrze znalazło się siedemnastu zawodników i jeden, najmłodszy, niespełna dwudziestoletni debiutant nie miał pary.

– Będziecie ćwiczyli razem – powiedział Gmoch. I tak się stało. Następnego dnia mój partner debiutant strzelił bramkę. Nazywał się Adam Nawałka.

Niewiele brakowało, a sam też bym zagrał w reprezentacji Polski. W roku 1980 drużyna młodzieżowa pojechała na dwa mecze do Maroka. Już w pierwszym, w Marrakeszu, jeden piłkarz złamał nogę, drugi rękę, a na kolacji pomeczowej trzeci zatruł się kuskusem. Do drugiego spotkania, w Settat, przystępowaliśmy więc bez ławki rezerwowych i trener Waldemar Obrębski, który był kolegą brata z Legii i moim, wygłosił myśl może i negującą fair play, ale też świadczącą o doświadczeniu:

– Jak zobaczą, że nie mamy ławki, to nas zaczną rąbać od pierwszego gwizdka i zostaniemy zdekompletowani. Wpisuję cię do protokołu jako zawodnika starszego.

Włożyłem koszulkę z białym orłem i numerem 16, na podstawie paszportu zostałem oficjalnie wpisany do protokołu FIFA i przeszedłem chrzest debiutanta, polegający na przyjmowaniu klapsów od prawdziwych piłkarzy, którzy byli ode mnie o dziesięć lat młodsi. Ja miałem już trzydzieści jeden.

– To teraz idź na boisko i pokaż to, co potrafisz i lubisz – zarządził Obrębski.

Stałem się częścią planu. Znowu robiłem te swoje nikomu niepotrzebne sztuki z noszeniem piłki na plecach, stopowaniem jej pośladkami, przerzucaniem piętą nad głową. A wszystko przed główną trybuną. Im dłużej to trwało, tym większe wzbudzałem zainteresowanie kibiców, ale przede wszystkim marokańskiego sztabu szkoleniowego. Widać było, że jestem starszy, więc na pewno będę mózgiem drużyny i mnie pierwszego trzeba będzie wyłączyć z gry.

Kiedy reprezentacja Polski wyszła na boisko, ja zostałem na ławce. To wprawiło gospodarzy w jeszcze większe zdumienie: skoro cyrkowca zostawili, to znaczy, że mają lepszych. Polska osiągnęła bardzo dużą

przewagę, ale bramki nie padały. Tak bardzo uwierzyłem w siebie, że zacząłem wywierać na trenera presję:

– Kiedy mnie wreszcie wpuścisz?!

Czas jednak płynął, bramka wisiała w powietrzu i na jakiś kwadrans przed końcem trener wreszcie powiedział:

– Rozbieraj się. Jesteś za wolny do ataku i za mało zwrotny do obrony. Pójdziesz do pomocy i wyłączysz z gry tego wielkiego.

Mówiąc to, wskazał na dwumetrowego gracza przypominającego gabarytami, aparycją i śmiercią w oczach tego Berbera, który machał mieczem przed Indianą Jonesem. Teraz zwątpiłem:

– Jak niby miałbym to zrobić? Przecież on mnie rozjedzie w pierwszej akcji.

– Jest wysoki, więc szeroko rozstawia nogi. Założysz mu na początek siatkę. Powinien się wkurwić i będzie cię gonił po całym boisku, a my wtedy postaramy się coś zrobić z piłką. Tylko najpierw musimy strzelić bramkę – powiedział Waldek.

Niestety, nie strzelili. Zremisowali beze mnie, Berber zachował honor, a ja być może życie.

Piętnaście lat wcześniej zdarzyło się to, co zdarzyć się w końcu musiało. Po jakimś czwartkowym treningu Hutnika Falenica pan Witek powiedział:

– Stefan, w niedzielę zagrasz w pierwszej drużynie z Tarczynem.

Pierwsza drużyna występowała w B-klasie, więc nie były to wyżyny futbolu, jednak dla mnie powołanie oznaczało największy sportowy sukces siedemnastoletniego życia. Zostało też docenione przez starszych kolegów w szatni. Cóż to była za ekipa! Niski, krępy, niewywrotny łącznik Rysiek B. miał na łopatce wytatuowanego wielkiego motyla. Kiedy Rysiek naprężał mięśnie, to motyl machał skrzydłami. Kościsty, pozbawiony mięśni śmiechu stoper Maniek F. nosił na zakolach dwa tatuaże, które zrobił mu jakiś artysta na Rakowieckiej: swastykę i litery OAS, czyli skrót nazwy francuskiej organizacji terrorystycznej. Szybki skrzydłowy Wiesiek W. miał na podbrzuszu wytatuowaną skierowaną w dół strzałę z napisem: „Tylko dla pań". Józiek P. imponował złotą plombą w miejscu górnej trójki, ciągle coś liczył i przekonywał nas, że zrobi „businez". Po kilku latach

został ważną postacią w strukturach warszawskiej mafii, wykształcił dzieci, a jego syn jest już prawdziwym biznesmenem.

Ale był też lewy łącznik Wiesiek Benczarski – skończył studia, został inżynierem, dyrektorem i prezesem firmy Mera-Pnefal, która przejęła po hucie obowiązki naszego sponsora. Pomocnik Jacek Muszyński jest profesorem gastroenterologii w klinice na Banacha i wykładowcą akademickim. Kilku kolegów z tamtej drużyny trafiło do trzecioligowej Polonii. Największy sportowy sukces odniósł jednak Leszek Łopaciński. Jednej niedzieli grał z nami w A-klasie przeciwko Mazurowi Karczew, a tydzień później wystąpił w barwach pierwszoligowej Gwardii w meczu z Górnikiem Zabrze. I jako napastnik musiał stawić czoło reprezentacyjnej parze stoperów: Stanisławowi Oślizło i Jerzemu Gorgoniowi.

Jedni z nas się uczyli, inni pracowali, niektórzy porozumiewali się grypserą. Ilu tam było chłopaków na miarę reprezentacji, którzy utopili talenty nie tylko w piwie u pana Stasia i pożyczali po dwadzieścia groszy na bułkę? Nie wszyscy byliśmy bliskimi kolegami, ale tworzyliśmy grupę. Nikt nigdy w Falenicy piłkarza z Hutnika nie ruszył.

Wiadomość o powołaniu mnie do pierwszej drużyny dotarła z szatni pod budkę. Z tej okazji Wojtek „Palma" zaprosił mnie do swojego mieszkania w piętrowym świdermajerze obok torów na – jak zaznaczył – „uroczystą kolację dla kilku dżentelmenów". Zaproszenie stanowiło wyróżnienie, więc ubrałem się odświętnie, a przechodząc obok zakładu fotograficznego Buch Car, miałem nawet ochotę wejść do niego i zrobić sobie zdjęcie. Dotarłem na miejsce kilka minut przed czasem, aby nie obrazić gospodarza niezamierzonym spóźnieniem.

Stół był już przygotowany na przyjęcie gości. Na białym obrusie stało sześć talerzy z makaronem. Zapachu gotującej się pomidorówki ani rosołu jednak nie czułem. Kiedy już zjawili się wszyscy goście, zawodnicy pierwszego zespołu Hutnika, Wojtek przed każdym z nas postawił butelkę wina *strawberry*. Tylko ja, ewidentnie nieuświadomiony szczaw, czekałem na szklankę. Koledzy odbili wina metodą tradycyjną – nasadą dłoni. A Wojtek zastosował metodę literacką – uderzył kilkakrotnie dnem butelki o gruby tom *Pana Tadeusza*, który chyba tylko w tym celu trzymał w domu.

Kiedy już lak puścił, a korki wyleciały, koledzy zalali makaron winem i zjedli tę zupę owocową łyżkami. I ja też.

– No, to teraz możesz z nami grać – powiedział Rysiek B.

Teraz to ja nie byłem w stanie nic zrobić, bo alpaga nie należała do moich ulubionych trunków, a gdy zjadłem ją z makaronem, spowodowała w organizmie rewolucję. Na szczęście do meczu pozostawały dwa dni i mogłem wrócić do równowagi. Tarczyn, do którego pojechaliśmy, słynął niestety z produkcji wina owocowego, więc tamtejsi tubylcy spożywali go na trybunach w czasie naszego meczu i zapach niósł się po boisku, budząc nie najlepsze wspomnienia. Jakoś to wszystko wytrzymałem i miałem nawet bardzo dobrą okazję do zdobycia bramki. Piłka mi naszła, walnąłem z linii pola karnego i może by wpadła w okienko, gdyby nagle na linii strzału nie pojawił się, nie wiadomo skąd, grający trener pan Dłużniak. I to w niego trafiłem. A potem długo czekałem na kolejne powołanie.

Boisko w Falenicy było moim drugim domem. W noc poprzedzającą mecz z Otwockiem, decydujący o awansie do A-klasy (nawet ksiądz z ambony zapraszał wiernych na stadion), razem z moimi kumplami: Rysiem Wilkiem, Jurkiem Sadowskim i Mietkiem Pyzą, na białej ścianie budynku huty, który przylegał do boiska, wymalowaliśmy czarną farbą wielkimi literami dwa hasła: „Na naszej Maracanie każdy łomot dostanie" oraz „Nie pomoże Herrera – dostaniecie do zera". Maracana – wiadomo, najsłynniejszy stadion świata w Rio de Janeiro. Helenio Herrera był wówczas trenerem najlepszego w Europie Interu Mediolan. Po latach stał się ojcem duchowym José Mourinho, który zresztą wtedy ledwo co pojawił się na świecie. Bardzo byliśmy z siebie dumni. Te napisy widniały tam przez wiele lat i pamiętali je wszyscy piłkarze, którzy przyjeżdżali na mecz do Falenicy.

Aż kiedyś zburzono ten budynek. W roku 2010 pojawił się ktoś, kto podawał się za właściciela terenu, na którym przez ponad pół wieku chłopaki z Falenicy grały w piłkę. Sąd dał mu wiarę i odebrał nam boisko, na którym wychowało się kilka pokoleń dzieciaków, gdzie grali reprezentanci Polski i gdzie przywiozłem Kazimierza Górskiego. Jest tam

pusty plac, zapewne stanie tam jakiś supermarket. Nie ma betoniarni, tartaku, a w halach po hucie szkła kręci się teraz telewizyjne seriale. Klubu też już nie ma.

W latach 80. i 90., kiedy mogliśmy głębiej odetchnąć, organizowałem mecze aktorzy – dziennikarze. Tylko w ten sposób mogłem zagrać na głównym boisku Legii.

ROZDZIAŁ XI

STUDIA I WOJSKO

Kiedy uczyłem się w liceum, wpatrzony w siostrę i brata, byłem przekonany, że studenci to intelektualna i kulturalna elita kraju. Pierwsze miesiące na uczelni radykalnie tę opinię zmieniły. Potem rozczarowywałem się jeszcze dwukrotnie. Miałem dobre zdanie o dziennikarzach, dopóki ich nie poznałem. A spotkanie w Telewizji Polskiej z osobami powszechnie znanymi mój dotychczasowy podziw dla wielu z nich bardzo osłabiło.

Do studiów zraziłem się dość szybko. Studium Nauk Politycznych przy Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego miało rozwinąć moje zainteresowania. Ale jeszcze przed immatrykulacją studium stało się instytutem, co z daleka zalatywało Związkiem Radzieckim. Okazało się też, że na pierwszy rok przyjęto dwukrotnie więcej studentów, niż zakładano. Wielu z nich nie zapamiętałem z egzaminów wstępnych. Pochodzili z całej Polski, głównie ze środowisk robotniczych i wiejskich. Podobnie jak ja otrzymali punkty za pochodzenie, ale domyślałem się, że niektórzy mieli też poparcie rozmaitych instytucji.

Po latach studenckie wojsko jest już tylko przedmiotem żartów, ale kiedyś nie zawsze było śmiesznie.

Nie byłem specjalnie wyedukowany i doświadczony, ale szybko porzuciłem też myśl, że rozwinę się intelektualnie, obcując ze zdecydowaną większością nowych koleżanek i kolegów. Na uczelnię dojeżdżałem codziennie pociągiem lub autobusem, nie brałem udziału w życiu towarzyskim akademików na Kickiego, Radomskiej czy Żwirki i Wigury. Łączyły nas zajęcia, czasami gra w piłkę, i to wszystko. Żadnych bliższych związków. Trzymałem się w grupie kilku osób z Warszawy lub najbliższych okolic, uważanej przez aktyw za podejrzaną „grupę nieformalną". Należały do niej dwie osoby o niezwykłej inteligencji i wiedzy, przy których czułem się malutki.

Wszelkie złudzenia co do miejsca, w którym się znalazłem, straciłem jeszcze na pierwszym roku, w marcu 1968. Cały uniwersytet wtedy strajkował, tylko nie mój wydział. Odbyło się w tej sprawie głosowanie, ale mnie było stać jedynie na wstrzymanie się od głosu. Ktoś opowiedział się za strajkiem, może dlatego że okazał się odważniejszy albo był prowokatorem. W ostatecznym rozrachunku Instytut Nauk Politycznych UW stanął po stronie towarzysza Wiesława. Podobno część naszych kolegów znalazła się nawet w jednym szeregu z przywiezionymi na uczelnię „robotnikami", którzy pałowali studentów. Nie widziałem tego, ale wierzę, że tak mogło się stać. INP był kuźnią kadr partyjnych, zapewne

nieprzypadkowo przypisanym do Wydziału Filozoficznego (z socjologią), najbardziej wywrotowego na UW.

W marcu i kolejnych miesiącach 1968 roku byłem w ciągu dnia indoktrynowany na Krakowskim Przedmieściu, a o co chodziło naprawdę, dowiadywałem się wieczorem w domu od strajkującego na Wydziale Historycznym brata, jego kolegów z innych wydziałów UW i politechniki oraz z zachodniego radia.

Wyjście na ulicę było w tych warunkach naturalnym odruchem. Strach minął, normalni studenci i uczniowie ścierali się z milicją – i ja też. Minister spraw wewnętrznych Mieczysław Moczar wysłał na nas oddziały zomowców z Golędzinowa. Bili nas i nasze dziewczyny, więc nie mogliśmy tego tak zostawić. To wtedy pojawiło się pytanie: dlaczego milicjanci pod uniwersytetem mają białe pałki? Żeby studentom nie pobrudzić białych czapek.

Mnie pobili w bramie obok kościoła Świętego Krzyża, bo zaczaili się z dwóch stron i nie miałem szans. Ale moja zemsta była adekwatna do ich napaści. Gdyby mnie wtedy złapali za to, co zrobiłem jednemu z nich pod pomnikiem Kopernika, nie wyszedłbym z pierdla. Ale nie złapali. W bramie byli górą, na ulicy niosły mnie piłkarskie nogi. Mogli mi naskoczyć. Największy bój stoczyliśmy w rejonie ulicy Bednarskiej, pomnika Mickiewicza i kina Kultura, gdzie milicja miała sztab dowodzenia akcją przeciw studentom. Bruk z ulicy dobrze się wyrywał i niesieni emocjami trochę to kino bezsensownie zdemolowaliśmy. Oni walili do nas gazem i jakimiś świecami dymnymi, a my, z szalikami na twarzach, im to odrzucaliśmy. Jak kogoś złapali, sprawdzali najpierw, czy ma brudne ręce, bo te pojemniki z gazem zostawiały czarne ślady. Biada temu, kto je miał.

Wtedy byłem przedstawicielem „bananowej młodzieży" i „elementem antysocjalistycznym". Niemal pięćdziesiąt lat później, w lipcu 2017 roku, już jako „łotr", „kanalia" i „zdradziecka morda", z żoną, „ubecką wdową", za pieniądze Sorosa, w gronie kilku tysięcy podobnych elementów odbyliśmy cykl spacerów po Krakowskim Przedmieściu i Wiejskiej. Tam,

gdzie w roku 1968 i w tej samej sprawie. Mieliśmy w rękach białe róże, świece lub plansze z napisem: KONSTYTUCJA.

Marzec przegraliśmy, a ja okazałem się oportunistą. Koledzy z INP dali mi do zrozumienia, że dobrze by było, gdybym wstąpił w szeregi Związku Młodzieży Socjalistycznej. Zrobiłem to ze względów praktycznych, co nie najlepiej świadczyło o moim kośćcu. Okazało się, że ta tchórzliwa decyzja obróciła się przeciwko mnie. Nie wziąłem udziału w żadnym zebraniu, nie płaciłem składek, więc kolektyw umieścił moje nazwisko na tablicy, dając mi szansę rehabilitacji.

Grałem na czas, ale w końcu padłem ofiarą swojej muzykalności. Jeden z moich bliskich kolegów z tej „warszawskiej" grupy urządził prywatkę, na której pojawili się inni koledzy z roku, dotychczas do naszej kompanii niezapraszani. Bawiliśmy się po swojemu. Po piątej butelce wina Gellala tradycyjnie tańczyliśmy *Międzynarodówkę* i śpiewaliśmy ją ze zmienionym tekstem. Dodawaliśmy coś o „odznace zetemesu, która wpadła do sedesu". Tak było i tym razem, jednak nasza choreografia i poezja nie przypadły do gustu jednemu z nowych kolegów. W efekcie zostałem wydalony z organizacji młodzieżowej. To była słuszna decyzja egzekutywy, bo od marca 1968 przez kilka miesięcy bardzo szybko dorosłem.

Na tyle, żeby się zorientować, jakie ma intencje i jaką spółdzielnię reprezentuje bardzo miły kolega z Kielc, namawiający mnie, bym dzielił się z nim uwagami o nastrojach wśród studentów naszego roku, którzy mieszkają w stolicy i nie uczestniczą w życiu towarzyskim akademików.

Armia też o mnie walczyła. Na czwartym roku przyjeżdżali do nas przedstawiciele Wojska Polskiego z Rembertowa, namawiając do podjęcia pracy w Akademii Sztabu Generalnego. MSW i MON miały dla studentów spoza Warszawy bardzo atrakcyjne propozycje i trudno się dziwić, że wielu z nich skorzystało. Mieszkanie, dobra pensja i stolica. Gdybym wtedy poszedł do Rembertowa, dziś byłbym generałem w stanie spoczynku. Albo nie wiem kim. Może nikim. Karol z naszego roku INP skorzystał z oferty i w stanie wojennym w mundurze kapitana LWP czytał Dziennik Telewizyjny.

Wojsko to osobny temat. Żaden normalny chłopak ceniący sobie wolność nie chciał dać się obuć w kamasze. Aby tego uniknąć, różnych sposobów się imano. Wśród rówieśników z Falenicy popularną metodą było połykanie waty umoczonej w atramencie. Prześwietlenie pokazywało ciemne plamy w organizmie, mogące być objawami poważniejszej choroby. Nawet odroczenie było korzyścią, bo mieliśmy rok na wymyślenie czegoś innego, choćby choroby psychicznej (falenicka wersja *Paragrafu 22*). Zdzisiek na przykład tak sugestywnie zaatakował lekarza, który badał go podczas komisji wojskowej, że przyznano mu kategorię D i zamknięto go w szpitalu dla obłąkanych. Mimo że był mądrzejszy i zdrowszy od całego personelu medycznego tej placówki.

Jako czynny piłkarz nie miałem szans na kategorię inną niż A. Zresztą i tak wiedziałem, że jeśli dostanę się na studia, to nie pójdę do wojska. A wojsko na studiach to przeżycia same w sobie. Faktem jest, że legendarnych z rozmaitych powodów wykładowców – oficerów Studium Wojskowego UW na rogu Czerniakowskiej i Szwoleżerów – pamięta się lepiej niż niejednego prawdziwego profesora zwyczajnego z Krakowskiego Przedmieścia.

Po latach studenckie wojsko jest już tylko przedmiotem żartów, ale kiedyś nie zawsze było śmiesznie. Tak jak w sierpniu 1968 roku na obozie w Morągu (JW 4276). To był pierwszy obóz po marcu, w Studium Wojskowym już zaczęły się czystki i kilku oficerów zamieniło LWP Wojciecha Jaruzelskiego na armię Mosze Dajana. Dopiero po ich odejściu dowiedziałem się, jakiej byli narodowości.

Dla mnie to nie miało znaczenia, ale na moim roku było sporo tropicieli żydowskich śladów i wyznawców teorii o zgubnym wpływie żydostwa na losy świata. Miałem kolegę, który robił innym kurs, jak rozpoznać Żyda nie tylko po nosie, ale też karku, rozstawieniu oczu, odległości nosa od ust, uszach, a nawet po opuszkach palców. Miał wielu słuchaczy, samych wszechpolaków. Gdyby studiowali przed wojną, byliby organizatorami getta ławkowego.

Dramat polskich Żydów trafił odłamkiem w nasz dom. Ważne miejsce na liście dziewczyn mojego kochliwego brata zajmowała Elżbieta. Była śliczna, przypominała Elżbietę Czyżewską, sam się w niej kochałem, a ona lubiła mnie, jak lubi się młodszego brata swojego chłopaka. W 1962 roku z festiwalu piosenki w Sopocie przysłała mi pocztówkę z autografami między innymi Sławy Przybylskiej, Czeszki Hany Hegerovej, Esther Reichstadt, piosenkarki z Izraela, i mojej ulubienicy Heleny Majdaniec. Mam tę pocztówkę do dziś.

Janek nosił zdjęcie Elżbiety w indeksie. Podczas jednego z egzaminów, który niezbyt mu się udał, profesor żydowskiego pochodzenia otworzył indeks na zdjęciu i powiedział: „Miałem panu postawić trójkę, ale za dobry gust ma pan czwórkę". Tak więc Janek dostał dobrą ocenę za piękne brązowe oczy, i to nieswoje.

Po marcu 1968 roku Ela zniknęła. Wyjechała do swoich krewnych w Hamburgu czy Ameryce i już się nie odezwała. A może tylko Janek nie chciał o tym mówić.

Letni obóz w Morągu odbywał się więc w okresie szczególnym. Początkowo dwie kompanie studentów z Uniwersytetu Warszawskiego, Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Akademii Sztuk Pięknych korzystały z pięknej pogody i wymyślały różne sposoby, żeby nie dać się ogłupić. To była przyszła elita prawników, profesorów, dziennikarzy, aktorów, polityków, dyplomatów, artystów. Obecni wśród nas kibice bardziej niż sytuacją polityczną przejęli się podaną w radiu informacją o poważnej kontuzji Jacka Gmocha w meczu „Kadry" z „Expressem Wieczornym" na stadionie Legii. Kończył się Gmoch piłkarz, zaczynał Gmoch trener. Jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, co to może oznaczać.

Ale to się szybko zmieniło, bo były ważniejsze sprawy. *Hey Jude* zostało zastąpione w radiu przez grupę skifflową No To Co, ulubioną kapelę Władysława Gomułki. „A ja mam dziewczynę po słowackiej stronie" Agnieszki Osieckiej i Tadeusza Woźniaka nabrało wówczas nowego znaczenia.

Osiemnastego sierpnia złożyliśmy przysięgę, trzy dni później wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji, a nam wydano broń

automatyczną AK 47, czyli kałasznikowy z pełnymi magazynkami. Nad koszarami wciąż przelatywały samoloty, a my nie mieliśmy pewności, czy któryś z nich nie wyląduje na lotnisku polowym, żeby zabrać nas na front gdzieś w okolicach Václavského Náměstí.

Ten obóz był odzwierciedleniem tego, co się wtedy działo w kraju. Z jednej strony normalne życie studentów, którym kazano włożyć mundury – pojechaliśmy latem na Mazury, tyle że nie na wakacje. Z drugiej – żarty, nie z tych mundurów z guzikami na zapałki, ale z sytuacji. Nie mogliśmy nawet podwijać rękawów i nosić okularów przeciwsłonecznych, bo reakcja dowódców była zawsze taka sama: „Wy jesteście Wojsko Polskie, a nie jakieś, kurwa, marinesy czy izraelska soldateska".

Kiedy po przysiędze mogliśmy wreszcie wyjść z koszar, co łączyło się z wypiciem całego zapasu wódki, wina i piwa, jakie były w Morągu, wiadomo, że nie każdy był w stanie to wytrzymać. Jeden z kolegów zdjął czapkę i zaczął nią czyścić buty. Następnego dnia na porannym apelu stanął przed frontem połączonych kompanii i odpowiadał za zniewagę nie tylko munduru, ale i polskiego orła na czapce.

Oczywiście zarzut był słuszny, ale nie uwzględniono okoliczności łagodzących, czyli nadmiernego spożycia alkoholu. Zrobiono z kolegi żydowskiego zdrajcę i gdyby można było, toby go natychmiast rozstrzelano. Jego postępek, niewątpliwie naganny, stał się okazją do pokazania żołnierzom prawdziwego stosunku Żydów do Polski.

Nawet nie wiem, czy kolega był Żydem, ale to nie miało znaczenia. Ponad wszelką wątpliwość podczas tego apelu był jeszcze pijany i mogło do niego nie docierać, jaką rolę nieświadomie odgrywa. Podkablował go ktoś taki, jak mnie za sprofanowanie *Międzynarodówki*. Szczęśliwie nie przeżywałem stalinowskich zebrań, wieców i składanej publicznie samokrytyki, ale między nimi a tym, co widziałem, musiało istnieć wiele podobieństw.

Żołnierskie życie składało się z wykładów, ćwiczeń na poligonie, „nauki własnej" i sportu. Niezależnie od strachu musieliśmy się przecież jakoś

rozerwać. Akurat powstała piosenka *Przyjedź mamo na przysięgę*, więc przerobiliśmy ją, dodając własne słowa: „Przyjedź, mamo, na przysięgę, zaproszenie wysłał szef, granat mi urwał prawą rękę – przyjedź, zobacz, twoja krew. Mundur na mnie jak ulany, rękaw już zaprasowany, czy wierzyłaś, czy marzyłaś o tym w snach?".

Wszyscy się integrowali, z wyjątkiem paru osób, wśród których był Andrzej Jaroszewicz. Miał oficerski pas i poczucie wyższości. Na przysięgę śmigłowcem z Warszawy przyleciał jego tatuś, przyszły premier, generał Piotr Jaroszewicz, w towarzystwie rektora Uniwersytetu Warszawskiego, Stanisława Turskiego. Powtarzaliśmy słowa roty, stojąc przed nimi na placu apelowym. Kiedy miało paść zdanie o wierności Związkowi Radzieckiemu, połowa studentów zamilkła. Po uroczystej defiladzie podchorążych śmigłowiec z gośćmi i synem odleciał do Warszawy, ale wieczorem przywiózł go z powrotem. My przez ten czas piliśmy w Morągu.

Po trzech tygodniach w zamknięciu to był imperatyw, który jednak nie u wszystkich się ukształtował. Było w kompanii prawa dwóch takich braci bliźniaków. Podobnie jak młody Jaroszewicz trzymali się zawsze na uboczu, chociaż pewnie z innych powodów. Być może chcieli wtopić się w szarość, żeby przeżyć. Nie pili i nie grali w piłkę. Kiedy rozmawialiśmy o pełnej wdzięków „Jadźce z czołgowiska", która przyszła z koleżankami pod mury koszar, i wypadało wyjść im naprzeciw, oni nie tylko nie wychodzili, ale oblewali się rumieńcem. Nie mieli poczucia humoru i rzadko się uśmiechali.

Nie mieli też łatwego życia, co ja akurat doskonale rozumiałem. Jako najniżsi w kompanii zajmowali miejsca w ostatniej czwórce. Podobnie jak ja w swojej kompanii. Takich jak my, chłopaków o wzroście sto sześćdziesiąt osiem do sto sześćdziesiąt dziewięć centymetrów, nazywano „taboretami". Trzeba było wyciągać nogi, żeby nadążyć za dryblasami w awangardzie. Ja, piłkarz i reprezentant UW w biegach średniodystansowych, nie miałem z tym problemów ani kompleksów na tym tle. Ale w kompanii prawa pierwszą czwórkę tworzyły chłopaki o wzroście prawie dwa metry każdy: Andrzej Rzepliński, Marek Safjan, Bogusław Wołoszański i Janusz Atlas. Dogonić ich nie było łatwo, a ci z ostatniej czwórki musieli z tym żyć.

Jeden z tych braci miał na imię Leszek, a drugi Jarek. Pierwszy został prezydentem, a drugi premierem.

Skończyłem studia w stopniu starszego kaprala podchorążego, ze zdanym egzaminem na oficera. To było ważne, bo gdyby Polskę zaatakowały wojska NATO, poprzedzone akcją dywersyjną przebranych za kobiety Michnika, Kuronia i Modzelewskiego, dostałbym awans na porucznika.

Mogłem awansować inną drogą, ale się nie udało. Trzy lata po studiach otrzymałem wezwanie do Rejonowej Komendy Uzupełnień przy ulicy Szwedzkiej.

– Siadajcie, towarzyszu – zaprosił mnie oficer w stopniu majora. – Pojedziecie do Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Będziecie tam wykładowcą jako magister nauk politycznych. Po trzech miesiącach zostaniecie awansowani na oficera Ludowego Wojska Polskiego, a potem może będziecie chcieli u nas zostać. Ha, ha.

Brzmiało to jak rozkaz, więc jedyne, co mogłem zmienić, to termin wyjazdu. Zbliżał się dzień mojego ślubu, przekonałem majora, że to jest dość ważne wydarzenie i że bezpieczeństwo państwa od mojej obecności na własnym ślubie nie ucierpi.

– Oczywiście, towarzyszu. Ja też jestem żonaty. Wam nie radzę, ale to wasza sprawa. Pojedziecie po ślubie. Ha, ha. Teraz uzupełnimy kartotekę. Żonaci jesteście?

– Właśnie mówiłem, że dopiero będę.

– Ja was, towarzyszu, nie pytam, co będzie, tylko co jest. A może byliście i chcecie to przed nami ukryć jako bigaman? Ha, ha.

– Niech mnie Bóg broni.

– Wy, towarzyszu, Boga w to nie mieszajcie. Bóg w wojsku nie służy. A zresztą Boga nie ma. Widzieliście go? Czołg mogliście widzieć, ale Boga nie. No, sami widzicie. Podajcie obecny adres, miejsce pracy, języki jakieś pewnie znacie, to nazwijcie ich jakoś. Ha, ha.

Trochę to trwało, major był tak uprzejmy, że w odpowiednie rubryki sporych rozmiarów kartonu w tekturowej teczce sam wpisywał podawane przeze mnie dane.

– Przynależność organizacyjna towarzysza, piszemy PZPR – stwierdził, jakby to była oczywista oczywistość.

– Nie, bo ja nie należę do partii – poinformowałem go z nieukrywaną satysfakcją.

– Jak to?! Towarzysz nie należy do partii!? To my nie potrzebujemy takich towarzyszy!!!

I z trzaskiem zamknął moją teczkę personalną.

Od tamtej pory miałem święty spokój. Wojsko już się mną nie interesowało, a kiedy przestało być Ludowym, ja już zestarzałem się na tyle, że nie zostałbym zmobilizowany, nawet gdyby wybuchła wojna o Międzymorze. Był to jeden z niewielu przypadków, w których nienależenie do partii wyszło w PRL-u komuś na korzyść.

Pół wieku później Michnik i Modzelewski straszą nadal. Kuroń miał szczęście. A w Jednostce Wojskowej 4276 w Morągu trenują dziś żołnierze armii amerykańskiej.

ROZDZIAŁ XII

WIELKI ŚWIAT

Rozmawiałem z wieloma zasłużonymi ludźmi, którym później wystawiono pomniki albo którzy mają teraz ulice, szkoły i stadiony swojego imienia. Ale pierwszym wielkim człowiekiem, który podał mi rękę, był kierownik schroniska na Ornaku. Dawniej starsi nie podawali ręki dzieciom, więc kiedy ma się trzynaście lat, a obcy człowiek na stanowisku traktuje cię poważnie – to się pamięta. Kierownik schroniska na Ornaku to był ktoś. A do tego chwilę wcześniej podawał tę samą rękę Melchiorowi Wańkowiczowi. Pisarz miał wtedy siedemdziesiąt lat, ale wraz z żoną dotarł na Ornak pieszo – Doliną Kościeliską z Kir. Wracali już bryczką.

Znałem Wańkowicza z telewizji, zresztą obok była Teresa i szwagier Dobek, którzy wprowadzali mnie w świat nieco większy niż Falenica. W tamtym czasie wszędzie nosiłem ze sobą notes, w którym zbierałem autografy sportowców. Kiedy jednak trafił się ktoś taki jak Wańkowicz w Tatrach czy Charles Aznavour na Rynku Starego Miasta, to z rozpędu brałem i ich. Pół wieku później uczyłem studentów w Wyższej Szkole Dziennikarskiej imienia Melchiora Wańkowicza, ale nie zaliczam tego do sukcesów. Studenci chyba też nie. Szkoła zresztą padła, ale nie z mojego powodu.

Miałem kilka takich notesów z autografami najlepszych polskich sportowców lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oraz tych, którzy przyjeżdżali do nas na mecze z zagranicy. Plejada mistrzów olimpijskich, świata, rekordzistów. Większość notesów poginęła. Został mi tylko jeden, a w nim podpisy amerykańskich lekkoatletów, mistrzów olimpijskich z Tokio, piłkarzy reprezentacji Polski, Czechosłowacji i Włoch, Stanisławy Walasiewicz oraz biegacza Włodzimierza Kuca, o którym mówiono, że się nie męczy, bo to człowiek radziecki.

Wiedziałem, jakie wino pasuje do dania, i odróżniałem smak whisky szkockiej od bourbona. A wszystko w czasach, w których ślimaków w sklepach nie było.

Zbieranie autografów stało się początkiem pasji kolekcjonerskich. Co ja mogłem mieć własnego w skromnym domu? Podpisy sławnych ludzi nic nie kosztowały. Pisałem listy do klubów na całym świecie, prosiłem o zdjęcia drużyn oraz znaczki i, o dziwo, nie tylko ktoś te prośby w koślawym angielskim zrozumiał, ale też zadość im uczynił. Otrzymywałem odznaki z Bayernu Monachium, Independiente Buenos Aires. Ford Motor Company wziął mnie najwyraźniej za kogoś poważnego, bo przysłał mi z Detroit katalog nowych aut na rok 1965, ze zdjęciem czerwonego mustanga włącznie.

Chelsea zaproponowała mi nawet członkostwo w swoim klubie kibica, z czego nie mogłem skorzystać, bo nie miałem dwóch szylingów na opłaty,

a gdybym nawet miał, nie wiedziałbym, jaką drogą wysłać je do Londynu. A szkoda, bo gdyby wtedy się powiodło, dziś miałbym już ponad pięćdziesięcioletni staż. W sumie to może i lepiej, bo wtedy Chelsea lubiłem, a teraz już nie, bo mi się jej właściciel nie podoba.

Poważnie potraktował mnie Celtic. W roku 1967 po zdobyciu Pucharu Mistrzów przysłał mi piękne zdjęcie drużyny z autografami wszystkich zawodników. Wisi u mnie na ścianie, oprawione w ramkę.

Łącznikiem z wielkim światem, z którego wiadomości łaknęliśmy, był lubiany listonosz, pan Zygmunt. Jeśli zatrzymywał swój pancerny rower marki Ukraina obok naszej furtki i szedł do nas z ciężką skórzaną torbą, serce podskakiwało nam do gardła. Złych listów nie przynosił. Był dostarczycielem spełnionych marzeń.

Kiedyś przyniósł sąsiadowi polecony, ale gdy okazało się, że jest to wezwanie z sądu, powiedział roztrzęsionemu adresatowi:

– Panie Jurku. Odnoszę wrażenie, że nie zastałem pana w domu.

Po pracy pan Zygmunt lubił zaparkować rower przy ścianie Świerkowej, gdzie przy kuflu piwa warszawskiego odreagowywał doręczanie smutnych przesyłek. Po wyjściu pana Zygmunta z restauracji rower, jako dodatkowe oparcie, pomagał mu dotrzeć do domu. Nazajutrz nasz listonosz jechał normalnie do pracy, bo w latach sześćdziesiątych prawdziwi mężczyźni nie mieli kaca. Nigdy nie zgubił żadnego listu, nigdy nikt mu tego roweru nie ukradł.

Te pierwsze zbiory po latach rozrosły się w piłkarskie kolekcje, które pokazuję w muzeach i na wystawach. Biegając wtedy z notesem, jeszcze nie wiedziałem, że przygotowuję się do zawodu dziennikarza sportowego. Krótko tkwiłem w przekonaniu, że dziennikarz sportowy to ktoś taki, kto zna na pamięć wszystkie wyniki meczów i rekordy świata. To się zmieniło, od kiedy usłyszałem w radiu Bohdana Tomaszewskiego. Jego opowieści o sporcie, o zmaganiach zawodników nie tylko z przeciwnikami, ale i z własnymi słabościami sprawiły, że zacząłem patrzeć na mecze inaczej. A gra w Hutniku od klasy C do A na wyliniałych boiskach Warszawy i Mazowsza mi w tym pomogła.

Z Jankiem chodziliśmy na Legię, tym bardziej że sam tam grał, i na Stadion Dziesięciolecia. Wkrótce towarzystwo brata przestało mi być potrzebne. Mama mnie puszczała samego, bo było bezpiecznie. W dodatku przystanek końcowy autobusu 146 (zastąpił 113) znajdował się przy rondzie Waszyngtona, więc podróż na Stadion Dziesięciolecia była prosta, od pętli do pętli. Do Hali Gwardii jeździło się na koszykówkę i turniej szermierczy „O Szablę Wołodyjowskiego". Tam można było nie tylko otrzeć się o najlepszych szablistów świata, ale i zobaczyć z bliska znane aktorki dopingujące swoich mężów. Alina Janowska wspierała Wojciecha Zabłockiego, a Teresa Szmigielówna Jerzego Pawłowskiego. Kiedy na mecz z Legią przyjechali koszykarze Realu, stałem w odległości metra od Santiago Bernabéu.

Rzadko kupowałem bilety. Miałem opanowane trasy i metody wejścia, tak aby nie płacić. Na Łazienkowskiej przeskakiwało się przez płot od strony Kanału Piaseczyńskiego lub bocznego boiska. Raz tylko mnie złapali, więc za karę musiałem zamieść żołnierską wartownię przy głównej bramie Legii. Ale zaraz potem wpuścili mnie na mecz.

Na Stadionie Dziesięciolecia sprawdzała się metoda „na liczydło". Czekaliśmy z Jankiem na wchodzącą wycieczkę szkolną i szybko ustawialiśmy się w przedostatniej parze. W przejściu machinalnie liczono pary, klepiąc chłopaków po ramionach i nie patrząc im w oczy: dwa, cztery… szesnaście. Było o dwóch za dużo, więc kiedy ostatnia para zostawała, my byliśmy już daleko na trybunach. Oczywiście podnosił się płacz, tych dwóch ostatnich nieszczęśników wpuszczano i wszyscy byli zadowoleni.

Najczęściej wchodziłem jednak na stadiony dzięki życzliwości starszych. W tamtych latach pod stadionowymi bramami zawsze gromadziły się grupki niewysokich i niewyszukanie ubranych chłopców. Byłem jednym z nich. Wybieraliśmy poważnie wyglądających panów wchodzących na mecz, aby zwrócić się do nich z prośbą:

– Proszę pana, mogę wejść z panem?

Nikt nie odmawiał, a bileterzy też wykazywali zrozumienie.

– Ten mały ze mną – mówili panowie, chcąc podkreślić swoje niepisane prawo i pozycję właściciela biletu. Drewniane ławki na trybunach były pojemne.

Kiedy już zostałem dziennikarzem i miałem kartę wolnego wstępu na wszystkie polskie stadiony, przez kilkanaście lat spłacałem ten dług. Też zabierałem na mecze takich na oko biedniejszych chłopaczków, widząc w nich siebie w dzieciństwie. Aż któregoś dnia to się skończyło, bo na stadiony wkroczył kapitalizm. Ławki zastąpiły foteliki i każdy z nich, bez względu na to, kto na nim siadał, miał swoją cenę.

Nasz wielki świat był malutki, nie mieściło się nam w głowach, w jaki sposób głos redaktora Bohdana Tomaszewskiego dociera do nas z Australii w tym samym czasie, kiedy Elżbieta Duńska-Krzesińska skacze w dal po złoty medal olimpijski. W dodatku w Melbourne rosły palmy i świeciło słońce, a u nas zacinał listopadowy deszcz.

To wszystko sobie wyobrażaliśmy. Ale gdy zobaczyliśmy w telewizji powrót Jurija Gagarina z kosmosu, a oglądaliśmy to z całą klasą w domu Staszka Dubiela na osiedlu, bo tylko on miał telewizor, to już nie była wyobraźnia. Telewizja przeniosła nas w inne rejestry świadomości.

Dopóki jednak nie mogliśmy tego świata za szybą dotknąć, pozostawały namiastki. Jako uczeń podstawówki wielokrotnie jeździłem do Warszawy, aby przejechać się schodami ruchomymi w Centralnym Domu Towarowym i przejść szlakiem biur linii lotniczych. Od Pan American przy Ambasadzie Stanów Zjednoczonych na ulicy Kościelnej przez hotele Bristol i Europejski, Grand Hotel przy Kruczej, gdzie mieściły się biura TWA, SAS-u, Sabeny, aż po Air France na rogu Kruczej i Hożej oraz KLM-u na placu Konstytucji. Prosiłem o „prospekty", więc dawano mi czasami jakieś foldery reklamowe z kolorowymi zdjęciami, a zawsze dostawałem rozkłady lotów, z których i tak nie mogłem skorzystać.

To były czasy płaszczy ortalionowych (przemycanych zresztą do Polski przez sportowców), szpanowania nalepkami z nazwami hoteli na walizkach i niedużych toreb podróżnych obowiązkowo z nazwą i logo linii

lotniczej. Ten, kto miał coś takiego, stawał się człowiekiem lepszej kategorii. Bodaj w roku 1968 lub 1969, kiedy japońska firma Sanyo zorganizowała w Pałacu Kultury wystawę swojego sprzętu elektronicznego, poszło na nią tysiące warszawiaków. Nie po miniaturowe magnetofony, na które i tak mało kogo było stać, ale po rozdawane bezpłatnie plastikowe torby z logo firmy. Można w nie było zapakować podrabiane chińskie adidasy z jarmarku Europa na Stadionie Dziesięciolecia. Ale to już pod koniec wieku.

To było typowe dla Polski przez kilkadziesiąt lat. Musieliśmy się zadowalać surogatem, bo nie stać nas było na oryginał. Takie torby sprzedaje się do dziś, nie tylko w przejściach podziemnych stolicy. Do niedawna na Okęcie wożono wycieczki dzieci, nie tylko z prowincji, żeby mogły sobie popatrzeć, jak ludzie odlatują w świat. A za lepszą granicą latały także dzieci.

Od Elżbiety, dziewczyny Janka, dostałem kiedyś wielki kalendarz na ścianę linii Pan American. Każdy miesiąc ilustrowało inne zdjęcie zrobione w jakimś słynnym miejscu na świecie. Przy grudniu był most Golden Gate w San Francisco. Człowiek oglądał je wszystkie bez większych emocji, wiedząc, że dla nas, chłopaków z Falenicy, są nieosiągalne.

Kiedy w latach 1958, 1961 i 1963 na Stadionie Dziesięciolecia odbywały się mecze lekkoatletyczne ze Stanami Zjednoczonymi, trybuny zapełniało sto tysięcy ludzi. Przychodziliśmy oglądać nie tylko mistrzów olimpijskich i rekordzistów świata, ale żywych Amerykanów. Dotąd widzieliśmy ich tylko w kinie. Jeśli pojawiali się w Polskiej Kronice Filmowej, to zwykle z jakimś prześmiewczym komentarzem lub informacją o biciu Murzynów.

O walkach o tytuł mistrza świata w boksie pomiędzy Floydem Pattersonem a Ingemarem Johanssonem lub Sonnym Listonem mogliśmy tylko czytać w „Expressie Wieczornym". W Polsce była jedna telewizja i ich nie pokazywała. Jeśli czegoś nie widać, to człowiek musi sobie wyobrażać.

Amerykańscy lekkoatleci byli krótko ostrzyżeni, miewali w rękach butelki coca-coli, o której wiedzieliśmy, że jest trująca, i żuli gumę, co szczególnie nas stresowało. Guma w sklepach cukierniczych się zdarzała,

ale prawdziwą kupowało się na „ciuchach" przy ulicy Lubelskiej, nieopodal Dworca Wschodniego, lub na bazarze Różyckiego.

Pasek miętowej lub pomarańczowej wrigley's kosztował niemało i należało go oszczędzać. Ale jak oszczędzać gumę do żucia? Tylko poprzez wielokrotne żucie. Taki pasek musiał więc nam starczyć na miesiąc wakacji. Rano trzeba było sobie tylko przypomnieć, gdzie gumę przykleiliśmy wieczorem: pod blatem stołu, do umywalki czy w trampku, jeśli mieszkaliśmy w namiocie. Amerykanie wypluwali gumę po kilku minutach, nim straciła smak, co stanowiło dla nas sygnał, że w obliczu takiego marnotrawstwa kapitalizm musi runąć.

Biali i Murzyni (nikt wtedy nie mówił: Afroamerykanie) byli weseli, bardzo mili, rozdawali autografy i znaczki. Jakaś czarnoskóra kulomiotka zaprosiła mnie nawet do swojego pokoju w Hotelu Europejskim, aby wręczyć mi emblemat z napisem USA AAU, który miała przypięty do dresu. Ralph Boston, mistrz olimpijski w skoku w dal, zaskoczył mnie jeszcze bardziej. Ponieważ nie miał znaczka, to dał mi ćwierć dolara. Wziąłem, zakładając, że był to dar serca, a nie jałmużna dla białego dziecka z komunistycznego kraju.

Nawiasem mówiąc, najtańsze oryginalne dżinsy w Peweksie, rifle, kosztowały wtedy siedem dolarów. Nie było mnie na nie stać jeszcze przez kilka lat. A kiedy już je kupiłem, tydzień później ukradli mi je w Bułgarii rodacy pracujący jako kelnerzy, podobnie jak ja. Podczas imprezy integracyjnej w hotelu robotniczym Strandża w Słonecznym Brzegu pochopnie zatańczyłem do *Cała jesteś w skowronkach*, a oni w tym czasie wyciągnęli mi spodnie z szafy. Do Polski wracałem w czarnych, służbowych, w których podawałem gościom kebabczeta w restauracji Harpun.

Nasze kontakty z wielkim światem nawiązywaliśmy początkowo za pośrednictwem kogoś, kto już tam był. Janek mówił, że na harcerskim obozie narciarskim w Beskidach poznał instruktora z Krakowa, który pokazywał swoje zdjęcie z Tonim Sailerem, zrobione w Alpach. To się w głowie nie mieściło. Na igrzyskach w Cortina d'Ampezzo Sailer zdobył

trzy złote medale olimpijskie w narciarstwie alpejskim i był jednym z najpopularniejszych sportowców na świecie. Ktoś taki stanąłby do wspólnej fotografii? I to jeszcze z nieznanym sobie Polakiem?

Ojciec mojej dziewczyny, pan Czesław A., pracował jako *maître d'hôtel* w Bristolu, Europejskim, potem Victorii, i organizował gastronomię w Forum. Pelé, który z drużyną FC Santos mieszkał w roku 1960 w Bristolu, w podziękowaniu za smaczne polskie jedzenie dał „teściowi" znaczek klubowy w kształcie rybki. Od menedżera zespołu Blood, Sweat & Tears (najlepsza sekcja instrumentów dętych) dostał płytę z *You've Made Me So Very Happy*. Oczywiście i znaczek, i płyta są u mnie.

Pan Czesław był krajowym specjalistą w dziedzinie serwisów, nauczycielem kilku pokoleń kelnerów i kierowników sal. Lubił przekazywać swoją wiedzę, a ja lubiłem słuchać. I chociaż stosunkowo późno nauczyłem się jeść nożem i widelcem, wkrótce rozpoznawałem wszystkie możliwe sztućce, ze szczypcami i widelczykiem do ślimaków włącznie. Wiedziałem, jakie wino pasuje do dania, i odróżniałem smak whisky szkockiej od bourbona. A wszystko w czasach, w których ślimaków w sklepach nie było, na sklepowych półkach przeważały wina słodkie, a szkocką widzieliśmy tylko w kinie i myśleliśmy, że najlepszą whisky świata jest czerwony Johnnie Walker.

Było w tej nauce coś z poznawania języków. Czy warto – myślałem – skoro zamknięci między Bugiem a Odrą nigdy z tej wiedzy nie skorzystamy? Ale skorzystaliśmy. Nie raz mi się przydała, a zdarzało się na ekskluzywnych przyjęciach za granicą, że bogaci gospodarze lub goście z innych krajów wiedzieli o zasadach rządzących stołem mniej ode mnie. Dobrze to wpływało na samopoczucie i pozwalało pozbyć się kompleksów (no, może z wyjątkiem tego pierwszego spotkania z krewetkami).

Szkołą w tej dziedzinie była też wakacyjna praca kelnera w Słonecznym Brzegu. Obsługiwałem grupy Polaków z wycieczek Orbisu, a więc gości z pieniędzmi. Nie odzywałem się po polsku, żeby posłuchać, co mówią. Zwracali się do mnie w trzeciej osobie i niebezpośrednio (powiedz mu,

niech poda), ale to jeszcze nic. Raczej nie cenili pracy kelnera. Zdziwili się, kiedy w ostatnim dniu ich pobytu przemówiłem czystą polszczyzną:

– Państwo pozwolą, że się przedstawię. Jestem studentem Uniwersytetu Warszawskiego. Przyjechałem tu do pracy. To dla mnie zaszczyt, że przez dwa tygodnie mogłem państwu służyć swoją pomocą.

Na sali zrobiło się cicho. I żadnej reakcji. O to mi chodziło i przez chwilę upajałem się tą satysfakcją. Tego samego dnia, czyli 20 lipca 1969 roku, Amerykanie wylądowali na Księżycu, a telewizja bułgarska podała tę wiadomość w serwisie sportowym. To dopiero było przeżycie.

Naprawdę miło było mi dlatego, że w tej orbisowskiej grupie kulturą wyróżniało się małżeństwo aktorów: Małgorzata Lorentowicz i Tadeusz Janczar. Tą znajomością przebiłem Janka, który poproszony przez kogoś na uczelni, miał przekazać list wielkiemu aktorowi Jackowi Woszczerowiczowi. Aktor przyjął go w drzwiach prywatnego mieszkania, a rozmowa wyglądała mniej więcej tak, jak Antoniego Słonimskiego z Bolesławem Prusem. Pisarz przyszedł kiedyś do domu Słonimskich, aby oddać pożyczoną książkę. Ale gospodarza nie zastał, więc powiedział młodemu Antoniemu:

– Niech kawaler odda to panu doktorowi.

I wyszedł. Z Jankiem i Woszczerowiczem było podobnie, z tym że Janek nawet nie wszedł.

Ja miałem więcej szczęścia, bo w kawiarni naprzeciwko Grand Hotelu spotkałem kiedyś Kazimierza Rudzkiego. Siedzieliśmy przy barze blisko siebie i kiedy wyjąłem studencki skrypt, żeby położyć go na ladzie, aktor powiedział:

– Niech pan uważa. Tam jest brudno po lodach.

– Dziękuję – odpowiedziałem.

Była to więc rozmowa, a nie monolog.

Monologiem był natomiast mój występ w Teatrze Polskiego Radia. Zaangażował mnie reżyser Janusz Zaorski, abym w sztuce Janusza Głowackiego *Mecz* wygłosił kwestię jako działacz klubowy:

– Panie prezesie, to był ten karny czy go nie było?

Zdanie, jak widać, nie było zbyt skomplikowane, skoro pamiętam je po kilku latach. Zwracałem się z tym pytaniem do prezesa, którego grał Piotr Fronczewski. Niestety, w sztuce on je bagatelizuje, więc nie wiem, czy w swoim CV mogę napisać, że występowałem na scenie wspólnie z Fronczewskim. Tym bardziej że to jednak była scena niewidzialna, bo radiowa.

Doszło kiedyś do tego, że wielki pisarz powołał się na rozmowę ze mną, choć nie wymienił mego nazwiska. Miałem swoje stałe miejsce na stadionie Legii: trybuna górna D. Przez kilkanaście lat, zanim przeniosłem się na trybunę dziennikarską, siadałem tam w czwartym rzędzie od dołu. Sam lub z kolegami, przyjaciółmi, czasami z Wandą, żeby przekonać ją do swoich pasji, co przez grzeczność i z miłości do mnie zaakceptowała. Przed nami siadywała do pewnego czasu grupka trzech znanych kibiców: Gustaw Holoubek, Tadeusz Konwicki i Stanisław Dygat. Strzygli uszami, kiedy usłyszeli jakiś oryginalny tekst z naszych ust, a my, niby od niechcenia, prześcigaliśmy się, aby zwrócić ich uwagę. Czego sami nie wymyśliliśmy, cytowaliśmy za naszymi ulicznymi nauczycielami z Pragi.

Turniej na stadionie Polonii. W górnym rzędzie nasi trenerzy, od lewej: reprezentant Polski Stanisław Terlecki, Andrzej Strejlau, Ryszard Kulesza, sędziowie mundiali Alojzy Jarguz i Michał Listkiewicz, Kazimierz Górski oraz mistrz olimpijski Leszek Ćmikiewicz. W dolnym rzędzie kapitanowie drużyn, od lewej: Andrzej Strzelecki (aktorzy), ja (dziennikarze), premier Jan Krzysztof Bielecki (rząd) i niezapamiętany z nazwiska kapitan drużyny policji. Maj 1991.

Aż pewnego dnia przestali przychodzić. Po latach spytałem Tadeusza Konwickiego dlaczego.

– Wie pan – odpowiedział – przez kibiców. Za nami siedziała zawsze grupka młodych chłopców, chyba studentów. Byli inteligentni, dowcipni, ale czuliśmy, że bardziej koncentrują się na nas niż na meczu. I głośno się zachowywali. Uznaliśmy, że czasy się zmieniają i żeby mecz obejrzeć w spokoju, trzeba usiąść przed telewizorem.

– Jest mi bardzo przykro, że pan to mówi, bo w tej grupce byłem ja – powiedziałem.

– Domyślałem się tego – odpowiedział pisarz, a potem wykorzystał tę opowieść w jednym z nielicznych wywiadów, jakie udzielił. Ze mną

w kawiarni „Czytelnika” rozmawiał wielokrotnie, ale zawsze z zastrzeżeniem: nie do gazety. Zwłaszcza kiedy „Rzeczpospolita” była przez pewien czas biuletynem PiS-u.

Nawiasem mówiąc, obok mnie na trybunie Legii siadywali: jeden z najbardziej znanych dziś dziennikarzy i redaktor naczelny poważnego tygodnika, wiceminister spraw zagranicznych, znana w swoim czasie krytyczka muzyczna, autorka książki o Chopinie, oraz dziennikarz zagraniczny „Życia Warszawy”. Nikt z nas nie miał złych zamiarów. Mieliśmy tylko wtedy nieduże rozumy.

Najpierw studia, a potem praca w redakcjach sprawiły, że poznawałem coraz więcej znanych ludzi. To były na ogół bardzo miłe i ciekawe doświadczenia. Ale czy jest w ogóle coś takiego jak „wielki świat”? Dobrze czuję się zarówno w loży właściciela Legii na Łazienkowskiej lub w Loży Platynowej Stadionu Narodowego, jak i na drewnianej trybunce wiejskiego stadionu podczas meczu Ludowych Zespołów Sportowych. Może nawet na wsi lepiej, bo nie muszę się spinać i szpanować, jak niejeden sąsiad z loży, który chce się pokazać, więc trzaska telefonem zdjęcia i chwali się nimi na Facebooku. A jak go spytać, na jakim meczu był, to nie wie.

Gdy obserwuję w ostatnich latach życie parlamentarne i publiczne, przekonuję się dość często o tym, co przed laty jako student podejrzewałem, ale czego nie miałem odwagi wypowiedzieć: tytuły naukowe nie są lekarstwem na głupotę.

Mama, widząc moje sportowe i podróżnicze pasje, zasugerowała, że jeśli będę się dobrze uczył, to może zostanę działaczem. Jak nasz sąsiad, pan B., który jako działacz klubu Tramwajarz pojechał w delegację do czeskiej Pragi i NRD. Mnie to za bardzo nie ciągnęło. Wolałem grać, biegać i oglądać mecze, myśląc o tym, że stanę się kimś takim jak Bohdan Tomaszewski.

Na Stadionie Dziesięciolecia starałem się być blisko niego. Patrzyłem, jak się ubiera w angielskie tweedy, w jaki sposób mówi i jakich słów używa, jak się zachowuje i rozmawia z innymi dziennikarzami lub nieznajomymi

kibicami. Opowiadałem potem o tym mamie. A ona, w najlepszej wierze, ciesząc się moją radością, mówiła:

– Jeśli chcesz być taki jak pan Tomaszewski, to musisz się uczyć. A poza tym on się nie garbi.

Kiedy już pracowałem w redakcji, ale nie byłem jeszcze dziennikarzem, chodziłem do SDP-u na Foksal na szkolenia dla takich juniorów jak ja. Redaktor Tomaszewski mówił nam wtedy:

– Czytajcie książki, będziecie bogatsi.

Z czasem zmieniały się moje upodobania i bywało, że mój mistrz stawał się dla mnie anachroniczny lub nazbyt patetyczny. Ale po latach do niego wróciłem. Dziennikarstwo się zmieniło, stało się drapieżne i tylko on, ze swoim romantycznym podejściem do sportu, pozostawał taki sam. Zdarzało się, że dzwonił do mnie, żeby spytać o opinię w jakiejś sportowej sprawie. Bohdan Tomaszewski? Do mnie? To może znaczy, że jednak coś mi się w życiu spełniło. Ale chyba jeszcze bardziej to, że ja też ze swoimi poglądami nie pasuję do dzisiejszych czasów i Tomaszewski widział we mnie bratnią duszę.

Pierwszy raz pojechałem za granicę w wieku dwudziestu lat. Do Bułgarii, pociągiem Nord Orient Express, będącym socjalistyczną odpowiedzią na prawdziwy Orient Express. Z Dworca Głównego w Warszawie do Warny powinien jechać półtorej doby. W moim przypadku były to trzy, ponieważ rumuńscy kolejarze na stacji Episcopia Bihor nie dostali prawdopodobnie łapówki i pod pretekstem usterki wagonu odstawili go na bocznicę. Dobę później jechał następny pociąg z Warszawy, a jego załoga miała więcej doświadczenia w kontaktach z rumuńskimi kolegami, więc wagon okazał się sprawny.

Pierwszy raz leciałem samolotem, mając dwadzieścia pięć lat. Nie dość, że samolotem, to jeszcze na Zachód. W roku 1974, na mistrzostwa świata do Republiki Federalnej Niemiec. Jeszcze bez akredytacji, bo to były pierwsze miesiące mojej dziennikarskiej pracy, i w stresie. Jak zapina się pas w samolocie? Czy za jedzenie trzeba płacić? A jeśli tak, to w złotówkach czy dolarach? Przez kilka lat na pamiątkę lotów zabierało się z pokładu

maleńkie opakowania soli i pieprzu, a czasami (czy to przypadkiem nie była kradzież?) małe metalowe sztućce z wygrawerowaną nazwą linii lotniczej oraz tak zwaną torebkę lotniczą, jeśli wcześniej szczęśliwie się jej nie zapełniło. Później można w nią było zapakować drugie śniadanie.

Nauczony przez starszych kolegów zabrałem pięć butelek wódki. Zamiar spieniężenia ich pod Waldstadionem we Frankfurcie (przed słynnym meczem Polska – RFN na zalanym wodą boisku) powiódł się nadzwyczaj. Chciałem dostać za nie pięćdziesiąt marek, ale nie znałem języka i nieświadomie powiedziałem: sześćdziesiąt. Klient się nie zdziwił i zapłacił.

Kupiłem za to plastikową żółtą torbę na ramię z napisem Adidas oraz tenisówki tej firmy, które, mimo że były najtańsze w sklepie, w Warszawie wzbudzały zainteresowanie, a także litrową butelkę coca-coli. W Polsce sprzedawano tylko małe i to dopiero od dwóch lat. Dla mnie to był ten wielki świat, którego bramy ledwo uchylałem. Marzenia o ujrzeniu na własne oczy piłkarskiego stadionu bez bieżni, oglądanego dotąd tylko w telewizji (w Polsce takich nie było), zaczęły się ziszczać.

Po moście Golden Gate, który znałem z fotografii w kalendarzu linii Pan American, przejechałem i przeszedłem w obydwie strony. Od Presidio w stronę Sausalito i z powrotem. Wracając z doliny Napa samochodem, wstąpiłem na kampus uniwersytetu w Berkeley, żeby zobaczyć, gdzie wykładał Czesław Miłosz. A potem wróciłem do San Francisco przez most zbudowany przez Ralpha Modjeskiego, syna Heleny Modrzejewskiej.

Linie Pan American upadły. Hotele już nie mają nalepek na walizki, więc nie mogłem wziąć jednej na pamiątkę, kiedy w roku 2016, podczas Euro we Francji, dzięki hojnemu sponsorowi spędziłem noc w hotelu Carlton w Cannes. Wiele lat wcześniej zdobyłem nalepkę z tego hotelu i nie sądziłem, że kiedyś zobaczę go od środka. Ale tak to już ze mną jest. Czasami coś na mnie spada niespodziewanie. I są to zwykle dobre rzeczy.

Kiedy zmarł Bohdan Tomaszewski, jego żona poprosiła mnie, bym powiedział parę słów podczas pogrzebu na Powązkach – „Bo mąż na pewno by chciał". Znaczyło to dla mnie więcej niż ważne nagrody

dziennikarskie, choć okoliczności były smutne. Śmierć nauczyciela coś kończy też w życiu ucznia.

ROZDZIAŁ XIII

KINO

Kino Hutnik nie zapisało się w historii Falenicy. Mieściło się w budynku huty szkła, który stał się szatnią piłkarską klubu KS Hutnik. To był jakiś margines kinematografii, zarówno pod względem repertuaru, jak i frekwencji.

Co innego kino Szpak. Znajdowało się na ulicy Bysławskiej, przez ścianę sąsiadowało z ochotniczą strażą pożarną. Złożyło się tak raz, że na filmie *Zakazane piosenki* wyły syreny niemieckie, a za ścianą polskie, bo akurat zapalił się las za kościołem i bracia Santorkowie oraz pan Klewin szykowali się do wyjazdu na akcję. Wtedy pierwszy raz doświadczyłem zjawiska stereofonii.

Pierwszy film, jaki obejrzałem w całości i w pełni świadomie, jeśli tak można powiedzieć w przypadku mniej więcej ośmioletniego dziecka, nosił tytuł *Ostatnia walka Apacza*. Od tamtej pory byłem zawsze po stronie Indian, a western stał się moim ulubionym gatunkiem filmowym. Nie musiałem się specjalnie wysilać, żeby zrozumieć, że są dobrzy i źli, że dobro zawsze zwycięża, że samotny bohater zasługuje na szacunek i że warto walczyć choćby z bandą rzezimieszków, jeśli stoi się po stronie słabszych i jest się przekonanym do swoich racji. A jeśli nawet trzeba strzelać pod słońce, to nie wolno się nigdy poddawać.

Tego nauczyli mnie Burt Lancaster, Gary Cooper, James Stewart, Gregory Peck, Steve McQueen, John Wayne, Henry Fonda, Kirk Douglas, Yul Brynner, Marlon Brando, Robert Mitchum, Glenn Ford, Paul Newman, Robert Redford, a po latach Clint Eastwood – godny następca ich wszystkich. Był jeszcze bohater kultowego westernu *Jeździec znikąd* – Alan Ladd, czyli Shane. Humphrey Bogart to inna bajka. Gigant.

Dobrze ulokowałem uczucia i to się już nie zmieni. Każdy z nich był prawy, spokojny, nie ulegał emocjom, nie mówił za dużo, nie reagował na docinki, nie strzelał po zbójecku w plecy, a przy tym imponował szybkością, kiedy należało sprać bandziora po pysku lub wyjąć colta. Krótko mówiąc, bohaterowie westernów są wciąż moimi bohaterami. Po filmie *W samo południe* Janek wystrugał mi z sosnowej deski rewolwer, podobny do tego, jakim posługiwał się Gary Cooper. Po *Winchesterze '73* dostałem od brata drewnianą replikę strzelby Jamesa Stewarta. Naszymi preriami były łąki na Błotach i na Zatrzebiu. Nasze domy i ich okolice stanowiły plenery do zabaw w wojnę.

Po filmie *W samo południe* Janek wystrugał mi z sosnowej deski rewolwer, podobny do tego, jakim posługiwał się Gary Cooper.

– My sprzedajemy ołów – powiedział Steve McQueen do Calvery, herszta meksykańskiej bandy w *Siedmiu wspaniałych*. I to wystarczyło. Potem przemówiły colty i winchestery. Kiedy Clint Eastwood wchodził sam do baru pełnego złoczyńców (to już *Brudny Harry*) i mówił: „Jest nas trzech:

Smith, Wesson i ja", a po chwili podłoga zasłana była trupami, to już niczego więcej nie potrzebowałem.

Motyw zemsty jest mi szczególnie bliski, mimo że sam nie jestem mściwy i nawet wrogowi nie wbiłbym mizerykordii. Ale kiedy na ekranie robi to któryś z moich bohaterów, a ja rozpieram się w fotelu – jest mi przyjemnie i mam poczucie sprawiedliwości.

Wiąże się z tym pewna moja słabość, która pojawiła się już w starszym wieku. Kiedy tak sobie siedzę w domu przed telewizorem i patrzę, jak John, Clint czy Humphrey piją whisky, to ja sobie też szybko nalewam, żeby się napić z nimi. Z hołotą i czarnymi charakterami nie pijam.

Oczywiście między pojedynkami i załatwianiem porachunków było też miejsce na uczucia. Pierwsze łzy wyciskała ze mnie czysta miłość Mela Ferrera i Leslie Caron w filmie *Lili*, w rytm piosenki Bronisława Kapera. A kiedy potem Mel Ferrer, już jako książę Andrzej Bołkoński, cierpiał z powodu ran i miłości do Nataszy Rostowej, czyli Audrey Hepburn, wyłem razem z nim. Audrey Hepburn była moją pierwszą prawdziwą i długo jedyną miłością filmową. Do czasu pojawienia się Romy Schneider w filmach Claude'a Leloucha (to były tak zwane leluchy) i Claude'a Sauteta. Miałem oczywiście skoki w bok z Deborah Kerr, Ingrid Bergman, Julie Christie, Julie Andrews, Anouk Aimée... Typowe seksbomby nigdy mnie nie pociągały.

W Szpaku repertuar zmieniano raz w tygodniu. Od poniedziałku do czwartku puszczano jeden film, a od piątku do niedzieli następny. Nie mogłem się doczekać, chodziłem więc zwykle w poniedziałek, drugi raz na ten sam film w czwartek, potem w piątek na kolejny, a jak miałem pieniądze – to jeszcze raz w niedzielę. Tak przez kilkanaście lat, dzięki czemu kinematografię lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych miałem w małym palcu. Na niektórych filmach byłem po kilka razy i znałem je na pamięć. *Skarby króla Salomona* widziałem bodaj osiem razy. Potem ten rekord pobiło *Rio Bravo*.

Upodobania się jednak zmieniały. Od kiedy telewizja zaczęła pokazywać *Casablankę*, a jeszcze nie można było tego nagrać, rzucałem wszystko.

Scena, w której w barze Ricka Francuzi odśpiewują *Marsyliankę*, zagłuszając w ten sposób śpiew niemieckich oficerów, jest jedną z najlepszych i najbardziej wzruszających w historii kina.

Ciemna kinowa sala była dobrym miejscem do trzymania się za ręce, więc kiedy już w moim życiu pojawiła się Wanda, w ciągu kilku lat zwiedziliśmy wszystkie kina Warszawy. To już była wyższa kultura. Seans w Kinie Dobrych Filmów „Wiedza" w Pałacu Kultury rozpoczynał się zawsze od uwertury do opery Wolfganga Amadeusza Mozarta *Wesele Figara*. Potem można było zagwizdać *Parasolki z Cherbourga*.

Bilet do Szpaka kosztował trzy i pół złotego, były też chyba ulgowe. Kupowałem je za butelki zebrane w niedzielę i sprzedane w poniedziałek. Drugą opcją było przekonanie cioci Stasi, że grają wyjątkowy film, więc ona musi go zobaczyć, aby mieć co opowiadać sąsiadkom. Ciocia dobrze znała te numery, jednak godziła się na nie przez kilka lat. Ale kiedy już stałem się kawalerem, chodzenie do kina z ciotką nie wchodziło w rachubę. Musiałem dawać sobie radę sam.

Ponieważ kino było jedyną stałą rozrywką Falenicy, a sala jedynym miejscem, w którym mogło się zebrać ponad sto osób, w latach pięćdziesiątych organizowano tu akademie „ku czci". Przed seansami dla dorosłych, zwłaszcza tymi o godzinie dwudziestej, kino stawało się salonem. Kiedy grali *Przeminęło z wiatrem* lub *Nędzników*, nawet szpilki nie dało się wetknąć.

W czasie wielkiego postu frekwencja malała. Patrole żarliwych katoliczek bez makijażu, jeszcze nie w beretach, a chustkach skrywających upięte włosy, zbierały się pod kinem, żeby zanotować, kto szuka przyjemności, zamiast się umartwiać. Młodzież szkolna znajdowała się na pierwszej linii strzału. Informacja o tym, że ktoś poszedł do kina, a nie na wieczorną mszę, natychmiast trafiała do rodziców. W domu mamy zwracały nam na to uwagę lub nie. Ale nikt tego nie bagatelizował, żeby nie dać sobie przypiąć łatki bezbożnika. Falenica nie wybaczała.

O repertuarze kina informowały dwie gabloty znajdujące się na zewnątrz budynku. O seansach można też było przeczytać w „Expressie

Wieczornym" lub „Życiu Warszawy" w rubrykach *Repertuar kin*, co dodawało Falenicy uroku stołeczności, bo na alfabetycznej liście kin Szpak miał miejsce niedaleko Skarbu i Skarpy, a przed Wisłą. Na ścianach długiego, wąskiego holu wisiały fotosy gwiazd – elegancka dama Lucyna Winnicka i zjawiskowa eteryczna Teresa Tuszyńska oraz Wieńczysław Gliński. Z zagranicznych gwiazd: Sophia Loren, Gina Lollobrigida i Claudia Cardinale. Chyba też Marcello Mastroianni.

Wanda w dniu naszego ślubu cywilnego, w Pałacu Ślubów na Starówce. Wrzesień 1975.

Chodziło się na wszystko. Od radzieckiego *Dygnitarza na tratwie* i *Przygody na Mariensztacie* po *Pociąg* i *Rejs*. Szmira, produkcyjniaki i wielka filmowa literatura. Równie interesująca jak większość filmów była Polska Kronika Filmowa. W początkach telewizji to właśnie PKF przybliżała nam świat, a głos lektora Włodzimierza Kmicika był najbardziej znanym głosem w Polsce. Czasami mieliśmy poczucie, że chce nam na siłę wcisnąć jakieś treści, które nawet w naszych małych głowach brzmiały fałszywie, ale bardziej przemawiał do nas obraz.

To, co książki opisywały, rozwijając naszą wyobraźnię, film pokazywał. Mogłem sobie wyobrazić, jak wygląda Danuśka Jurandówna, dopóki nie zobaczyłem *Krzyżaków*. Potem miała już twarz Grażyny Staniszewskiej. Wejście na ekran kina Szpak serii filmów o markizie Angelice stało się dla mojego pokolenia przełomem w podejściu do zagadnień męsko-damskich. Kiedy aktorka Michèle Mercier, ubrana tylko w wysadzane brylantami bikini, przechodziła w jakimś mauretańskim alkazarze przez wąską bramkę z dzwoneczkami i żaden nie zadzwonił, na sali słychać było szmer podziwu. Kiedy całowała się z Robertem Hosseinem, z widowni słychać było cmokanie i okrzyki moich starszych kolegów: „Cizia, zostaw dla mnie!". Ale do ekscytacji, jaką wywoływała Rita Hayworth – Gilda, gdy ściągała rękawiczkę, była jeszcze daleka droga. Musieliśmy dorosnąć.

Takie przeżycia kończyły się pierwszymi polucjami, zdaje się też, że niektórzy koledzy zaczęli wtedy więcej uwagi poświęcać seksowi. Na razie jeszcze w samotności. Były to pierwsze grzmoty nieuchronnie nadciągającej burzy hormonów. Czas niewinnych zabaw w doktora mijał bezpowrotnie.

W moim przypadku można mówić nawet o doświadczeniach palpacyjnych. Kiedy w odwiedziny do sąsiadów przyjechała z Łodzi moja rówieśnica, trzynastoletnia Lucynka, doszło między nami do zbliżenia, które polegało na próbie pocałunku. Stało się to w pozycji stojącej, za wagonami na bocznicy kolejowej, przy ulicy Młodej. Ona nawet nie była mi niechętną, ale kiedy zamknęła oczy i podała mi zaciśnięty ust swych koral, to wpijając się w nie swoimi równie zaciśniętymi wargami, czułem, jakbym

całował zimnego karpia, wyciągniętego z wanny przed wieczerzą wigilijną. Dziwiłem się starszym, że coś takiego uprawiają.

Niezależnie od moich osobistych doświadczeń wpływ markizy Angeliki na życie Falenicy był tak znaczący, że kiedy na osiedlu przy ulicy Zabawnej otwierano restaurację, nadano jej nazwę obowiązującą do dziś: Angelika. Miała być inteligencką odpowiedzią na ludową gospodę, jaką po drugiej stronie torów była Świerkowa. Długo to nie trwało. Kilka miesięcy po otwarciu Angeliki w jej pobliżu żołnierz na przepustce otrzymał dwadzieścia trzy śmiertelne ciosy nożem. Mit o wyższości kulturowej Angeliki padł, chociaż ktoś wspomniał, że Juliusz Cezar też tak skończył. Knajpa jest knajpa.

Bohaterowie westernów mi imponowali, a na ich partnerki, jako uosobienia czystości, lubiłem patrzeć. Zwłaszcza jeśli były blondynkami, jak Grace Kelly. Miała prawo w samo południe strzelić w plecy zbirowi z bandy Franka Millera, bo chciała pomóc mężowi, szeryfowi Willowi Kane'owi, od którego odwróciło się całe miasteczko.

Nie wiedziałem wtedy, że odwiedzę kiedyś grób Grace Kelly i poznam jej syna, księcia Alberta. Przy okazji targów telewizyjnych w Monako zwiedziłem monarszy pałac i katedrę, w której pochowana została księżna Grace. Ale nie mogłem znaleźć grobu. Nie mogłem, bo na płycie był napis: Gratia Patricia.

Zawstydziłem się swoją niewiedzą, a wieczorem miało być jeszcze gorzej. W sąsiadującym z kasynem ekskluzywnym hotelu Loews w Monte Carlo książę Albert, po śmierci rodziców głowa księstwa Monako, wydawał bankiet na cześć uczestników targów. Dostałem miejsce przy stoliku z damami, które okazały się dziennikarkami piszącymi do bulwarówek Lazurowego Wybrzeża. Rozmowa z nimi nie kleiła się nie ze względu na różnice językowe, ale odmienne zainteresowania. Panie koncentrowały się na sobie i oceniały jakość materiałów, z jakich zrobione były suknie innych pań. Nie mieliśmy wspólnych tematów, więc uciekłem w alkohol.

Podawano wyłącznie dobrego szampana, z czego bez oporów korzystałem. W rezultacie poczułem niebezpieczną, wręcz

obezwładniającą pewność siebie. Uznałem, że krew robotniczo-chłopska nie jest gorsza od błękitnej. Kiedy książę Albert w towarzystwie Merlene Ottey, znanej z szybkości i urody jamajskiej sprinterki, sześciokrotnej mistrzyni świata, oraz jakiegoś nieznanego mi jegomościa opuszczał salę, postanowiłem zatrzymać go na pogawędkę.

– Wasza Książęca Mość pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się tak i tak. Jestem dziennikarzem sportowym z Polski. Zwiedzam pański kraj od wczoraj i jestem zachwycony – użyłem języka dyplomacji. Mumm, Moët czy inny Dom Pérignon dodał mi odwagi i nawet język mi się nie plątał.

Książę Albert na dźwięk słowa „Poland" zareagował entuzjastycznie, mówiąc, że kiedy uczył się w szkole amerykańskiej, pojechał na wycieczkę do Polski. Zwiedził Kraków i Gdańsk. Wspomniał też o Solidarności i Lechu Wałęsie. A tych dwoje – Ottey i jegomość – stało i słuchało.

Moja pewność siebie wzrosła na tyle, że spytałem, czy nie chciałby mieć ze mną zdjęcia. Chyba w nerwach tak właśnie sformułowałem propozycję. On odpowiedział, że *with a great pleasure*, więc poprosiłem Ottey, żeby nam pstryknęła fotkę, a jegomościa, żeby nie wchodził w kadr. On się posłusznie odsunął, ale gdzieś tam w tle jednak został. Irena Szewińska, której później pokazałem tę fotografię, powiedziała:

– O, a tam z tyłu masz drugiego księcia, Alexandre'a de Mérode, przewodniczącego komisji antydopingowej Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

Od tamtej pory uważam, z kim robię sobie zdjęcie i kto jest na drugim planie.

Dziś mam wielu bliskich i dalszych znajomych wśród reżyserów i aktorów. Lubię kino, ale się na nim nie znam. Jeśli już o coś pytam, dotyczy to kulis realizowania filmów, a zwłaszcza miejsc, gdzie kręcono je poza studiem. Jakoś to na mnie działa. Wszelkie filmowe spacerowniki po Warszawie, Trójmieście, Łodzi czy Krakowie stoją u mnie na półce w takim miejscu, abym w każdej chwili mógł po nie sięgnąć. A kiedy pojechałem do pensjonatu Janusza Majewskiego w Laśmiadach i usiadłem tam, gdzie Magdalena Cielecka jadła z Leonem Niemczykiem śniadanie, poczułem się, jakbym sam grał w filmie *Po sezonie*.

W kinie uczyliśmy się języków. Na początek – słowa „koniec”. *The end, Ende, fin, fine, vég, kraj, konec, final, kaniec filma*. I właściwie na tym należałoby zakończyć.

Aha, w miejscu kina Szpak jest teraz bank (a przynajmniej był, kiedy to pisałem). Straży pożarnej w ogóle w Falenicy nie ma. Gwoli prawdy, tamta sprzed lat była ochotnicza nie tylko z nazwy. Nim się chłopcy zebrali i wpakowali do czerwonego stara 20, często było już po pożarze. Kiedy zapaliła się drewniana chałupa na Bysławskiej, naprzeciwko remizy, straż z Otwocka przyjechała szybciej, niż nasza wyjechała z garażu. Na piechotę by zdążyli.

Ale strażacy się starali i cieszyli powszechnym szacunkiem. Stanowili też pewnego rodzaju miernik sytuacji politycznej. Kiedy prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński, przebywał w areszcie, strażacy nie mogli pełnić warty przy Grobie Pańskim. A potem Gomułka poszedł na krótko po rozum do głowy i srebrne hełmy strażaków lśniły w kościele nie tylko z okazji Wielkanocy. Podczas procesji Bożego Ciała faleniccy strażacy ubierali własny ołtarz i nieśli baldachim nad proboszczem.

Z falenicką strażą wiąże się pewne śmieszne wspomnienie. W piątek strażak Wojtek chodził od domu do domu, zbierając od ludzi rozmaite przedmioty na loterię fantową. Pod nieobecność ojca mama przekazała na loterię miedzianą popielnicę, ozdobioną myśliwym i dwoma chartami, którą my, dorastające dzieci, uważaliśmy zgodnie za szmirę. W niedzielę po mszy tata poszedł na loterię i tę popielniczkę wygrał. Gdzieś potem przepadła. Niezależnie od jej specyficznej urody dziś stałaby na honorowym miejscu w moim pokoju.

ROZDZIAŁ XIV

MUZYKA

W domu państwa Rudników, piętrowym świdermajerze z wieżą, najładniejszym na naszej ulicy, mieszkał Kazimierz Winkler, słynny autor tekstów do popularnych piosenek. Przez płot z nami.

Początkowo nie miałem pojęcia o istnieniu Kazimierza Winklera, ale on wiedział o mnie. Ledwo odrosłem od ziemi, już śpiewałem, uderzałem rytmicznie patyczkami w pokrywki garnków, tańczyłem nawet, nie okazując żadnej tremy. Każde większe zgromadzenie ludzi, czy to z okazji pożaru, czy pogrzebu, stanowiło dla mnie okazję do publicznych wystąpień. Podobało mi się, że starsi zwracają na mnie uwagę. I pan Winkler też zwrócił.

Pewnego dnia przyszedł do mojego taty:

– Panie Szczepłek – powiedział – pana syn ma talent. Widzę, że jesteście państwo przyzwoitymi ludźmi, kształcicie dzieci, ale nie jest wam lekko. Ja panu załatwię w Warszawie szkołę z internatem dla tego małego. Panu będzie lżej, a z niego może wyrosnąć muzyk.

– Szanowny panie Winkler – odpowiedział mój tata. – Pan też jest bardzo porządnym człowiekiem. Ja panu bardzo dziękuję za tę propozycję. Niech się pan nie obraża, ale mnie Stalin dziecka wychowywał nie będzie.

W ten sposób moja kariera muzyczna (podobnie jak mojej mamy trzydzieści lat wcześniej) skończyła się już na starcie. Nawiasem mówiąc, Stalin już wtedy leżał w szklanej trumnie, ale dla mojego taty on był wiecznie żywy, bo jego duch wciąż grasował po Polsce.

Powiem tak: bez piłki można żyć, ale bez muzyki nie sposób. Nie znam nut, tonacji, nie mam pojęcia o teorii. Kiedy przeczytałem, że cały Jan Sebastian Bach to jedna wielka matematyka, przestraszyłem się. Nie rozumiem matematyki. A muzyka siedzi mi w głowie i czujemy się ze sobą znakomicie.

Kiedy mi wpadły w ręce organki, opanowałem je stosunkowo szybko i w wieku przedszkolnym miałem nawet dwa przebojowe numery.

Nie wiem, skąd to się wzięło. Mama była bardzo muzykalna, ale nie grała na żadnym instrumencie. Kiedy mi wpadły w ręce organki, opanowałem je stosunkowo szybko i w wieku przedszkolnym miałem nawet dwa przebojowe numery: *Lekką kawalerię* oraz *Que será, será,* szlagier lat pięćdziesiątych, wykonywany przez Doris Day. Czyli to, co usłyszałem w radiu. Nieco później, w wyniku permanentnego czytania *Koziołka Matołka,* nauczyłem się na pamięć pierwszej księgi przygód, dzięki czemu mogłem tworzyć własne widowiska słowno-muzyczne: deklamowałem publicznie *Matołka,* uatrakcyjniając przerwy między zwrotkami Franzem von Suppé na organkach.

Od początku miałem, jak widać, duży wachlarz muzycznych upodobań. Nikt mi jednak nie powiedział, że w harmonijce ustnej niskie tony

powinny być po lewej stronie, a wysokie po prawej. Jak na fortepianie. Trzymałem organki odwrotnie i tak już zostało. Być może przez to nie nauczyłem się grać na żadnym innym instrumencie. Albo dorobiłem taką ideologię, żeby mieć alibi, dlaczego nie zostałem multiinstrumentalistą.

Lubiłem też śpiewać. Szokowałem interpretacją piosenki ludowej *Gdybym to ja miała skrzydełka jak gąska*, bo wykonywałem ją sopranem, jak jakaś solistka zespołu Śląsk. I to już po mutacji. A z drugiej strony *Bogurodzica* i pieśni legionowe basem. W ogóle mi to nie przeszkadzało, chociaż słuchaczom zapewne tak. Kiedy Wanda nabrała już pewności w naszym małżeństwie, zdobyła się po latach na recenzję moich występów wokalnych:

– To było straszne – stwierdziła, chociaż ogólnie jest mi życzliwa. Uważam, że nie mogłaby być krytykiem muzycznym, ale faktem jest, że od czasu jej uwagi znacznie swoje recitale ograniczyłem.

Wanda trzyma na rękach Jaśka, ochrzczonego właśnie w kościele na Sadybie, gdzie 11 lat wcześniej braliśmy ślub. Od lewej: ciocia Stasia, ja z Martą, z tyłu moi przyjaciele od zawsze – Rysio i Jola, a przed nimi schowana ich córka Agata. Obok Wandy – Ania, mama, ojciec, z tyłu teść i szwagier Wojtek. Z prawej siostrzeniec Michał. Apoteoza rodziny. Wiosna 1986. A zdjęcie robił Darek Górski, syn pana Kazimierza.

Mogę zagwizdać wszystko, z wyjątkiem pozbawionych linii melodycznej utworów prezentowanych na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień" i *Moto Perpetuo* Niccola Paganiniego, ponieważ w tym utworze nie ma czasu na zaczerpnięcie powietrza. *Polka Dziadek* (czyli motyw „Lata z Radiem") też nastręcza pewnych trudności, ale można je ominąć.

Muzykę poznawałem najpierw dzięki mamie, która mi śpiewała, i „kołchoźnikowi". Niektóre programy Polskiego Radia zaczynały się od utworów Fryderyka Chopina. Chciałem wiedzieć, jak się nazywają, i w ten sposób poznałem *Poloneza A-dur* op. 40 oraz *Warszawiankę* z 1830 roku.

Kiedy uruchomiono Program IV Polskiego Radia, jego sygnałem były pierwsze takty *IV Symfonii Koncertującej* Karola Szymanowskiego.

Moja muzyka kończyła się wraz ze śmiercią Modesta Musorgskiego, Piotra Czajkowskiego, Antoína Dvořáka, Johannesa Brahmsa, Johanna Straussa i Edvarda Griega, czyli na przełomie XIX i XX wieku. Mogłem słuchać wszystkiego, co zostało skomponowane do ich czasów. Co później – to już różnie. Utwór na taśmę magnetofonową, dwa budziki i czajnik nie są w stanie mnie porwać.

Chopin oczywiście był pierwszy, a w takim samym stopniu jak Martha Argerich przybliżał mi go zespół Novi Singers. Potem już poleciało. *Toccatę* i *Fugę d-moll* słychać było wszędzie i już stawała się nudna. Kiedyś igła na plastikowym adapterze przesunęła się dalej i wypłynąłem na morze suit orkiestrowych, partit, koncertów skrzypcowych i klawesynowych, *Koncertów brandenburskich*, aż wpadłem na *Wariacje Goldbergowskie, Die Kunst der Fuge* i kantaty. Pasje Jana Sebastiana i moje. A żeby fortepian był dobrze utemperowany, prymitywny adapter zastąpiły dobry drewniany gramofon Daniel i radioodbiornik Radmor, kupione za jedne z pierwszych pensji. W Ośrodku Kultury Czechosłowackiej kupowało się płyty Supraphonu, w Domu Kultury Radzieckiej – Melodii, z wyjazdu do NRD przywoziło się płyty Eterny, a z Budapesztu – Hungarotonu.

W tym samym czasie dowiedziałem się, że stosunkowo niedaleko Bacha żył do pewnego czasu jego rodak Jerzy Fryderyk Händel, który słyszał i czuł nieco inaczej. Więc znowu: *Water Music, Music for the Royal Fireworks*, koncerty organowe inne niż bachowskie, oratoria, uroczyste hymny i msze. A dlaczego, mimo że Händel był Niemcem, niektóre jego utwory noszą angielskie nazwy? Trzeba było poczytać.

Dzień przed meczem Polski z Irlandią poszedłem w Dublinie do restauracji, znajdującej się w osiemnastowiecznym, niepełniącym już pierwotnych funkcji kościele. Nazywała się The Church. Usiadłem tam, gdzie kiedyś stały organy, spojrzałem na kartę menu i coś mnie tknęło. Była tam jakaś polędwica à la Handel. Okazało się, że siedzę w miejscu, w którym Jerzy Fryderyk Händel (pisany już wtedy z angielska Handel) grał na organach, a piętro niżej Arthur Guinness brał ślub. Trzy ulice dalej odbyła się premiera *Mesjasza*.

Lubię takie historie, zwłaszcza kiedy jestem ich częścią. Piłem więc sobie guinnessa, który w Dublinie smakuje zupełnie inaczej niż w Warszawie, myślałem o Händlu, słuchając *Wild Rover* oraz *Whiskey in The Jar* w wykonaniu irlandzkiej kapeli, która przysiadła w miejscu prezbiterium. To nie było świętokradztwo. Panu Bogu by się to podobało.

Pan Bóg zresztą wielokrotnie ingerował w sprawy muzyki na ziemi. To on skomponował *Requiem,* a z Mozartem ustalili, że da nazwisko. Mozartowskie soprany przenoszą do nieba. Gundula Janowitz, Kathleen Battle, Kiri Te Kanawa w *Requiem*, mszach 427 i 317 – *Wielkiej* i *Koronacyjnej* to już jest raj. Słuchasz, dziwisz się, bo to muzyka nie ludzka, tylko anielska. Potem człowiek wychodzi na ulicę, uśmiecha się do ludzi i nie chce mu się nawet skrytykować Kazia Deyny czy Kuby Błaszczykowskiego za niestrzelone karne, a reprezentacji za przegrany mecz. I wybacza się palantom.

– Muzyka łagodzi obyczaje, kto to powiedział? – pytał Jerzy Waldorff. – Nie, nie ja, tylko Arystoteles – wyjaśniał.

W domu Händla w Halle byłem pierwszy raz pod koniec lat siedemdziesiątych. Polska młodzieżówka grała tam z NRD. Po zwodach Mirosława Okońskiego niemiecki prawy obrońca wpadał głową w reklamę ORWO, a ja nie mogłem bić brawo, bo trzymałem w rękach płytę Eterny z koncertami organowymi, kupioną w Händel-Haus. Wrażenie zrobiło na mnie nie tylko to, że jestem w miejscu urodzenia wielkiego kompozytora, ale także to, w jakim stanie jest jego dom. Znajdował się niemal w centrum bądź co bądź sporego miasta, które trzydzieści kilka lat po wojnie wciąż było zniszczone. Dom Händla stanowił oazę na połaci gruzów. W dodatku byłem jedynym zwiedzającym i nikt mnie nie pilnował – mógłbym wynieść pod pachą siedemnastowieczną violę da gamba Amatiego.

Wróciłem tam w roku 2006, kiedy już nie było NRD. Imponujące muzeum wielkiego kompozytora i barokowych instrumentów w pięknym mieście. Rano zobaczyłem więc, gdzie urodził się Händel, po południu poszedłem na grób Bacha w Lipsku, a wieczorem, w meczu mundialu

Argentyna – Meksyk, oglądałem dziewiętnastoletniego Leo Messiego. Też niezły artysta.

W meczu Rosja – Grecja, rozgrywanym podczas mistrzostw Europy w Salzburgu, artystów nie było. Zapowiadał się jako kopanina i w istocie nią był. Ale pojechałem tam, jakieś dwieście kilometrów z bazy polskiej reprezentacji w Bad Waltersdorf, chłonąc po drodze widoki Alp, wyłącznie ze względu na jednego człowieka. Nie był to piłkarz ani trener, tylko Wolfgang Amadeusz Mozart. Musiałem zobaczyć, gdzie się urodził, odetchnąć tym powietrzem, poczuć atmosferę uliczek, którymi się przechadzał, usiąść w katedrze Świętego Ruperta, gdzie został ochrzczony i gdzie gra się jego muzykę. To miała być pielgrzymka do miejsc świętych.

Do domu Mozarta nie można było wejść z powodu tłoku. Japończyków było tylu, co na Górze Mojżesza na Synaju przed wschodem słońca. Gdyby teraz miał się tam urodzić nowy Mozart, to od razu by się udusił. W sklepach i na straganach Mozartkugel, likiery Mozart White i Mozart Black, popiersia Mozarta spod sztancy. Wszystko to kupiłem. W katedrze nikt nie przestrzegał ciszy. Na uliczkach co dziesięć metrów stał jakiś Mozart w peruce. Różnili się tylko wiekiem – mieli od pięciu do trzydziestu pięciu lat. Każdy na czymś grał, ale wszyscy to samo: *Eine kleine Nachtmusik*.

Przypomniał mi się kolega, który pracował w Ministerstwie Kultury na Krakowskim Przedmieściu. Miał pokój jakieś trzy metry w linii prostej od grającej ławeczki Chopina. W sezonie wycieczkowym musiał wysłuchać sto pięćdziesiąt razy dziennie *Etiudy Rewolucyjnej*. Po jakimś czasie nie tylko zmienił pracę, ale przestał też chodzić do filharmonii, a przed konkursami chopinowskimi wyjeżdżał na Mazury.

Uciekłem i ja, na drugą stronę rzeki Salzach. Tam z kolei zetknąłem się z kulturą rosyjską. Rosjanie wynajęli w Salzburgu wielki piętrowy dom, w którym spotykali się obwieszeni złotem kibice, podjeżdżający krążownikami i samochodami terenowymi jak czołgi T-72. Były tam rosyjskie restauracje i sklepy z niekończącym się zapasem wódek Stolicznaja i Russkij Standard. Nigdy nie widziałem w jednym miejscu tylu ludzi tak bardzo pijanych. Byli głośni, pewni siebie, a najgorsze, że

obsikiwali przepiękne ogrody pałacu Mirabell, po których w musicalu *Dźwięki muzyki* przechadzała się Julie Andrews, a niewinne dzieci śpiewały *Do-Re-Mi*. Rosyjski standard?

Gdy cała ta pijana czereda kibiców przeniosła się na stadion, zrozumiałem, na czym polega sens zapisania cyrylicą hymnu rosyjskiego na plecach koszulek z dwugłowym orłem. Kiedy przed meczem orkiestra zaczęła grać hymn, rosyjscy kibice oparli się rękami na tych, którzy stali rząd niżej (dzięki temu mogli też utrzymać równowagę), a ci, którzy jeszcze cokolwiek widzieli, śpiewali hymn, odczytując jego słowa z koszulek pobratymców.

Moim przewodnikiem po muzyce był Jerzy Waldorff. Kupowałem wszystkie jego książki, a *Sekrety Polihymnii* znałem na pamięć. Kiedy opowiadał, nie odchodziłem od telewizora. Już na studiach, gdy marzyłem dopiero o pracy dziennikarza sportowego, wiedziałem, że chcę być kimś takim dla piłki nożnej, jak Waldorff dla muzyki klasycznej. No, przynajmniej próbowałem.

Muzykę dzieliłem na ludową, rozrywkową i poważną, a poważnie traktowałem wszystkie gatunki. Od afrykańskich tam-tamów przez zespoły Mazowsze i Śląsk, Czerwone Gitary, Elvisa Presleya, Beatlesów, country, swing po Bacha, Mozarta i Beethovena. Kiedy do liceum przyjeżdżała grupa muzyków z Filharmonii Narodowej, a zdarzało się to średnio raz w roku, byłem w siódmym niebie. Potem to ja chodziłem do nich.

Jesienią w roku 1970 odbywał się Konkurs Chopinowski i Legia grała ze Standardem Liège, więc moje myśli krążyły między filharmonią a stadionem. Codziennie biegałem na przesłuchania na Jasną, a od święta na Łazienkowską. Garrick Ohlsson i Eugene Indjic byli moimi faworytami, ale najbardziej lubiłem niewiele ode mnie młodszego Janusza Olejniczaka.

Poznaliśmy się ćwierć wieku później. Razem chodziliśmy na mecze i graliśmy w piłkę. Okazało się, że jest tak żarliwym kibicem, iż między koncertami w Teatro Colón w Buenos Aires oglądał mecze ligi

Metropolitano i miał nawet swoje miejsce na stadionie La Bombonera, gdzie grało Boca Juniors Diego Maradony.

Lista ludzi muzyki, którzy są kibicami, jest długa. W drugą stronę to nie działa. Sportowców melomanów jest znacznie mniej. Ale syn znanego hiszpańskiego kompozytora Izaaka Albéniza, Alfonso, w roku 1902 jako pierwszy piłkarz Barcelony przeszedł do Realu Madryt. Grał tam z Santiago Bernabéu. Ligowym zawodnikiem warszawskiej Polonii w drugiej połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku był Feliks Konarski „Ref-Ren". Poeta, autor tekstów wielu piosenek, ale przede wszystkim pieśni *Czerwone maki na Monte Cassino*. Jego klubowym kolegą w Polonii był Adolf Dymsza.

O piłce, tenisie, Lwowie i muzyce mogłem porozmawiać ze Zbigniewem Kurtyczem, który we Lwowie i w 3 Dywizji Strzelców Karpackich generała Władysława Andersa grał w zespole „Ref-Rena". W latach pięćdziesiątych Kurtycz był bardzo znanym muzykiem propagującym swing i jazz, a także wykonawcą jednego z największych powojennych przebojów – piosenki *Cicha woda*. To Adi Rosner figuruje wszędzie jako jej kompozytor, ale Kurtycz powiedział mi, że najsłynniejszy fragment utworu, czyli refren: „Cicha woda brzegi rwie, nie wiesz nawet, jak i gdzie" (to słowa Ludwika Jerzego Kerna), skomponował on sam, o czym jednak mało kto wie, ale on nie będzie o tym pisał na płocie.

Kurtycz grał w tenisa do dziewięćdziesiątego roku życia, kazał sobie mówić po imieniu, na co nigdy się nie odważyłem, a do mnie zwracał się „rybeńko". W roku 1937 grał w drużynie Pogoni Lwów, walczącej na stadionie Legii z Wisłą Kraków o tytuł mistrza Polski juniorów. Miał stuprocentową sytuację, której nie wykorzystał, i Pogoń przegrała 0:1. Jego ojciec Mieczysław Kurtycz, też muzyk, a zarazem kierownik sekcji piłkarskiej Pogoni, nie odzywał się do syna przez całą drogę powrotną do Lwowa.

W mieszkaniu Zbigniewa Kurtycza w bloku na Rakowcu śpiewaliśmy wspólnie piosenkę *Jadę do ciebie tramwajem*, dołączyła do nas Barbara Dunin – uważam ten występ za swoje największe osiągnięcie wokalne.

Nazajutrz Kurtycz występował z Maciejem Maleńczukiem, ale nie sądzę, żeby wspomniał mu, że wczoraj śpiewał ze mną.

Zmarł w roku 2015, przeżywszy dziewięćdziesiąt sześć lat. Lwowski klub zdążył jeszcze przyznać mu godność honorowego członka. Był ostatnim znanym członkiem Pogoni – wraz z jego śmiercią skończyła się pewna epoka.

W salach koncertowych znajomych ze stadionów raczej nie spotykam. Maleńczuk skomponował hymn Cracovii, a jej kibicem jest Nigel Kennedy. Nim przeprowadził się do Krakowa, na próbach nosił szalik Aston Villi – w ręku stradivarius, a na szyi kawał historii angielskiego futbolu. Wojciech Gąssowski grał w piłkę w Gwardii; od kilkudziesięciu lat chodzi na mecze i jest jednym z najbardziej znanych, stałych w uczuciach kibiców Legii i reprezentacji. To wyjątki. A przecież przeżycia na stadionie i sali koncertowej są podobne, z tą różnicą, że nigdy nie wiadomo, jak zakończy się mecz, a na koncert idziemy, żeby posłuchać tego, co dobrze znamy, tyle że w różnych interpretacjach.

W odległych czasach mojej pełnej sprawności fizycznej półtorej godziny gry lub kilka kilometrów biegu miało zbawienny wpływ na cały organizm. On się takiego wysiłku domagał. Kiedy człowiekowi było źle – słuchał muzyki. Sport był potrzebny mięśniom, a muzyka głowie. Każda pora roku i nastrój mają swoje utwory. Koncerty fortepianowe Mozarta najlepiej brzmią w maju, bo słychać w nich radość i wiosenny optymizm. Jesień ma swoje dzieła, dołujące jak słota i bezlistne drzewa. Nic dziwnego, że pierwszego listopada w radiu słyszy się najczęściej cmentarne utwory: *Arię na strunie G* Jana Sebastiana Bacha, *Ave Maria* Bacha lub Franciszka Schuberta, *Adagio g-moll* Tomasa Albinoniego, *Kanon D-dur* Johanna Pachelbela, arię Jerzego Fryderyka Händla z opery *Rinaldo*, *Valse Triste* Jana Sibeliusa, *Chanson Triste* Piotra Czajkowskiego…

Ten to się umiał umartwiać. Całe życie Czajkowskiego to jedno wielkie pasmo udręk, co wybrzmiewa w każdej nucie. Tylko *Dziadek do orzechów* to radosny świat dziecka. Ale kiedy słucha się dwóch ostatnich symfonii – piątej i szóstej, czuć, że kompozytorowi było źle na duszy.

Podczas pobytu na piłkarskich mistrzostwach Europy w Wiedniu pojechałem do Heiligenstadt, żeby wczuć się w atmosferę miejsca, w którym Ludwik van Beethoven pisał swój „testament", nie mogąc pogodzić się z postępującą głuchotą. Ale przecież komponował nadal. Kiedy już nie słyszał ptaków, kazał im śpiewać w *Symfonii Pastoralnej*.

Co sobie myślał Robert Schumann, pisząc dołujący marsz, który stanowi część *Kwintetu fortepianowego op. 44*? Słuchasz tego i masz dość życia. Dwoje skrzypków, altowiolista i wiolonczelista niosą trumnę, a pianista, niczym tamburmajor, podaje im rytm, w jakim mają się zbliżać do cmentarza. Wolno, noga za nogą. W katedrze ormiańskiej we Lwowie znajduje się niezwykłe malowidło Jana Henryka Rosena, *Pogrzeb św. Odilona*, przedstawiające taki mały kondukt. Nie wiesz, czy to ludzie niosą mary, czy duchy. Patrzysz, zachęcony magnetycznym spojrzeniem jednego z żałobników, dołączasz do nich i słyszysz Schumanna. Albo *Sarabandę* Händla.

Tego rodzaju muzyka, zwłaszcza romantyczna, dziewiętnastowieczna, jest idealna dla chłopców identyfikujących się z młodym Werterem czy Fabrycym del Dongo. Na ogół nie byliśmy godni naszych pierwszych dziewczyn, zawsze znajdowaliśmy jakieś powody, dla których nasza miłość nie mogła się spełnić. Umartwianie się bez racjonalnych przyczyn stanowiło rodzaj masochistycznej rozrywki, którą może zrozumieć tylko dusza chłopaka w okresie matury i egzaminu na studia. Zamykanie się w domu, kiedy „o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny", słuchanie w ciemnościach wszystkiego, co patetyczne, żałobne i cierpiętnicze, picie gorzkiej herbaty pełnej spływających po policzkach łez, stanie w deszczu pod Jej oknem, a do tego słodycz „malinowego chruśniaka", to przeżycia, które wzbogacają. Kto tego nie doświadczył, jest nieszczęśliwym człowiekiem. Nawet skądinąd przyjemne głaskanie kota tych uczuć nie zastąpi.

Słyszałem to wszystko w nocnym pociągu z Piszu do Warszawy, kiedy chłopaki śpiewały przy gitarach *Puste koperty*, słyszałem w piosenkach *Ballada pasterska* i *Gdy kiedyś znów zawołam cię* Czerwonych Gitar, *Na całych*

jeziorach, u Łucji Prus, wszędzie. I w filharmonii też. Muzyka i poezja – czy można lepiej wyrazić uczucie?

Ale to muzyka poważna dostarczała więcej przyjemności, paliwa potrzebnego człowiekowi do wzruszeń. Bieganie na przesłuchania podczas kolejnych Konkursów Chopinowskich raz na pięć lat mi nie wystarczało. Zostałem członkiem Klubu Młoda Filharmonia, grupy uczniów i studentów, którzy pomagali w pracach organizacyjnych i porządkowych w filharmonii. W zamian mogliśmy uczestniczyć w spotkaniach z muzykami i chodzić na czwartkowe koncerty, będące czymś w rodzaju prób generalnych przed koncertami galowymi, które odbywały się w piątki i soboty.

Podczas spotkania z dyrygentem Witoldem Rowickim domagałem się, by do repertuaru Filharmonii Narodowej dołączył utwory Ryszarda Wagnera.

– A o jakich pan myśli, bo on dużo takich nie skomponował – odpowiedział spokojnie mistrz, a ja zrobiłem się malutki.

Jedna z tych prób stała się dla mnie przeżyciem porównywalnym z meczem Legia – Standard Liège, ostatnimi dwiema minutami finału Ligi Mistrzów Manchester United – Bayern Monachium, koncertem Kory i Maanamu w Stodole czy Grupy SBB na festiwalu opolskim w roku 1976. Orkiestra Filharmonii Narodowej, prowadzona przez Henryka Czyża, wykonywała *Koncert potrójny* Beethovena. Przy fortepianie Piotr Paleczny, na skrzypcach Konstanty Andrzej Kulka, na wiolonczeli Roman Jabłoński. To była bajka. Jak oni się bawili! Instrumenty rozmawiały ze sobą jak Pelé i Garrincha na boisku albo piłkarze Barcelony uprawiający tiki-takę. W tym miejscu i czasie połączyły się ze sobą jakieś fluidy, dzięki czemu wszyscy – artyści na scenie i widzowie na sali – zostali przeniesieni w sfery ekstazy. Tylko muzyka i sport mogą wyzwalać tego rodzaju emocje.

Ponad dwadzieścia lat później, w Paryżu, w dniu finału Ligi Mistrzów z udziałem Realu i Valencii, nim zobaczyłem, jak Raul strzela bramkę po rajdzie przez trzy czwarte boiska, poszedłem na cmentarz Montparnasse. Chciałem odwiedzić kilku znajomych: Jeana-Paula Sartre'a, Andrégo

Citroëna, Julia Cortázara czy Serge'a Gainsbourga. Trafiłem na jakiś pogrzeb, który wydał mi się nieco dziwny. Zmarłemu towarzyszyła garstka ludzi, ale szli oni za trumną w szpalerze wieńców ustawionych wzdłuż alejek. Widać było, że rodzina chciała zachować prywatny charakter smutnych uroczystości, bez tłumów.

Kim wobec tego był zmarły? Trzymając się z daleka za konduktem, zacząłem czytać napisy na szarfach wieńców. Kiedy doszedłem do nazwiska Anne-Sophie Mutter żegnającej przyjaciela, wiedziałem, że muszę zostać. Gdy już po ceremoniach rodzina odeszła od grobu, przeczytałem tabliczkę. Zmarłym był Jean-Pierre Rampal, być może najwybitniejszy flecista w historii, niezrównany interpretator muzyki baroku. Kiedy na swoim złotym instrumencie grał *I Suitę orkiestrową h-moll* ze słynną *Badinerie*, po człowieku przechodziły ciarki. Po latach *Badinerie* stała się sygnałem w telefonach komórkowych, więc kiedy rozbrzmiewała w tramwajach i metrze, można było zwariować.

Pielgrzymkę do grobu Jana Sebastiana odbyłem przy okazji meczu Argentyna – Meksyk, podczas mundialu w Niemczech. Wszedłem do kościoła Świętego Tomasza w Lipsku, szukałem po kryptach i znaleźć nie mogłem. Źle szukałem. Okazało się, że Bach jest pochowany przed głównym ołtarzem, co w przypadku kompozytora chyba nigdzie indziej się nie zdarzyło. Jerzy Fryderyk Händel spoczywa w opactwie westminsterskim, obok innych wielkich postaci. Dwa metry nad posadzką znajduje się płyta z wyrzeźbioną postacią kompozytora, który trzyma w ręku nuty *Mesjasza*. Manuel de Falla został pochowany w podziemiach katedry w Kadyksie. Gdyby nie zgrupowanie kadry Polski w czasach Leo Beenhakkera w Jérez, tobym tego nie zobaczył.

W dawnych czasach dziennikarze, a nawet kibice mogli po meczu pójść pod szatnię, a po wyjątkowych zwycięstwach nawet wejść do niej, aby podziękować piłkarzom. Przyzwyczajony do takich obyczajów uznałem, że podobne obowiązują w salach koncertowych. Na filmach albo na własne oczy w filharmonii nieraz widywałem przecież tłumek przed garderobami wielkich artystów. Toteż kiedy do Warszawy przyjechał Yehudi Menuhin,

uznałem, że powinienem podziękować mu osobiście za poprowadzenie Sinfonii Varsovii wykonującej *Symfonię Pastoralną*. No i wparowałem do jego garderoby z pudełkiem płyt CD ze wszystkimi symfoniami Beethovena wykonanymi pod jego dyrekcją. On się specjalnie nie zdziwił, towarzyszące mu osoby też nie.

Studio Koncertowe Polskiego Radia imienia Witolda Lutosławskiego nie jest moim środowiskiem naturalnym, nikt mnie tam nie znał. Uznano widocznie, że skoro ktoś ładuje się do garderoby Yehudi Menuhina, to znaczy, że mu wolno. Miałem ze sobą długopis, a nie flamaster, dzięki czemu po podpisie mistrza na pudełku pozostał wyryty ślad. Patrzę sobie na te płyty i słyszę muzykę, nawet jej nie włączając.

Taniec i spacer – te dwie aktywności tak lubiane przez innych ludzi nigdy mnie nie interesowały. Owszem, przed laty, kiedy bywały środkiem do erotycznego celu, mogłem się zniżyć i zatańczyć z koleżanką lub nawet przejść się z nią nad morze, żeby udawać zachwyt, kiedy tarcza słońca wpada do wody. Ale to się rzadko opłacało, bo one, zamiast oddać się przyjemniejszym rozrywkom, zwykle ocierały oczy i oczekiwały poezji. Jakkolwiek nie byłem zasadniczo przeciwny poezji, to akurat w takich chwilach poezja zdecydowanie kłóciła się z moimi myślami, które krążyły wokół ćwiczeń fizycznych kończących się przyjemnością. Zraziłem się więc do spacerów. Jeśli nie prowadzą do punktu A, B czy zwłaszcza G, są stratą czasu. Z tańcem jest podobnie. Mnie partnerka na ogół przeszkadza w tańcu. Mam swój własny repertuar kroków, które stosuję bez względu na to, co tańczę: tango, fandango, paso doble czy kujawiaka.

W związku z postępującym procesem starzenia i tytanowym biodrem wymyśliłem choreografię niewymagającą ruchu ani niepotrzebnego zużywania energii. Ponieważ mam dobry słuch, zmieniam tylko tempo i – bez przemieszczania się po parkiecie – staram się wystukać nogami każdą nutę, co podobno jest zabronione. Chyba przez całe życie tańczyłem z głuchymi partnerkami, bo one tego nie rozumiały i zawsze miały mi za złe, że się śpieszę. Cokolwiek bym robił, to było za szybko.

Nic dziwnego, że jako urodzony solista najbardziej ceniłem sobie epokę twista. Mogłem na parkiecie wyżywać się sam, prezentując choreografię wyniesioną z przedmeczowych rozgrzewek na boisku piłkarskim. Nikt mi

nie deptał po palcach. Rozumiała to Helena Majdaniec, a moja współpraca z Chubbym Checkerem, Chuckiem Berrym, Billem Haleyem i Patem Boonem układała się wzorcowo.

Mam tylko niezmienny problem ze swingiem, bo kiedy słyszę orkiestrę Glenna Millera czy zespół Benny'ego Goodmana, wzrasta u mnie produkcja endorfin i mogę nawet tańczyć. Dlatego (choć nie tylko ze względu na muzykę) tak lubię film Janusza Majewskiego *Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy*. A kiedy oglądam Gene'a Kelly'ego tańczącego z parasolem czy Freda Astaira w parze z Audrey Hepburn, to mi tak przyjemnie, „jakbym miał znów osiem lat".

W roku 2007 Bartek Marzec, mój kolega z Działu Kultury „Rzeczpospolitej", zbierał materiały do książki o Bronisławie Zielińskim, tłumaczu Ernesta Hemingwaya, Johna Steinbecka i Trumana Capote'a. Jedną z osób, z którymi rozmawiał, był przyjaciel Zielińskiego – Kazimierz Winkler. Poszedłem na to spotkanie. Pan Winkler miał już wtedy około dziewięćdziesiątki. Przyjął nas w swoim domku przy ulicy Gimnastycznej, na starym osiedlu pracowników Polskiego Radia, które znajduje się obok szpitala MSW na Górnym Mokotowie. Gdy powiedziałem, że byłem jego sąsiadem w Falenicy, ożywił się i zaczął opowiadać, jak tam było ładnie. Opisywał drogę ze stacji kolejowej na Kamieńskiego, rzucał nazwiskami swoich gospodarzy i sąsiadów. Zapytałem, czy pamięta małego, uzdolnionego chłopca, któremu chciał pomóc uczyć się w szkole muzycznej. Nie pamiętał ani tego chłopca, ani tym bardziej rozmowy z moim ojcem. Przez grzeczność mógłby chociaż powiedzieć: „Oczywiście, że pamiętam. To naprawdę pan?". Niestety. Zachował się równie nieelegancko jak Janusz Olejniczak. Przed meczem Polonia Warszawa – Pelikan Łowicz stukał sobie palcami po barowym stole przy Konwiktorskiej.

– Co grasz? – spytałem.

– Eee, nie znasz – odpowiedział.

Przypomniało mi to historyjkę z mistrzostw świata, odbywających się w roku 1990 we Włoszech. To już była nowa Polska, która umożliwiła mi

zajęcie kierowniczego stanowiska w redakcji sportowej Telewizji Polskiej, dotychczas zarezerwowanego dla zaufanych partyjnych towarzyszy. Wspominam o tym, bo dzięki tej funkcji mogłem zapraszać do mundialowego studia ciekawych gości, według mojego uznania. Wśród nich znalazł się wielki kibic piłki nożnej, kompozytor i muzykolog Stefan Kisielewski. Jak to w takich sytuacjach bywa, przed meczem, w przerwie i po nim, gość dzieli się interesującymi spostrzeżeniami w studiu, a kiedy światła gasną, razem oglądamy mecz i dopiero wtedy jest ciekawie, bo rozmawiamy o tym, o czym na wizji nie wypada.

Zależało mi na zrobieniu dobrego wrażenia na Stefanie Kisielewskim, gdyż od jego felietonów zaczynałem lekturę „Tygodnika Powszechnego". Inteligencja podpowiadała mi, że może mi się udać, pod warunkiem że będę milczał. Do pewnego momentu wszystko szło zgodnie z planem. Mistrz rozmawiał z Tomkiem Wołkiem, a ja się głupio uśmiechałem, udając, że coś z ich wysublimowanych uwag na podniosłe tematy rozumiem. Ale przyszła kolej na moje pytanie. Włochy grały z Argentyną, a w jej szeregach zawodnik José Basualdo. Kiedy prowadził piłkę i komentator o nim wspomniał, poczułem swoją siłę.

– Mistrzu, czy nazwisko Basualdo z kimś się panu kojarzy? – zwróciłem się do „Kisiela", z pewnością znawcy historii futbolu i muzyki.

– Nie, a powinno? – spytał mistrz.

– Basualdo – Gesualdo. Książę Gesualdo da Venosa, słynny włoski kompozytor renesansu, twórca madrygałów, lutnik, siostrzeniec świętego Karola Boromeusza, zabójca niewiernej żony i jej kochanka… – nie mogłem się zatrzymać, wyliczając informacje na jego temat. Wiedziałem, że mówię do odpowiedniego człowieka i muszę rosnąć w jego oczach.

– Gesualdo, Gesualdo? Nie znam – odparł Stefan Kisielewski, sprowadzając mnie na ziemię i zadając mojemu szpanerstwu ostateczny cios.

ROZDZIAŁ XV

CMENTARZ

Mój znajomy ksiądz Mariusz zadzwonił kiedyś z informacją, że objął największą parafię w Warszawie. Zastanawiałem się, gdzie: kościół Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim, katedra Świętego Jana na Starym Mieście, bazylika na Pradze...?

„Jestem na Powązkach. Tu jest ponad milion dusz" – odpowiedział.

Nigdzie nie ma tyle życia co na cmentarzu. Jeśli wierzy się w życie pozagrobowe, nekropolia staje się odpowiednikiem metropolii. Tam zawsze zastanie się tych, do których się idzie, bo oni nigdzie z wizytą się nie wybierają. Podoba mi się gruziński obyczaj, zgodnie z którym na grób bliskiego przychodzi się w rocznicę jego urodzin, a nie śmierci, i z tej okazji pije się z nim pięćdziesięcio–siedemdziesięcioprocentową czaczę, wylewając krople na grób. Lubię chodzić na cmentarze, bo tam w spokoju mogę porozmawiać ze zmarłymi. Również z tymi, do których za ich życia ustawiały się kolejki. Powiedzenie „na cmentarzu leży historia", choć wyświechtane, jest prawdziwe. Tyle że odnosi się przede wszystkim do znanych osób i ich roli w wielkiej historii.

Chodzę wśród grobów i między historią wielką widzę te małe, prywatne. Każdy grób to inna historia. Kiedy jestem na cmentarzu w Falenicy, dochodzą do tego jeszcze osobiste przeżycia i refleksje. Tu leżą moi rodzice, brat i prababcia Salomea, która dożyła dziewięćdziesięciu trzech lat. Urodziła się jeszcze przed powstaniem styczniowym i jak przez mgłę pamiętała pańszczyznę. Dla mnie prababcia też jest mglistym wspomnieniem. Nie wiem, jakie fakty z nią związane były jawą, a jakie snem. Kiedy umarła, miałem dwa latka.

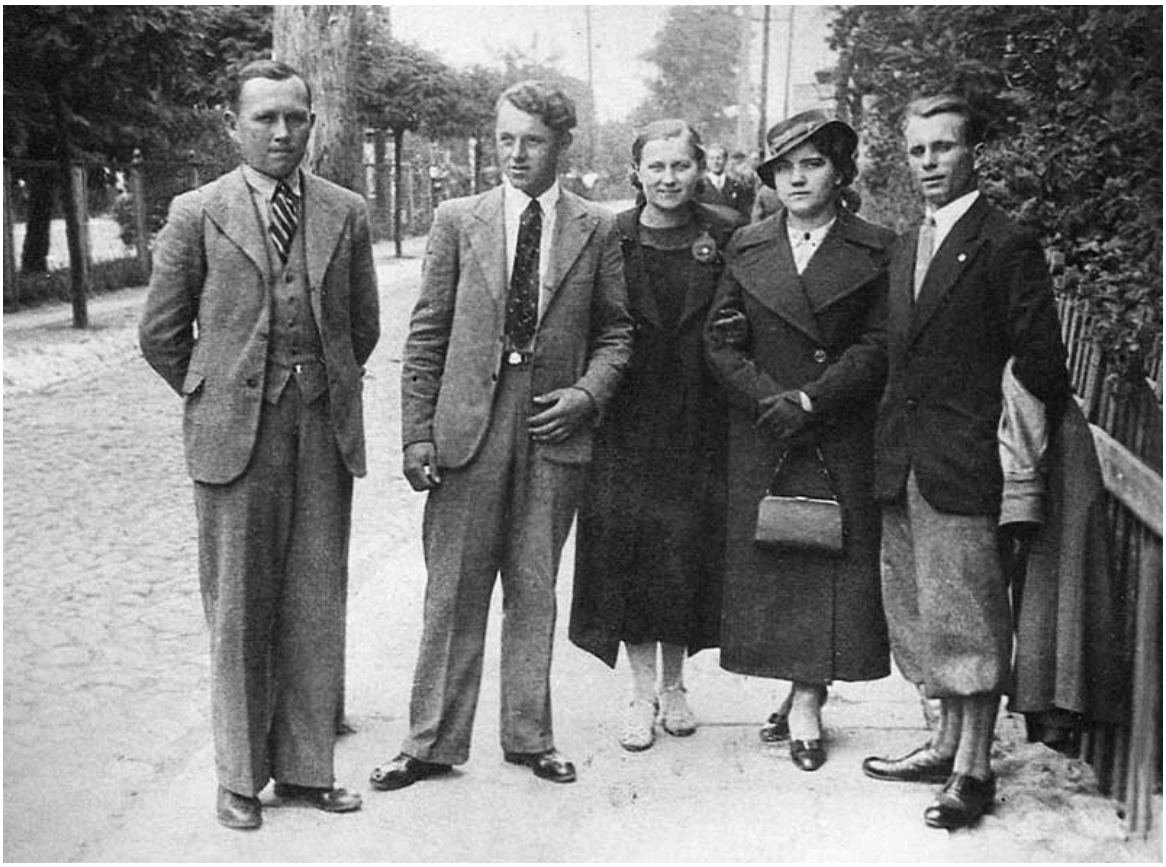

Chodzę wśród grobów i między historią wielką widzę te małe, prywatne. Moi rodzice na ulicy w Otwocku lub Warszawie. Lata 30.

Pani Zosia, taka przyzwoita, zawsze uśmiechnięta krawcowa, powiesiła się na żyrandolu w swoim mieszkaniu na Włókienniczej. Osiemnastoletnia Teresa, jedna z najpiękniejszych dziewczyn w miasteczku, co potwierdza owalna fotografia w sepii na pomniku, zmarła na białaczkę. Pani Halina miała trzydzieści jeden lat, kiedy osierociła trzyletniego synka. Dwuletni Staś utopił się w szambie niedaleko ulicy Patriotów, przy pętli

autobusowej. Krysia miała piętnaście lat. Chodziła ze mną do liceum. Była szara, smutna, cicha i cicho odeszła. Na ich pogrzebach zbierały się tłumy. Cała Falenica płakała z rodzicami i dziećmi.

Mój przyjaciel Jurek Sadowski dożył czterdziestu dwóch lat. Poznaliśmy się w pierwszej klasie. Na lekcji gimnastyki szedłem w ostatniej parze, ale nie miałem pary. Jego po dzwonku przyprowadził tata.

– Weźcie się za ręce – powiedziała pani.

I tak zostaliśmy na ponad ćwierć wieku. Jurek, zwany „Dziadkiem", miał niezwykły talent plastyczny. Na przerwach rysował na tablicy Nowy Jork. Drapacze chmur, a na szerokich alejach skrzydlate fordy, chevrolety, pontiaki, oldsmobile, cadillaki, buicki... Kiedy zaczynała się lekcja, prosiliśmy panią, żeby nie wycierała tablicy. Niektóre nauczycielki poddawały się urokowi tych rysunków.

Przy ulicy Technicznej, łączącej Falenicę z cmentarzem, w lesie stoi samotna murowana brama.

Jakiś biały, szeroki, plastikowy obciachowy pas z amerykańskiej paczki „Dziadek" ozdobił napisem „The Celtic Football Club", dzięki czemu przy

moich farmerkach wyglądał tak, jakby trafił do Falenicy prosto z Glasgow. Tak przynajmniej mi się zdawało.

Jurek mieszkał blisko stacji, na ulicy Kędzierzyńskiej, w wytwórni wód gazowanych (mówiono wtedy gazowych) i rozlewni piwa. Ta fabryczka należała kiedyś do jego ojca, który po wojnie stał się już tylko jej kierownikiem. Bywał też kimś w rodzaju starszego ministranta, bo to była bardzo religijna rodzina. Państwo Sadowscy mieli służbowy telefon (pamiętam numer: 129-245). Mogliśmy z niego korzystać, ale ponieważ długo nie znałem nikogo innego z telefonem, to nie miałem do kogo dzwonić.

Kiedy wracaliśmy ze szkoły, zawsze piłem u Jurka oranżadę. On też, ale z czasem, niestety, przerzucił się na piwo.

Podobnie jak ja miał fioła na punkcie Legii. Chodziliśmy na mecze razem, nie miał talentów sportowych, ale przeżywał to, co się działo na boisku, jeszcze bardziej ode mnie. Kiedy Unia Racibórz wbiła Legii bramkę, Jurek zapowiedział, że w przypadku porażki zje sznurowadła ze swoich trampek i pójdzie do Falenicy na piechotę. Wydawało się, że niewiele ryzykuje. Ale Legia była równie chimeryczna jak w XXI wieku – nie odrobiła strat i Unia wygrała, a Jurek zachował się honorowo.

– Funiek, oczywiście z niczego się nie wycofuję, nie chciałbym tylko pokaleczyć sobie przewodu pokarmowego. Czy mogę zdjąć ze sznurówek metalowe końcówki? – spytał z godnością.

Zgodziłem się oczywiście, a on przystąpił do czynności mających mu ułatwić zadanie. Zwinął sznurowadło, żeby mu się nie majtało między ustami a żołądkiem, i połknął. Nawet nie popił. A potem w trampkach bez sznurówek pomaszerował od mostu Poniatowskiego (bo Trasy Łazienkowskiej jeszcze nie było) Wałem Miedzeszyńskim do Falenicy. To jakieś dwadzieścia kilometrów. Kiedy nad ranem zbliżał się do domu, milicjanci z naszego komisariatu przy Patriotów kończyli właśnie rozmowy z roztrzęsionymi rodzicami i zamierzali rozpocząć poszukiwania. Nie zdałem testu na przyjaciela, bo nie towarzyszyłem mu w tej przechadzce. Mieliśmy wtedy po niecałe szesnaście lat.

Jurek dostał się na architekturę na politechnice, ale takiemu artyście jak on rygor uczelni nie odpowiadał. Na pierwszym czy drugim roku miał egzamin poprawkowy. Był w tym czasie na Mazurach. Akurat Legia grała z Polonią Bytom, więc Jurek zasznurował namiot nad jeziorem Limajno, zamówił taksówkę w Dobrym Mieście i pojechał na mecz do Warszawy. Taksówkarz czekał, żeby zabrać go z powrotem. Termin egzaminu poprawkowego przypadał za kilka dni, ale Jurek nie miał już pieniędzy na przyjazd do Warszawy, bo wszystkie wydał na taksówkę. Został więc na Mazurach, dopóki dopisywała pogoda, jadł jagody, wrócił stopem, ale nie był już studentem.

Pechowo się zakochał i ożenił. Kochał wolność, którą w wyniku podpisania cyrografu małżeńskiego stracił. Przeprowadził się na Bródno. Tam, w blokach, ludzie nie znali nawet swoich sąsiadów zza ściany, a w Falenicy znało się wszystkich z kilku przecznic. Kiedy Jurek dostał zawału, nikt mu nie przyszedł z pomocą. Znaleziono go po trzech dniach.

Na falenickim cmentarzu leżą moi koledzy z Hutnika. Rysiek, prawy łącznik, który pysznił się wytatuowanym motylem na łopatce, zmarł na zawał na skwerku, obok kiosku pana Skiby. Miał dwadzieścia dziewięć lat. Za dużo ważył i za dużo pił.

Wieśka, lewoskrzydłowego, koledzy zabili łyżką do montowania opon w ciężarówkach. Grał w Michalinie w pokera i dostał z ręki karetę. W kartach miał szczęście, w życiu już nie.

Artek, ten, którego skuter posłużył „Palmie" do polowania na sędziego, powiesił się na klamce w celi aresztu na Białołęce.

Romek, znakomity środkowy napastnik, był podobny do poszukiwanego przez ukraińskich rekieterów handlarza ze Stadionu Narodowego. Ukraińcy wpadli do domu w Miedzeszynie, zobaczyli, że ktoś leży w łóżku, i nim Romek zdążył otworzyć usta, przeszyła go seria z kałacha.

Z Romkiem łączyła mnie nie tylko gra w Hutniku. Mój trener, pan Witek, polecił mnie łowcom talentów Polonii. Na mecz juniorów z Huraganem w Wołominie przyjechał starszy, znany w Warszawie skaut, który oglądał mecze jeszcze przed wojną. Trener uprzedził mnie, że jak się postaram, to może kupi mnie Polonia. No to się starałem. Byłem zarazem

napastnikiem Lubańskim i obrońcą Oślizłą. Po meczu stanąłem dyskretnie blisko tego pana skauta, czekając na entuzjastyczną opinię o mojej grze. A on, nachyliwszy się do naszego trenera, powiedział:

– Wiesz, Witek, z tego twojego faworyta Szczypałka czy jak mu tam, to Szczepaniaka nie będzie. Weźmiemy tego – wskazał ręką na Romka.

– Ale on nie potrafi dwóch zdań sklecić – zauważył pan Witek.

– A jakie to ma znaczenie? On ma grać, a nie mówić. Są tacy, co grają, i tacy, którzy udzielają wywiadów.

To była dla mnie kolejna lekcja futbolu. Gdy Romek dowiedział się, że ma się stawić na treningu Polonii, odpowiedział krótko:

– Nigdzie nie idę. Jest mi dobrze w Falenicy.

Nie przekonała go wizja awansu, ewentualnej kariery i pieniędzy. Był zbyt dumny, żeby opuścić miejsce, w którym się urodził i mieszkał. Wolał rozwozić papę i watę szklaną na budowy. A ja zostałem zawodnikiem Polonii, tyle że ćwierć wieku później i w Warszawskiej Lidze Oldbojów.

Niedaleko Romka leży Jarek, bramkarz, który przed meczem wypijał alpagę i bronił wszystkie strzały z pola karnego, a każdy z ponad trzydziestu metrów puszczał. Zatruł się grzybami.

Krzysiek, pomocnik, po zakończeniu kariery pożyczał po dwadzieścia groszy, żeby się uzbierało na piwo. Poprosił mnie kiedyś o wizytówkę, dzięki której wchodził na mecze Legii. Bileterzy czytali: „redakcja «Piłka Nożna»", i to im wystarczało. Spadł ze schodów i złamał kark. Był akurat trzeźwy. Po pijaku spadał z tych schodów nie raz i zawsze bezpiecznie zwijał się w kulkę.

Lubił wąchać klej, zdarzało mu się skosztować borygo, a zatruł się śmiertelnie oparami substancji stosowanej do cyklinowania podłóg. Lepiej grał, niż układał parkiety. Leży blisko Jarka, bramkarza, z którym lubił się napić.

Franek „Rybka" miał bardzo dużo ambicji i niewiele talentu. W ciągu kilku lat pobytu w klubie nie znaleziono mu nawet pozycji. Franek nie ułatwiał zadania trenerowi, ponieważ w każdym rejonie boiska wbrew swojej woli przewracał się na piłce. Ale niezrażony tym przychodził na

treningi, z nadzieją, że kiedyś i jemu zaświeci słońce. Gdy zbliżała się godzina meczu, Franek zadawał trenerowi zawsze to samo pytanie:

– Panie Witku, mam się rozbierać?

Trener zwykle zbywał pytanie milczeniem, ale kiedyś nie wytrzymał i odparł:

– Rozbieraj się Franek… – kiedy rozanielony „Rybka" zaczął szybko rozpinać koszulę, trener dokończył: – …i kładź się spać.

Franek „Rybka" był ekspertem w dziedzinie kolejnictwa. W wagonach spędził więcej czasu niż niejeden konduktor. Zaczynał skromnie. Na Dworcu Wschodnim stawał w otwartych drzwiach ruszającego pociągu i zrywał czapki z głów frajerom stojącym na peronie. Nie gardził też jakimś większym pakunkiem, który akurat nieczujnie postawili na skraju platformy. Rządził w nocnych pociągach. Przysiadał się do śpiących, zwykle pijanych gości, i sprawdzał ich kieszenie. Kiedyś trafił i na mnie, gdy wracałem ostatnim pociągiem po jakiejś prywatce.

– Stefek, nie śpij, bo cię okradną – przestrzegł.

Chyba dał też cynk swoim ludziom, że jestem swój. Na linii otwockiej nikt nigdy mnie nie okradł.

To ironia losu, ale chłopak, który żył z kolei, na stacji zakończył życie. Wdał się w jakąś bójkę na peronie w Radości i spadł na tory, wprost pod pociąg dalekobieżny relacji Lublin – Warszawa Zachodnia. Ostatnim widokiem w jego życiu były dwa zbliżające się reflektory lokomotywy. Leży na cmentarzu przy parkanie, za którym Tofek ma swój zakład kamieniarski.

Żaden z tych chłopaków, z którymi grałem w piłkę, nie dożył trzydziestu pięciu lat. A prezes K. miał czterdzieści parę, kiedy na ulicy Francuskiej wybiegł zza autobusu prosto pod koła żuka wiozącego skrzynki z pomidorami. Nie było co zbierać.

W Falenicy został pochowany Jerzy Pawłowski, szablista wszech czasów. Leży trochę z boku i mało kto do niego zagląda. Zresztą coraz mniej osób wie, kim był. O grafiku Januszu Grabiańskim, którego grób sąsiaduje z mogiłą rodziców Ernesta Brylla, już zapomniano. Nieco dalej, już w nowej części cmentarza, znajduje się grobowiec rodzinny Pieczków.

Pierwszego listopada zapalamy świeczki naszym nauczycielom, żołnierzom, księżom.

Cmentarz w Falenicy jest najpiękniej położonym cmentarzem na świecie. Kiedyś szło się do niego przez morenowe wzgórze, z którego widać było Pałac Kultury. Cmentarz był więc w jakimś sensie „za górą", na końcu świata, za niewysychającym stawem zwanym Morskim Okiem. We Wszystkich Świętych chodziliśmy tam dwukrotnie. Drugi raz, kiedy już się ściemniło i z góry widać było nad cmentarzem łunę świateł. Jak padał jesienny deszcz, panował cudowny nastrój. Teraz wzgórze zarosło, ścigają się na nim przełajowi biegacze, a do cmentarza dojeżdża się asfaltową ulicą, przy której stoją latarnie. Cywilizacja zabiła atmosferę.

Zabił ją też Maciej Zembaty. Od kiedy napisał słowa do *Marsza żałobnego* Chopina, na niektórych pogrzebach, widząc, jak „ubogim krewnym trumna wrzyna się w ramiona", chce się człowiekowi śmiać. To nie jest w porządku.

Jestem „hieną cmentarną". Zwiedzam wszystkie cmentarze świata. Uwielbiam takie z grobowcami podobnymi do dziewiętnastowiecznych kamienic: Stare Powązki, Łyczaków, Rakowicki, Père-Lachaise, Montparnasse, Montmartre. W Gammarth niedaleko Kartaginy jest piękny cmentarz żołnierzy francuskich – odpoczywają, patrząc z góry na błękit Morza Śródziemnego, za którym jest ich ojczyzna. Kiedy na El Camino Memorial Park w San Diego szukałem grobu Kazimierza Deyny, musiałem uważać na kosiarki szalejące między małymi płytami nagrobnymi. Tam się nie da leżeć, to dobrze, że Kazio przeprowadził się na wojskowe Powązki. A smutek mazurskich mogił z krzyżami, na których nie można już odczytać niemieckich napisów? Cmentarze też umierają.

Niektóre odwiedzam po to, żeby spotkać się ze znajomymi z sal koncertowych, książek, stadionów, inne – dla ich uroku. Tak było, kiedy chodziłem na cmentarz w Falenicy z mamą, tak jest i teraz. Mój wiek nie ma nic do tego.

Myślałem kiedyś o napisaniu przewodnika po polskich nekropoliach, ale nie takiego jak wszystkie. Każdy zna jedne i drugie Powązki, Bródno, cmentarz Rakowicki, Łyczakowski i ich aleje zasłużonych. Opisałbym małe cmentarze, na których spoczywają znani ludzie. Taki jak ten w Zembrowie, wioseczce na Podlasiu, gdzie znajduje się skromny grób Heleny Mniszkówny, autorki *Trędowatej*. Albo ten w miejscowości Góra na Kujawach, z grobem Stanisława Przybyszewskiego. Czy cmentarz na Mazurach, w Szczytnie, gdzie można odwiedzić mogiłę Krzysztofa Klenczona.

Kilka kilometrów za granicą, w Kopciowie (Kapčiamiestis), już na Litwie, leży Emilia Plater. Jedzie się tam z Berżnik przez las, mijając jeziora. Przepiękne widoki. Od kiedy Polska i Litwa stały się członkami Unii Europejskiej, na granicy w środku lasu nie ma strażnika, więc i szlaban stracił sens, stając się surrealistyczną dekoracją. Im dalej w ten las, tym głębiej w przeszłość. Żadnych ludzi, elektryczności i kiedy już stanie się przed grobem, ma się poczucie rozczarowania. Bo skoro już tu dotarliśmy, to dlaczego nie widzimy klęczącego Adama Mickiewicza, modlącego się do pułkownika, „dziewicy-bohatera" i „starych Kościuszki żołnierzy"? Jak to nie widzimy? Oni tam są. Żeby zobaczyć, trzeba zamknąć oczy.

O mogile Fryderyka Chopina na Père-Lachaise wie każdy Polak. Ale o jego sąsiadach na paryskim cmentarzu już niewielu. Dwie kwatery od Polaka spoczywa Luigi Cherubini, włoski kompozytor i dyrektor Konserwatorium Paryskiego. Nieco dalej, ale też w pobliżu, pochowany jest twórca słynnych oper Gaetano Donizetti. Z drugiej strony do Chopina dociera zapach marychy znad mogiły Jima Morrisona. The Doors i mazowieckie mazurki – niezłe połączenie. Do Chopina pielgrzymują melomani, żeby powzdychać, do Morrisona – żeby zapalić, wciągnąć nosem biały proszek, zostawić na pomniku małpkę czarnego Johnniego Walkera lub prezerwatywę. Frycek zmarł w wieku trzydziestu dziewięciu lat, Jim miał dwadzieścia osiem. Może w nocy stają się kumplami i buszują razem po Hadesie? Na pewno by się dogadali.

Na Père-Lachaise jest tyle mogił znanych ludzi, że człowiek bez przerwy zdejmuje czapkę, żeby się pokłonić. Panteon artystów stanowi stary

cmentarz przy ławrze Aleksandra Newskiego w Petersburgu. Zaraz po wejściu, z prawej strony, spoczywa Fiodor Dostojewski. A potem to już tylko muzyka. Obok siebie leży cała „Potężna Gromadka". Stajesz przed grobem i słyszysz melodie. Przy Modeście Musorgskim – *Promenadę* z *Obrazków z wystawy*, przy Nikołaju Rimskim-Korsakowie – *Szeherezadę*, przy Aleksandrze Borodinie – *Tańce połowieckie*. Kawałek dalej, przy Piotrze Czajkowskim – pierwsze takty *Koncertu fortepianowego b-moll*, naprzeciwko Michaił Glinka – uwertura do opery *Rusłan i Ludmiła*, a obok wybitny pianista i kompozytor Antoni Rubinstein, który akompaniował Henrykowi Wieniawskiemu. Cmentarz jak sala koncertowa.

Kiedy tak przechadzałem się między grobami, niczym promenadą pomiędzy obrazami Wiktora Hartmanna, i słuchałem tych wszystkich utworów, przypomniała mi się moja ulubiona scena z filmu *Amadeusz*. Żona Mozarta, Konstancja, przyszła do Antonia Salieriego, aby pokazać mu oryginalne rękopisy utworów męża. Salieri, zazdrosny o sławę i talent Mozarta, przegląda karty nut, a co otworzy, to my to słyszymy: *Koncert na flet i harfę, Symfonię op. 29, Koncert skrzypcowy*, ale przede wszystkim coś, co dla mnie jest absolutem – *Kyrie z Wielkiej Mszy c-moll*, z niebiańskim sopranem. Kiedy Salieri, słuchając, przekracza bramy raju, ale i przeżywa kolejną traumę wywołaną geniuszem Mozarta, Konstancja wcina czekoladki. A gdy świadomy swojej niedoskonałości, w porównaniu z Mozartem, stary kompozytor wypuszcza z rąk nuty, które rozsypują się po podłodze, pani Mozart reaguje naiwnym pytaniem: „Co, niedobre?". Można tego słuchać i oglądać to w nieskończoność. Nigdy się nie nudzi. Jak rajd Diego Maradony w meczu z Anglią.

Nawiasem mówiąc, „Mozartem futbolu" nazywano najlepszego piłkarza w historii Austrii – Matthiasa Sindelara. W styczniu 1939 roku znaleziono go martwego w jego wiedeńskim mieszkaniu. Oficjalnie jako przyczynę śmierci podano zatrucie czadem, ale Austriacy są przekonani, że wielki piłkarz popełnił samobójstwo, bo nie mógł żyć w ojczyźnie zajętej przez Niemców. Ciekawe, że w chwili śmierci Mozart i „Mozart futbolu" byli w podobnym wieku. Wolfgang Amadeusz Mozart miał trzydzieści pięć lat, a Matthias Sindelar – trzydzieści sześć.

Petersburska nekropolia jest tak mała jak cmentarzyk w Laskach, gdzie znów spotkali się skamandryci: Jan Lechoń i Antoni Słonimski; temu drugiemu towarzyszy żona Janina Konarska, która zdobyła srebrny medal w dziedzinie sztuki w Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury w Los Angeles. W promieniu kilkudziesięciu metrów znajdują się groby tylu wybitnych artystów, polityków, uczonych, że gdyby organizowali u siebie podwieczorki, ich rozmowy i gra osiągnęłyby poziom możliwy jeszcze tylko w Alei Zasłużonych na cmentarzach Powązkowskim i Rakowickim w Krakowie. Stanisław Stomma z Jerzym Zawieyskim i Tadeuszem Mazowieckim, Jacek Woźniakowski z Zygmuntem Kubiakiem i Stefanem Swieżawskim, Franciszek Starowieyski z Marianem Brandysem i Haliną Mikołajską. I jeszcze mój starszy kolega z „Rzeczpospolitej" Andrzej Ziemilski. Wspaniały felietonista, socjolog, trener narciarski, żołnierz AK. Byłem już duży, ale wciąż za mały, żeby z nim dyskutować o poważnych sprawach. Żegnałem go na tym cmentarzyku. A nad nimi wszystkimi – Puszcza Kampinoska.

Rodzice polskiego papieża spoczywają w wojskowej części cmentarza Rakowickiego. Ich grób znajduje się między mogiłami żołnierzy poległych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Leżą tam razem ci, którzy ze sobą walczyli: Polacy, Rosjanie, Niemcy, Brytyjczycy. Nikt tego nie zaplanował, ale pomnik rodziców Karola Wojtyły jest niemal centralnym punktem tej części cmentarza. Czy to jakaś wyższa myśl Opatrzności, że groby biednych, Bogu ducha winnych żołnierzy, łączy mogiła tych, którzy wydali na świat papieża tak miłującego pokój?

Zbliżam się do wieku muzyków z Buena Vista Social Club, jednak nigdy nie miałem szlafroka i nocnych kapci. Od urodzenia żyję „po słonecznej stronie ulicy", ale kiedyś (myślę, że gdzieś około roku 2033, jeśli Pan Bóg nie ma nic przeciwko temu) zawinę do portu przeznaczenia. Rzucę kotwicę za górką w Falenicy, gdzie będę sobie żył drugim życiem, niczym Dar Pomorza przy skwerze Kościuszki w Gdyni. Będę u siebie. Może wpadnie ktoś z sąsiedztwa, a może jeszcze z życia przedgrobowego, wypijemy kolumbijską kawę, likier Benedictine lub koniak Courvoisier ze starej pękatej butelki, zapalimy Cohibę Siglo IV, posłuchamy Mozarta,

obejrzymy na wideo Brazylię z roku 1970, powspominamy mecz Falenicy z Otwockiem, dający nam awans do A-klasy, pogadamy o rodzinie i znajomych.

A słońce w Falenicy będzie świeciło nadal.

Warszawa – Kąty Rybackie, 2017

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

Fotografie ze stron 15, 27, 30, 38, 48, 59, 66, 77, 90, 117, 131, 145, 245 pochodzą z rodzinnego archiwum autora. Autorami pozostałych zdjęć są:

s. 172 – Ryszard Rogalski,

s. 202 – Marek Żochowski,

s. 214 – Tomasz Prażmowski,

s. 224 – Dariusz Górski.